

Bohdan Petecki

Ludzie z Gwiazdy

Ferriego

Coś nas wtedy zatrzymało. Oczekiwaliśmy tego momentu. W ciągu czterdziestu minut jazdy po opuszczeniu Idiomu, wpatrzeni w ekrany, wsłuchani w sygnały macierzystego statku robiliśmy wiele, żeby przyspieszyć jego przyjście.

Wreszcie brunatne grzbiety wydm rozstały się. Zajaśniała bezkresna płaszczyzna, złamana w połowie linią oceanu. Łąd spadał skośnie ku brzegowi, jak w ekranie zwiadowczej rakiety bezpośrednio po starcie.

Już wiem: chmury.

Workowate, nabrzmiące, zwisające baniastymi głowami ku linii horyzontu. Nie, bliżej, tam gdzie wzrok nie oczekuje jeszcze przeszkody.

Chmury. Raczej odwrócone kopuły miast rozpiętych między różnymi orbitami. Jakby z wnętrza wydrążonego owocu patrzeć na jego prześwitującą nacięciami łupinę. Zrazu jaskrawo białe, dalej nasączają się żółcią i różem, wreszcie, nad grzebieniami skał i głębią oceanu ciemnieją w rude, matowe złoto. Ich cień na powierzchni planety jest ciężki, niemal lepki. A jednak zamiast zacierać, wyostrza jeszcze kontury skalnego muru na wschodzie i bezpośrednio przed nami granicy ładu.

Spojrzałem na zegarek. "Techniczny" tkwi teraz w swoim laboratorium. Na poziomie zerowym bazy, kilka lat świetlnych stąd. Przed chwilą przygładził dłonią włosy, westchnął i zagryzł dolną wargę. Ściągnął brwi, przy czym zmarszczki na jego czole utworzyły zarys startującej rakiety. Wzrok utkwiał w tablicy kalkulatora, ale nie interesuje go, co wynikło z kolejnej wersji programu. Myśli o nas. O tym, czy nam się uda. Ale tak, żeby nie uchybić żadnemu z paragrafów statutu Proksimy. Myśli o niespodziankach, jakie przewidywał przed startem i żałuje, że o tym mówił. Jakbym słyszał jego głos: " - ucicie się cieszyć, że nie wszystko potrafimy przewidzieć..."

Musiałem się uśmiechnąć. Nie byłby prawdziwym humanistą, gdyby nie pragnął teraz zachować tej radości dla siebie. Nie wyrzucał sobie, że powiedział więcej, niż należało. Już wtedy, przy pożegnaniu, nie patrzył mi w oczy. Znał mnie zbyt dobrze. A jednak nie zwrócił się z tym ani do Sennisona, ani do Guskina. Widać starożytna legenda o zbłąkanej owieczce cieszyła się ugruntowaną pozycją w jego podświadomości.

Nie ulegało wątpliwości, że stanowią dla niego problem. Natomiast on dla mnie nie. W tym tkwi istota naszego wzajemnego stosunku. Jako psycholog,

zajmujący się zwrotnym wpływem techniki informatycznej na osobowość jednostki, nie mógł ścierpieć mojego postawienia sprawy. To znaczy, niestawiania jej w ogóle.

Tak czy owak, dałbym dużo, żeby siedział teraz obok nas, w prostokątnej kabince łazika i zadecydował czy to co nas zatrzymało, mamy już traktować jako "niespodziankę", czy tylko jako chmury.

Matematyka, pączkująca w umyśle człowieka, ogarnia wszechświat. Informatyka, funkcjonująca w oparciu o matematykę dostarcza świadomości śliczne, gotowe modele wszelkich możliwych gwiazd, cywilizacji i organizmów żywych. Gdzie tu miejsce na niespodzianki? W grę może wchodzić najwyżej niedowład wyobraźni.

Nie musiałem tego mówić "Technicznemu". Wiedział, że tak właśnie myślę. I tak postępuję. Swoją pożegnalną mowę wygłosił z przekonaniem ale bez nadziei.

Dość spojrzeć teraz na Gusa. On jest z tych, którzy znajdują wspólny język z każdym "technicznym". I proszę. To co, że chmury. Inne? Inne. Potrzebowałbym czegoś więcej, żeby tak siedzieć z palcami zaciśniętymi na pulpicie sterowniczym i twarzą starożytnego mnicha, który wstając z klęczek ujrzał nagle pod sobą koniuszek czarnego, puszystego ogona.

Ocknął się w końcu. Odetchnął głęboko, po czym pochylił się i przejechał dłonią po klawiaturze pulpitu. Odruchowo spojrzałem w górę. Nic się nie zmieniło. Najmniejszego prześwitu w skłębionej masie, odgradzającej nas od gwiazd, z których przybyliśmy. Tylko obwody w przedniej, szklanej ścianie kabiny wypełniły się gazem chemicznego filtra rozjaśniającego. - No, co powiecie? - Głos w słuchawkach zabrzmiał tak, jakby ten, do kogo należał przekroczył właśnie próg salki klubowej i ujrzał kilku dobrych kolegów otaczających barek. Rzecz jasna, Sennison nie przekroczył niczego poza regulaminem łączności. Od kiedy Idiom wszedł w atmosferę trzeciej planety Feriego nie ruszył się ze swojego miejsca w nawigacyjnej. Stanowił ośrodek dyspozycyjny pierwszego patrolu, śledząc jego drogę, czyli to co wyprawiał z nami łazik w czasie jazdy przez wydmy.

Co naprawdę w nim cenię, to jego klubowy ton. Trudno. Taki styl. Autentyczna już, po latach wprawek, jowialność "starszego kolegi". Krótko mówiąc: szefa.

- No, co powiesz? - siedzący obok mnie Guskin uśmiechnął się do falującego wykresu kalkulatora.

Pomyślałem chwilę.

- Ukłony od "doktora" - powiedziałem. Staralem się, żeby to zabrzmiało obiecująco. Co do stylu, też miałem coś do powiedzenia. Wszyscy o tym wiedza i wolą rozmawiać z moimi maszynami niż ze mną. Nie powiem, żeby mnie to martwiło. Mimo woli pomyślałem, co odpowiedziałby Senowi prawdziwy „doktor”, kalkulator, zajmujący pół mojej kabiny w bazie, który dzięki kilku prostym sprzężeniom powtarza! na głos myśli swojego twórcy, zanim ten ostatni zdał sobie sprawę, co pomyślał. Tym twórcą byłem ja. Nie co innego jak takie igraszki właśnie, zjednały mi przydomek "Cybernetycznego Gila" i zniechęciły do mnie najwytrwalszych gawędziarzy. Samotność człowieka w kosmosie to głupia rzecz. Samotność stuosobowej ekipy, to samotność ustokrotniona. A załogi baz pozaukładowych zmieniają się co dwadzieścia lat. Jedyne towarzystwo, jakiego naprawdę potrzebowałem, to "doktor" i pokrewne mu twory. Szczerze, ściśle i posłuszne - to ostatnie w miarę programu. Nie przeszkadzało mi, że "doktorem" nazwano mojego cybernetycznego bliźniaka na cześć miejscowego lekarza, który jak żył, nie powiedział nikomu nic przyjemnego. Co do mnie na przykład, najwyższym zdumieniem zdawał się go napawać fakt, że postępując jak postępuje, zdradzam jeszcze przejawy życia. Temu zdziwieniu umiał dać wyraz w sposób stanowczy i przekonujący.

- Dziękuję - padło z głośnika. - Piękne miejsce na biwak. Prawda, Gil?

Przemilczałem to. Musiałbym do końca stracić wiarę w ludzi, zanim przyszłoby mi na myśl, że czeka na odpowiedź. Zresztą, wyręczył mnie Guskin:

- Wyłącz się - mruknął.

Przez ekran łączności przemknęło jedno złociste pasmo i nastąpiła cisza. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę daleki huk przyboju. Ale to tylko piasek, pojedyncze ziarenka, uderzające w ściany kabiny. Wiatr wiał ze wschodu, od gór i niekiedy przybierał na sile tak, że w dyszach sprzężarek budziło się wysokie granie. Powierzchnia oceanu była mimo to gładka. Tak gładka, że jej widok wyzwał instynktowny sprzeciw. Przypominała płytę zamrożonej rtęci.

- W porządku - głos Sennisona brzmiał sennie. - Chciałem tylko powiedzieć, że macie kupę czasu. Stoicie tam dopiero siedem minut...

- Wyłącz się - bez gniewu powtórzył Gus.

Przyjrzałem mu się uważniej.

Z bazy aż do granic układu Feriego szliśmy przyspieszeniem dotykającym wielkości progowych. Schodziliśmy korytarzem przypominającym bardziej upadek,

niż wybraną przez kalkulatory trajektorię. Nie czekając aż zmatowieją rozżarzone dysze, stanęliśmy na powierzchni w przeciwpromiennych skafandrach. Po kilku minutach, niesieni pełną mocą sześciu silniczków łożnika przeskakiwaliśmy siodła między wydmami, trafiając w przeciwległe zbocza z siłą taranującego wozu bojowego. Wszystko po to, aby o ułamki sekund wcześniej dopaść miejsca, skąd dziesięć miesięcy temu dobiegły ostatnie sygnały Animy.

Guskin jest fotonikiem. Przez całą drogę nie spuszczał z oczu współrzędnych, ćwiartujących ekrany automatów namiarowych. W zasięgu ręki miał pulpit kalkulatora z zapisanymi w tysiącach wariantów programami kontaktu i odwrotu, ataku i obrony. Podobnie jak Sen i ja nie myśli kategoriami badacza tylko pilota.

Spodziewał się wszystkiego. Poza jednym. Poza bezkresną przestrzenią tak pustą i cichą, jakby od zarania gwiazdowej przeszłości układu nie przebiegł przez nią wzrok żywej istoty. Przysiągłbym, że czuje się w jakiś sposób oszukany tą ciszą, że nie wie co z nią zrobić, czego szukać w chmurnym i ognistym zarazem świetle podkreślającym martwość krajobrazu.

Upłynęło jeszcze kilkadziesiąt sekund, zanim mógł przemówić. Nie powiedział wiele.

- Siedem minut...

W tonie jego głosu nie było ironii. Ani rozdrażnienia.

- Potrzebujecie sondy? - odezwał się głośnik. Krótko i rzeczowo. Sen przestał być gawędziarzem. Musiał się wreszcie zaniepokoić.

- Nie - odparłem.

Nie potrzebowaliśmy sondy. W polu widzenia nie było nic, co mogło przykuć wzrok, zachęcić do bliższego zbadania. Przechylona płyta, ciemniejące z wysokością zbocza z rzadka znaczone białymi wywierzyskami, odległe masywy skał. Z lewej kilka jeszcze karłowatych wydm i szeroka równina spływająca ku nitkowatej plaży.

- Siedem minut...

Siedział bez ruchu z uniesioną wysoko głową. Jego ręce leżały ciężko na kolanach. Z pewnością nie wiedział, że już trzeci raz powtarza te "siedem minut" na głos.

- Dochodzi ósma - zauważyłem obojętnym tonem.

Westchnął, chwilę trwał w niezmienionej pozycji, po czym pochylił się i położył dłoń na pulpicie.

- Wszystko jest względne - mruknął półgłosem, tak, że ledwie dosłyszałem.

Zabawne. Dla kogoś, kto na przykład w klubie przy kawie mógł zareplikować z udaną powagą: „doprawdy? Już to gdzieś słyszałem...”

Bywają sytuacje, w których powtórzenie oczywistej prawdy pozwala zrozumieć do końca co myśli i czuje ktoś drugi.

Jechaliśmy już.

- Temu, że wszystko jest względne - powiedziałem w pewnej chwili -
zawdzięczamy takie właśnie widoczki...

- I gwiazdy - powiedział Guskin.

Spojrzałem na niego i rozczarowałem się. Był poważny. Taki wyraz twarzy mógł mieć Gorców, kiedy dwieście trzydzieści lat temu rozmyślał nad swoją cięciwą ujemną.

On też zaczął od tego, że wszystko jest względne. Przez wieki ludzkość nie mogła wyjść z zaczarowanego kręgu szybkości światła. Cała terminologia: "podświetlna", "przyświetlna", a nawet, jak mówili najodważniejsi: "nadświetlna", utwierdzała pokolenia w pewności, że na tym kończą się możliwości poznania. Bo przecież od początku świata zależą one od szybkości. Od tempa przekazu informacji, przetwarzania danych, tempa rakiet.

"Niesłusznie" - powiedział Gorców - "utożsamiamy drogę naszych statków z drogą światła. W ten sposób do niczego nie dojdziemy".

Po czym powtórzył, że wszystko jest względne i narysował łuk, z jakiego chłopcy strzelają do tarczy. Brzuścem tego łuku była linia światła, a cięciwą droga rakiety. Ją właśnie nazwał cięciwą ujemną.

Cała reszta, to sprawa liczb. Otchłannych jak wszechświat, ale też zmieniających z gruntu układ zależności między tym wszechświatem a człowiekiem. W ślad za matematyką poszły galaktyczne statki i bazy. No i my. Przeniesieni tu w ciągu zaledwie miesięcy z układu Alfy Centaura, pierwszej ziemskiej stacji gwiazdowej.

O samym locie trudno cokolwiek powiedzieć. Odbyliśmy go w hibernatorach, w polu siłowym działającym strukturalnie na białkowe tworzywa organizmów żywych. Przeciężenia przestały praktycznie istnieć.

To wszystko przeszłość. Guskin może się zabawiać refleksjami na temat Einsteina i Gorcowa. Nawet, jeśli robi to tutaj. Na dnie tej studni, której cembrowinę tworzą niepodobne do niczego chmury. Tylko w takim razie zapowiadane przez "Technicznego" "niespodzianki" okażą się prawdziwymi niespodziankami. I to zanim

zdażymy nacieszyć się myślą, że nie potrafiliśmy ich przewidzieć.

Na wschodzie góry. Wiedzieliśmy o nich jedno: są zamieszkałe. Już pierwsza wyprawa przekazała meldunki o dziwacznych białych piramidach osadzonych na skalnych tarasach. Fotonowy film z orbity potwierdził te obserwacje. Na dokładniejsze nie było czasu. Niezrozumiałe pozostawało przede wszystkim, dlaczego cywilizacja trzyma się z dala od oceanów. Przynajmniej od tego oceanu. Obszar nadbrzeżny sprawia wrażenie wymiecionego z wszelkich przejawów życia. A przecież nie gdzie indziej, jak właśnie tutaj, w jednej z tych kotlinek otoczonych płaskimi wydiami, lądowała Anima.

Ekipa badawcza. Uczni, skierowani do układu Feriego po zakończeniu misji w Chmurze Strzelca. Trzech mężczyzn i dwie kobiety.

Lądowali dwudziestego czerwca dwa tysiące osiemset trzydziestego drugiego roku. Przekazali meldunki o białych budowlach w górach i "liściastych", jak je określili, konstrukcjach widocznych na powierzchni oceanu. Przeszło dwie godziny utrzymywali z bazą normalną łączność. O osiemnastej czterdzieści Mogue, cybernetyk, pełniący na Animie funkcję operatora łączności, doniósł o osobliwym zjawisku w przybrzeżnym paśmie oceanu. Wody jakoby cofnęły się, odsłaniając dno. Podjechali bliżej. Widoczność sami ocenili jako znakomitą. Zatrzymali się w odległości niespełna dziesięciu metrów od brzegu...

Krótki, suchy trzask, jeden jedyny zgrzyt, jakby ktoś przejechał tęnym nożem po szkle. Wszystko.

Dlatego właśnie my lądowaliśmy w przyzwoitej odległości od oceanu. Dlatego zafundowaliśmy sobie płukanie żołądka, jakiemu równała się jazda łazikiem przez wydmy. To znaczy Guskin i ja. Guskin, zawsze poważny, powiedziałbym: zasadniczy, jakby stale usiłował sobie coś przypomnieć. Pilot-fotonik. Odrobinę zbyt zasadniczy jak na mój gust. Może nawet nie odrobinę. Ale wolałem już to, od szefowskiej rubasności Sennisona. Rad byłem, że wysłał nas na rekonesans we dwójkę, samemu obejmując postępek obserwacyjny w kabinie "Idiomu".

Co do mnie, jak wspomniałem, nazywam się Gilly. Jestem pilotem - cybernetykiem.

Zbliżało się południe. Jeżeli w ogóle coś wynikało z galopady światła, przesywających przestrzeń pod płonącymi chmurami, to że Słońce stoi w zenicie...

Dziewięć przytłumionych, urwanych dźwięków. Wieczór. Za minutę wstanę,

włożę skafander i wyjdę w codzienny obchód posterunków rejestrujących.

Wyprostowałem się. Oparcie fotela poszło posłusznie za moimi plecami.

Cofnąłem zapis.

"Cybernetyczny Gil..." Mógłbym się uśmiechnąć. Gdyby moja twarz zachowała pamięć uśmiechu.

Moja? To znaczy czyja twarz?

Nie. Twarz jest moja. To jedno.

Wstałem, odsunąłem fotel i wyłączyłem przystawkę pióra świetlnego. Ekran zmatowiał.

Czy udało mi się, w tym co napisałem, wskrzesić obraz trzeciej planety Feriego, jaką była, kiedy stanęliśmy nad oceanem? Planety żółtych chmur, białych piramid i liściastych miast pod powierzchnią wody?

Pytanie brzmi poważnie. Jak większość pytań, które obywają się bez odpowiedzi.

Cybernetyczny Gil..." Kiedy to było? Sto lat temu? Dwieście?

Od jedenastu miesięcy jestem tutaj. Mam wszystko czego mi trzeba. Syntetyzatory, przetwornice, generatory wielkiej mocy, pojemną aparaturę kalkulatorów. Mam wydzieloną przestrzeń, urządzoną z poszanowaniem nawyków współczesnego człowieka. Stąd, spod szklanej kopuły, kontroluję wszystko, co dzieje się na moim globie. A także jego macierzystej planecie.

Podszedłem do iluminatora. Zapadał mrok. Za chwilę wszędzie Czwarta. Rąbek jej drugiego księżycy wykwitał już na wschodzie, jak wycięty z białej bibuły. Wyżej, pod granicą czerni, pozostały jeszcze przenikające się pasemka złota.

Odwrociłem się i bez pośpiechu ruszyłem w stronę zabudowanego na przeciwległej ścianie wielkiego panoramicznego ekranu. W dzień i w nocy, niezależnie od wzajemnego położenia globów, przekazuje mi sygnał wysyłany przez stacje na powierzchni Czwartej.

Stanąłem i wybrałem trzeci z brzegu klawisz w pulpicie łączności. Obraz wyostrzył się.

Chwilę patrzyłem bez ruchu. Nie myślałem o niczym.

Kopie zachowują się normalnie. Ich zabudowania, w połowie odkryte, znaczą sieć punktów świetlnych. Tam także dzień miał się ku końcowi. Wysoki las z wełnistym poszyciem, podchodzący pod ściany nasypu, przedstawiał się jak lita, czarna bryła.

Dwie sylwetki. Na wybiegu, w części nie przykrytej dachem. W nikłym świetle wyglądają jak uczestnicy safari, na biwaku.

Poczułem nieznośny ucisk w krtani. Żołądek ruszył mi do przodu. Chciałem zwilżyć wargi językiem, ale mięśnie szczęk miałem unieruchomione, nabrzmiałe.

Ogarnął mnie przemożny wstręt. Jak zawsze. Na próżno przed każdym łąčeniem powtarzałem sobie, że nic takiego nie może się zdarzyć.

W jakiej części źródło tego obrzydzenia tkwi nie tam, na sąsiednim globie, tylko we mnie samym?

Nieważne. W gruncie rzeczy już nic nie jest ważne.

Za chwilę zabiorę się do kolacji. Będę jadł, jak oni teraz. W porządku. "Oni są w porządku" - powiedziałem półgłosem. "Farma prosperuje". Narzucałem sobie to zdanie. Powtarzałem je z uporem tym większym, im dobitniej brzmiał mi w uszach towarzyszący mu fałszywy przydźwięk, jakby mówił ktoś jeszcze, ktoś zadreżony nienawiścią, sięgającą kresu wytrzymałości nerwowej człowieka.

Utkwiłem wzrok w ekranie. Nic się nie zmieniło. Dalej siedzieli w kręgu słabego światła, rozparci w lekkich, twardych fotelach. Odwracali się plecami do lasu, który dotykał szerokiego ogrodzenia zwieńczonego kolcami anten. Przez moment wydało mi się, że chwytam w tym obrazie coś znajomego. Coś wyniesionego z filmów czy dokumentów pewnego okresu historii politycznej Ziemi. Te anteny przypominające druty...

Mniejsza z tym. W końcu to tylko anteny. Dzięki nim mogę wiedzieć o każdym ich ruchu, usłyszeć każde słowo. Po to tu jestem. Po to tkwię, jak owad nakryty szklanym kloszem, na martwym satelicie czwartej planety układu, w którym zostałem na zawsze.

Kopie są w porządku. Posiedzą jeszcze kilka, może kilkanaście minut, wstaną, sprzątną ze stołu i znikną pod płaskim dachem. Umyją się, powiedzą sobie "dobranoc".

Idiotyczne.

Wyciągnąłem ręce i przyjrzałem się sztywno wyprostowanym palcom. Nic. Siadu drżenia. Dotknąłem dłonią czoła. Było zimne. Jak zawsze.

Oczywiście. Robiłem to już tyle razy...

Opuściłem ramiona, wyprostowałem się i ruszyłem w stronę stołu. Kiedy mijiałem środek kabiny, fotokomórki włączyły oświetlenie. Była już noc.

Usiadłem. Ze ściany wyjechał podajnik syntetyzatora, podobny do płytkiej

szuflady. Jej brzegi opadły.

Kolacja zajęła mi sześć minut. Jak zawsze.

Odsunąłem się od stołu i zmieniłem położenie fotela. Siedziałem teraz plecami do ściany. Przed sobą miałem całą mieszkalną przestrzeń bazy.

Miejsca było dość. Nie mogłem narzekać. Wnętrze przypominało sterownię średniego statku pozaukładowego. Nie czułem pod stopami braku tych kilkunastu pokładów, podtrzymujących kabinę prawdziwej rakiety. Wystarczało mi mocne oparcie w odsłoniętej żyłce magmowej. W grubych skarpach sypkiej skały macierzystej, sięgających połowy wysokości kopuły. W głąb łądu szedł jeden jedyny szyb syntetyzatora aprowizacyjnego. Niestety czasy, w których automaty żywnościowe mogły przetwarzać tylko związki organiczne, należą do przeszłości.

Dostaję jedzenie i wodę. Regularnie, bez kiwnięcia palcem z mojej strony. Mam idealne powietrze: czterdzieści dwa procent tlenu i gazy szlachetne. Bez śladu azotu. Mam solidną, rozbudowaną aparaturę informatyczną.

I dużo miejsca.

Tkwiąc bez ruchu w fotelu wodziłem wzrokiem od jednego urządzenia do drugiego. Jakbym się chciał pogodzić z tym wnętrzem, zaakceptować jego kształt, światło, harmonijny wystrój automatów.

Jestem tu tylko dlatego, że tak chciałem. Na przekór innym. I sobie, jeśli chwilę pomyśleć.

Tylko, któremu sobie?

Czas obejrzeć te posterunki.

Wstałem, przeciągnąłem się i ruszyłem w kierunku śluzy. Mijając ekrany odruchowo omiotłem je wzrokiem. Światła na fermie pogasły. Ale cała okolica jaśniała mlecznym blaskiem obydwu księżyców. Dorodna planeta, ta Czwarta. W innych okolicznościach ludzie prędzej czy później objęliby ją w posiadanie. W słonecznej ekosferze układu pozostanie dwa razy dłużej, niż Ziemia w strefie życia naszej gwiazdy.

Naszej?

Nie wezmę łazika. Potrzebuję ruchu. Chcę mieć próżnię tuż za wiotkimi warstwami skafandra. Chcę ją czuć na skórze. Jest moim powietrzem. Nie będę się przed nią chronił pod pancierzem pojazdu.

Dotarłem do drzwi i uruchomiłem automat wjazdu. Poczulem, że nieznośny ucisk, który dławił moje włókna nerwowe, raptem zelżał. I ten moment przeżywałem

już setki razy. Moment, w którym uprzytamniam sobie, że spokój tej kabiny jest pozorny. Że jest to spokój wyczekiwania. Że to co się stanie, potwierdzi przesłanki powracającego nieustannie napięcia, wrogości i obrzydzenia. Przesłanki decyzji pozostania tutaj.

Co nie znaczy, że na coś czekam.

Nie liczę i nie będę liczył, jaka część tej nienawiści dotyczy mnie samego. Nonsens. Przecież nie chodzi o mnie, jakim byłem. Ważne jest tylko to, co pozostało obce, pomimo że dotychczas nie potrafiłem tego w sobie odnaleźć. Zresztą, czy chciałem?

Może dlatego cały przypisałem się obcemu światu?

Pójdę już. Sprawdzę zapisy dotyczące temperatury, promieniowania kosmicznego, radiacji, wiatru słonecznego i tysiąca innych rzeczy. Jakby to naprawdę była moja jedyna misja tutaj. Potem wrócę do kabiny. Nie pójdę spać. Przesunę przystawkę pióra świetlnego przed sam ekran i będę pisał dalej.

- Uwaga Gus - zabrzmiało nagle w kabine łazika. - Daję sondę nad ocean. Dwieście metrów.

Coś zauważył. Jego głos brzmiał chłodno. Kpiący ton ulotnił się bez śladu.

Guskin przerzucił klawisze. Przez moment wyobraziłem sobie co robi Sen, w szczytowej kabine Idiomu, odległego już o półtora kilometra. Założyłbym się, że ma minę, jakby ratował ludzkość zagrożoną wybuchem supernowej. Odczytał z tarczy kalkulatora wynik operacji kontrolnych. Sześć sekund oczekiwania na sygnał drogi. Spust. Rosnący błyskawicznie sznur paciorkowatych świateł na pulpicie. Teraz.

Ekran przed nami drgnął, jego matową gładź przebiegł jeden oślepiający kurcz, po czym wypełniła się białawym srebrem. Ale to już nie elektroniczna powłoka aparatury, tylko obraz oceanu, przekazywany przez szybującą nad nim sondę do nawigacyjnej Idiomu, a stamtąd na ekran łazika.

Mamy przed oczami to, na co patrzyli członkowie załogi Animy, przesyłając swoje pierwsze i ostatnie zarazem meldunki z tego globu.

Nie dalej niż osiemset metrów od brzegu tafla morza zmieniała barwę. Uwidaczniały się w niej lśniące, niemal czarne tarcze o konturach przypominających monstrualne liście. Zrazu rzadkie, rozrzucone na pozór bezładnie, dalej gęstniały tworząc geometryczną siatkę przypominającą szablon oszczędnego zagospodarowania przestrzeni. Jakby ten niezmierny ocean połączony z innymi akwenami globu był

jednym miastem, pozbawionym terenów pod rozbudowę a pękającym już od nadmiaru mieszkańców.

Oderwałem wzrok od ekranu i wyjrzałem przez iluminator. Liściaste tarcze nigdzie nie wystawały nad poziom morza.

Pochwyciłem spojrzenie Guskina. Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową.

Gus powiększył obraz. Naszym oczom ukazał się skrawek oceanu z widocznymi na pierwszym planie zarysami liściastej płaszczyzny. Z bliska jej czerni wydawała się złamana świecącym granatem. Przez środek liścia biegła odrobinę jaśniejsza pręga. Przypominała żyłę przewodzącą soki w żywej roślinie. Ale tylko rysunkiem. Na ułamek milimetra nie wybiegała ponad gładź całej tarczy.

Kątem oka pochwyciłem ruch w dolnej części ekranu. Guskin pochylił się błyskawicznie i ponownie przybliżył obraz. W tej samej chwili w kabinie rozległ się głos Sennisona:

- Uwaga Gus, uwaga Gil, ruch w oceanie...

- Widzę - mruknął Guskin.

Niech kto chce wybrzydza nad moim "doktorem", ale on zachowywał się rozsądniej. Na miejscu Sena nie powzięłyby na przykład podejrzania, że obydwaj z Gusem zostaliśmy nagle dotknięci ślepotą. A gdyby nawet, zostawiłby to odkrycie dla siebie, rozumiejąc, że słowa i tak już nie pomogą. Oto do czego prowadzi nawyk "wymiany myśli" między ludźmi, którzy myślą tak samo i to samo, ponieważ w przeciwnym razie nie byłoby dla nich miejsca w przestrzeni. Przynajmniej wśród żywych. Stanowczo wolę matematykę, biomatematykę, upostaciowana i udźwiękowioną w moich maszynach.

Zauważony przez nas ruch nie trwał długo. Zaledwie dotarło do mnie, że na powierzchni morza zarysowują się regularne koła i leniwym ruchem, jakby pokonując siłę bezwładności, ruszają z miejsca, w twarze strzeliła nam błyskawica i na poczerńiałym w ułamku sekundy ekranie pozostały tylko wijące się niezdarnie ślady pasm przesyłowych.

- Wzięłeś namiar? - spytałem po chwili.

Sen nie odpowiedział. A więc nic z tego. Trudno się dziwić. Jeśli pilot Proksimy nastawia się na niespodzianki, to nie starcza mu refleksu ani spokoju na sytuacje normalne.

Trwało półtorej minuty zanim wyrzutnię Idiomu opuścił następny aparat. Ten nie dotarł nawet do pierwszej linii liściastych płaszczyzn. Znowu błysk, tak krótki, że

niemal nieuchwytny wzrokiem a przecież pozostawiający pod powiekami bolesne, wirujące iskry - i druga sonda podzieliła los pierwszej.

Nie mogliśmy dłużej wątpić. Wiedzieli o nas. Powitali nas. Po swojemu.

Ale nie ujrzeliśmy nic. Także to co zniszczyło aparaty zwiadowcze tkwiło ukryte pod gładką, idealnie zwartą pokrywą oceanu.

Odruchowo poprawiłem się w fotelu. Łazik spełził powoli z wierzchołka wydmy, zakołysał na zboczu, przebył dziesięć, może dwanaście metrów i znieruchomiał. Od strony morza pozostały widoczne jedynie reflektory jego anten.

Nie czekaliśmy długo. Lustrując teren dojechałem właśnie do linii horyzontu, kiedy dobiegł mnie krótki pomruk Guskina. Uniósł się i wskazywał dłonią prostokąt bocznego iluminatora. Poszedłem za jego wzrokiem.

Na wprost nas, w odległości mniej więcej sześciuset metrów, w białosrebrzystym szkliwie oceanu zarysowała się okrągła, czarna plama. W tej samej chwili spostrzegłem następną. Za nią jeszcze jedną. I jeszcze. Wybiegały spod chmur i szły równym szeregiem ku brzegowi.

Raptem wszystkie równocześnie zaczęły wirować. Z początku leniwie, ruch był ledwie zauważalny, koliste tarcze trzymały się niewzruszenie płaszczyzny oceanu. Trwało to kilkanaście sekund, po czym zapadły w głąb. Tak gwałtownie, że przez chwilę widzieliśmy tylko wyrzucone z dna rozbryzgi rtęciowej cieczy.

- Uważajcie - odezwał się Sennison. - Mam osiemset metrów przedpoła. Bez marginesu...

Ostrzegął, że w razie konfliktu nie może nas osłonić ogniem głównego miotacza. Byliśmy za blisko celu.

Tylko co właściwie miało stanowić ten cel? Dziury w morzu? Niewidoczne z lądu konstrukcje? Poza tym dane dotyczące pola ostrzału mieliśmy cały czas przed oczami. Tak samo, jak charakterystykę łączności. Urodzony gawędziarz znowu wziął w Senie górę nad pilotem.

Zaledwie to pomyślałem, w kabinie ponownie zabrzmiał jego głos. Tym razem w porę.

- Góry! Uwaga na góry!

- Obserwuj ocean - rzuciłem do Gusa, błyskawicznie zmieniając położenie anten. Nie musiałem szukać. Z najbliższego pasma wzgórza wznosiły się w równych odstępach cztery wielkie słupy dymu. Wyglądały jak filary gigantycznego mostu pozbawione nagle spinających je pręseł. Waliły się wszystkie w tym samym

kierunku i tylko jakaś niewidzialna przeszkoda powstrzymała na moment ich upadek.

- Ocean! - krzyk Guskina.

Zabawa zaczęła się na całego. Kiedy oderwałem wzrok od strzelających skosem dymów, nie odnalazłem już na powierzchni oceanu ścieżki "czarnych plam". Utworzyły teraz zacieśniające się w oczach półkole. Jeszcze chwila i na wprost nas, niemal przy samym brzegu powstał krąg o promieniu najmniej sześćdziesięciu metrów. Jakiś czas trwał nieruchomo, po czym niesłychanie powolnym ruchem począł przesuwać się ku południowi.

Wyprostowałem się i zacerpnałem powietrza. Odruchowo zerknąłem w boczny iluminator i zdębiałem. W pierwszej chwili miałem ochotę mocno potrząsnąć głową, jak człowiek, który za wszelką cenę usiłuje odpędzić sen.

Ale to nie był sen.

Miękkim, posuwistym ruchem zbocza zstępowały w przybrzeżną dolinę. Nie zbocza, w masywie gór nic się nie zmieniło. Pasemka ich wierzchnich warstw, utkanych z niskiej, skłębionej roślinności. Jakby jakiś olbrzym ściągał bez pośpiechu pokrojoną na wąskie warstwy serwetę narzuconą na szczyty. Dopiero po dobrej chwili dotarło do mnie, że skała macierzysta trwa nieruchomo a tylko co sto, dwieście metrów ruszyły w dół wykrojone z jej calizny chodniki.

Od obszaru nawiedzonego tym niezrozumiałym, bezszmerowym ruchem dzielił nas rozległy pas nadbrzeżnej równiny. Obejrzałem się.

Cylindryczne pustki, wędrujące powierzchnią oceanu, przyspieszyły. Odeszły już na tyle, że nie musieliśmy szukać związku między nimi a naszą obecnością na wybrzeżu.

- Choćbyśmy pięć lat... - zaczął Guskin.

Nie skończył. W ułamku sekundy wewnątrz kabiny rozjarzyło się pomarańczowym światłem alarmu.

- Do tyłu, Gus! Gil, do tyłu! - zabrzmiał zduszony krzyk Sennisona.

Rzuciłem się do celowników. Tylko to, że z całej siły zacisnąłem palce na ich ciężkiej, wyważonej prowadnicy, pozwoliło mi utrzymać się w fotelu. Uchwyciłem jeszcze kątem oka błyskawiczny ruch Gusa, zmiatającego bezpieczniki z pulpitu sterowniczego.

Z wyciem silników, jakiego w życiu nie słyszałem, łazik wyrwał z miejsca, przeleciał nad piaszczystym siodłem, wyrznął rufą w stok sąsiedniej wydmy, zarył na ułamek sekundy, po czym gładko już, bijąc rekordy przyspieszenia, przetoczył nad

dwiema następnymi.

O ułamek sekundy wcześniej niż ludzie, spostrzegły co się święci tachjonowe obiektywy Idiomu. Głos Sennisona dotarł do nas, kiedy byliśmy już ostrzeżeni. Aparatura raz jeszcze potwierdziła swoją przewagę nad ludźmi. Ułamek sekundy. Gdyby nie to...

Niby nic takiego. Po prostu część zbocza niskiej wydmy, dającej osłonę pojazdowi, zaczęła nagle pełznąć pod górę. Skrawek podnóża rozpoczął wspinaczkę ku szczytowi. Gdyby nie ten ułamek sekundy właśnie, ruszylibyśmy z nim razem.

Łazik zastopował gwałtownie. W samą porę. Jeszcze chwila a znaleźlibyśmy się w oceanie. Nie bacząc na seledynową nitkę namiaru, przekazywanego przez macierzysty statek, zatoczyliśmy w ślepej ucieczce szeroki łuk.

Staliśmy tyłem do brzegu. Od srebrzystej tafli dzieliło nas nie więcej niż półtora metra.

- Co to było? - wykrztusił po chwili Gus. Wzruszyłem ramionami.

- Widzisz coś, Sen? - rzuciłem w przestrzeń.

Nie odpowiedział od razu. Na ekranie przesuwwały się pasma przedgórza, lustrowane kamerami Idiomu.

- Spokój - mruknął wreszcie. - To znaczy, na łądzie - dodał.

Odwrociłem się.

Czarne studnie trwały nieruchomo. Zajmowały teraz pozycję mniej więcej na wprost wydmy, za którą jeszcze minutę temu stał łazik. Jej płasko ścięty wierzchołek był stąd widoczny jak na dłoni. Nagle załśnił na nim żółtawy, skośny pas.

Pochyliłem się. Nie. To tylko jaśniejszy refleks bijący od prześwietlonych na mgnienie chmur.

- Mam zapis - odezwał się Guskin, wskazując ruchem głowy przystawkę kalkulatora.

- Mam zapis - powtórzył jak echo Sennison z kabiny Idiomu.

Mają zapis. Osobliwe. Skoro po to właśnie instaluje się przystawki pamięciowe. No cóż. Dobrze jest czasem podzielić się szczyptą optymizmu. Zapis. Coś przynajmniej mają.

Jasne, że pobawimy się tym zapisem. Przejdziemy całą taśmę, milimetr po milimetrze. Przekażemy wszystko bazie. Może ktoś zrobi z tego doktorat?

Z fotela Guskina dobiegło głębokie westchnienie. Kabina drgnęła i przekreśliła się o kilka stopni. Pas obserwacji sięgał teraz głębiej.

- Czy to był atak?

Pojawieniu się na Ziemi pierwszych stymulatorów, sprzężonych bezpośrednio z polami mózgowymi człowieka, towarzyszyły interesujące zjawiska literackie. Ludzie wywołali w wyobraźni obraz doskonałej istoty przyszłości. Z automatyczną korekturą homeostazy, kontrolowanymi reakcjami nerwowymi, sztucznymi organami i aparaturą sterującą wszelkimi procesami psychicznymi. Między innymi z autonomiczną aparaturą łączności - wewnętrzną i zewnętrzną. Cyborgom, jak nazywano owe twory, zarastały wargi. Po prostu, nie były potrzebne. Literatura literaturą, ale ta ostatnia wizja miała dla mnie niezaprzeczalny powab.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Gus przebiegł wzrokiem klawiaturę pulpitu, po czym wolno, jakby z wysiłkiem uniósł dłoń i przeciągnął palcami po czole.

- Jeśli Anima siadła na czymś takim... - zawiesił głos.

Nie musiał kończyć. Równie dobrze jak ja wiedział, że nie siadła. Po lądowaniu rozwinęła zwykłą ceremonię rozpoznania. Przez dwie godziny przekazywała meldunki. Potem dopiero...

Potem mogło się zdarzyć wszystko. Wypłynęli na ocean i zostali wessani przez czarne studnie. Grunt pod nimi ruszył i zawłókł ich w podziemia "białych piramid". Porwały ich Syreny. Wyparowali.

- Spróbujcie przejechać plażą - odezwał się Sennison.

To na odmianę nie było głupie.

Łąd przyjął nas wystarczająco gościnnie. A wloty szybów w oceanie, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od brzegu, zachowywały się grzecznie. Podmorskie urzędnicy działały w sposób nasuwający myśl o konsekwentnym wypełnianiu dawno wprowadzonego programu. Co, naturalnie, mogło się okazać równie złudne, jak niewzruszoność podłoża na stokach wydm. Ale trzeciej drogi nie było.

Rozjaśniłem ekran i uważnie zlustrowałem najbliższy odcinek wąskiego pasa plaży. Cisza. Żadnych wzniesień, rowów, uskoków. W razie czego, łazik rozwinie maksymalną szybkość. Gdyby "wędrujące zbocza" zechciały sięgnąć po nas aż tutaj.

Kabina wykonała pół obrotu. Ująłem prowadnicę i skinąłem na Guskina.

Odblokował stery. Ale nie dlatego żeby się domyślił, co chciałem powiedzieć.

Na wprost wydmy, którą opuściliśmy w takim pośpiechu, ocean cofnął się. Nie cofnął. Nie było żadnego uchwytnego ruchu. Po prostu powstała próżnia o gładkich, pionowych, rosnących z odległością ścianach wody. Wody! Raczej rozcieńczonego mlekiem płynnego srebra. Odślonięta w ten sposób przestrzeń miała

kształt trójkątnego klina, celującego szpicem ku horyzontowi. W końcu tego szpica, nie dalej niż sto metrów od brzegu, coś się poruszyło.

- Gil! - dobiegł mnie zdławiony głos Guskina. Nie spojrzałem nawet w jego stronę. Nie teraz.

- Daj sondę - rzuciłem.

- Sonda! - szczeknął głośnik.

Tym razem nie wyobrażałem sobie, co robi Sen w swojej kabinie. Miałem raczej ochotę zamknąć oczy i otworzyć je dopiero wtedy, kiedy tu, na ekranie, ukaże się bliski obraz oceanu.

Tak. To byli ludzie. Trzy sylwetki, posuwające się mozolnie po odkrytym dnie morza. Z charakterystycznymi zgrubieniami próżniowego ekwipunku.

Ludzie.

Nonsens. Nowe diabelstwo rasy zasiedlającej tę sympatyczną planetę.

Trudno nawet powiedzieć: ludzie. Nie mówi się tak o znajomych. A ja znałem tych ludzi. Znałem sylwetkę tego, który szedł pierwszy. Nie sposób zapomnieć, jeśli widziało się ją chociażby raz w życiu. To wychylenie do przodu. Przygarbienie a właściwie załamanie tam, gdzie zaczyna się kryza kasku.

Reuss. Biochemik, twórca teorii styku informatycznego, pierwszy nawigator Animy.

Reuss. Kiedy szedł, jego niesłychanie długie ręce kołysały się do przodu i do tyłu, jak staroświeckie cepy. Wyglądało, że kosztuje go dużo trudu utrzymywanie ich nad powierzchnią gruntu.

Teraz widniał w nich jakiś lśniący, ciemny przedmiot.

- Daję sygnał - rzuciłem, uderzając palcem w klawisz fotonowego reflektora. - Tlen - dodałem. Guskin odwrócił kabinę. Jego dłonie poruszały się nad pulpitem rozrządu jak zaprogramowane.

Z oparcia foteli wypełzły elastyczne wysięgniki, unoszące kaski. Wzdłuż naszych ciał przesunęły się anteny automatów kontrolnych. Zamocowanie hełmów, uzupełnienie ogniwi energetycznych, sprawdzenie szczelności skafandrów i aparatury łączności - wszystko to nie trwało pięciu sekund. WT skroniach obudził się szum, jak zawsze w pierwszych chwilach po przejściu na zamknięty układ zasilający. Pancerne ściany kabiny bezszelestnie zapadły w głąb. Poraził mnie błysk. Nieopatrznie zwróciłem twarz w stronę fotonowego reflektora, z którego w nierównych odstępach czasu tryskały żądła sygnałów. Nie było potrzeby sprawdzać, czy ludzie na dnie

odstłoniętym jak w bajce o Czarnomorze, zauważyli te niewymiernie cienkie nitki, w ciągu tysięcznych części sekundy łączące nadbrzeżne wydmy z linią horyzontu. Nie mogli ich nie zauważyć.

Kiedy przejrzałem, biegłem już, z całą szybkością na jaką pozwalał mój ekwipunek. Nade mną zajaśniało, nie zwróciłem na to uwagi, wdzierałem się na zbocze pierwszej wydmy, z wysiłkiem wrywając buty z miękkiego podłoża. Linia brzegu stanowiła łuk, łagodny, ale i tego było mi za dużo, puściłem się na krótsze przez wzgórza. Nie przebiegłem nawet stu metrów, kiedy na skroniach krtani zacisnęły mi się wąskie, kolczaste obręcze. Rzuciłem okiem na wskaźnik pod okapem hełmu i zwiększyłem dopływ tlenu. Biegłem. Potknąłem się, poleciałem do przodu, odepchnąłem rękami od łagodnego stoku, zatoczyłem i biegłem dalej. Nie widziałem nic. Pozostały mi dwa ostatnie, karłowate wzniesienia. Teraz dopiero pojąłem, że palnąłem głupstwo. Należało biec plażą.

Wygramoliłem się na kolejny wierzchołek. Wtedy ujrzałem ich znowu. Byli nie dalej niż o trzydzieści kroków. Nawet, gdyby teraz morze wróciło, znaleźliby się na płyciźnie.

Reuss zauważył mnie. Staął. Zatrzymałem się i krzyknąłem. Pomachałem do niego. Nie odpowiedział. Chwilę nie robił nic. Nie odwrócił się nawet do dwóch pozostałych. Wreszcie, jakby podjąwszy decyzję, uniósł ręce. Mogłem teraz przyjrzeć się lepiej temu, co w nich trzymał.

Krzyknąłem znowu. Widziałem go już wyraźnie, przez szybę kasku poznawałem rysy jego twarzy. Wtedy nagle opuścił ręce, spojrział prosto przed siebie, w stronę wzgórza, z którego spędziło nas "wędrujące zbocze" i ruszył dalej. Tamci podążyli za nim.

To mi się nie spodobało. Nie spodobało mi się coś nienaturalnego w ich ruchach, w sposobie trzymania rąk, w wolnych, jakby odmierzonych krokach.

Nie zdążyłem zastanowić się nad tym. Uwagę moją przykuł pochwycony kątem oka ruch w okolicy sąsiedniej wydmy. Jakby cały jej wierzchołek przesunął się odrobinę w kierunku morza. Spojrzałem bliżej. Tuż pode mną, w połowie najbliższego stoku, grunt zaczął się wybrzuszać.

Zmartwiałem. W powietrzu panowała idealna cisza. Nawet wiatr ucichł.

Zbocze pęczniało w oczach. Właściwie nie zbocze samo. Jego najcieńsza, powierzchniowa warstwa. Jakby była utkana z elastycznej materii, pod którą ktoś zaczął nagle nadymać karnawałowy balonik. Wielkości domu.

I nagle cały stok z rozrastającą się w jego wnętrzu banią ruszył w moją stronę.

- Gil! Gil! - krzyk Sennisona niemal rozłupał mi czaszkę.

Widział. Mimo to błyskawicznym ruchem głowy, wbiłem w kask kontakt sygnalizacji alarmowej. Już biegnąc, szybciej niż przed chwilą. Nie miałem nawet miotacza. Nie pomyślałem o tym, wychodząc z łazika na spotkanie ludzi.

- Do mnie, Gus! Do mnie! - zawołałem.

- Tak, Gil - usłyszałem natychmiast. W głosie Guskina zabrzmiała ulga. "Za wcześnie" - przebiegło mi przez myśl.

Za wcześnie. W plecy uderzyła ściana rozprężającego się z potworną szybkością gazu, pod powiekami zawirowały mi czerwone słońca, przeleciałem koziółkując szczyt pagórka i znieruchomiałem.

Nie wiem jak długo to trwało. Niezbyt długo. Nie pozwoliła na to zainstalowana w skafandrze aparatura. Ale świat, jaki ujrzałem po przebudzeniu, był tak różny od zapamiętanego, że mogły minąć lata.

Planeta ma znośną atmosferę. Gdyby nie to, byłoby po mnie. Od kolan w dół, z mojego skafandra pozostały strzępy. Pas był zerwany. Tylko kask, kiedy ostrożnie obmacałem go palcami, wydał się nietknięty. Jego aparatura działała normalnie. Ocalały światełka sygnalizacyjne. Jedno z nich, skacząc gorączkowym pulsem, dawało znać, że skafander jest uszkodzony.

Spojrzałem przed siebie i przeraziłem się. W obłądnym strachu powędrowałem palcami do oczu. Trafiłem ponownie w szybę kasku i uspokoiłem się. Poruszyłem głowę. Nie pomogło.

Usłyszałem głucho dudnienie. Zerwałem się i ukląknęm. Wytężając wzrok wyciągnąłem przed siebie ramiona, jakbym chciał osłabić mające nastąpić uderzenie. Ale nic się nie stało.

Odczekałem chwilę i rozejrzałem się. Dym. Tkwiałem wewnątrz zbitego, czarnego kokona. Jego ściany były utkane z luźnych pasemek, ale i pomiędzy nimi nie pozostało dość światła, bym mógł dojrzeć własne rękawice.

Wskaźnik promieniowania ani drgnął. Czujniki milczały. A więc miotacze nie miały z tym nic wspólnego. Uderzenie przyszło z zewnątrz. Z lądu czy oceanu? Nieważne. Skoro nie znali broni termojądrowej... w każdym razie, skoro jej nie użyli.

Podniosłem się i wywołałem Guskina. Nie odpowiedział. Widać antenki skafandra jednak nie wytrzymały. Uspokoił mnie widok błękitnej niteczki namiaru, przepoławiającej miniaturowy ekran pod okapem hełmu. Droga.

Wyprostowałem się z trudem. Ruchowi temu towarzyszyło jakby pęknięcie krepujących mnie od lat sznurów. Poczułem, że ziemia ucieka mi spod nóg i na moment przymknąłem oczy.

Szedłem jednak. I to nie w stronę łazika. Nedorzecznosc, ale ten dym, czy co to było, dawał złudzenie bezpieczeństwa.

Szedłem w przeciwnym kierunku. Tam, gdzie przedtem byli ludzie. Pojmowałem już z grubsza co zaszło. W każdym razie, że nie ja byłem celem ataku. Nie obroniłbym się. Nie miałem żadnych szans. Jeśli żyję, to znaczy, że rzecz rozegrała się między "wędrującymi zbroczkami" a Reusem i jego towarzyszami.

Zdałem sobie sprawę, że nie przyjrzałem im się nawet. Nie potrafiłbym powiedzieć chociaż tyle, czy biochemik prowadził za sobą mężczyzn, czy kobiety. Na Animie były dwie specjalistki, od niedawna przebywające w bazie, Yba i Nysa.

Przede mną pojaśniało. Zrobiłem jeszcze dwa kroki i zatrzymałem się. Czubki moich butów dotknęły nieruchomej powłoki oceanu.

W dymie mignęły nikłe refleksy. Przypomniałem sobie chmury wiszące nad planetą i prześwity w ich skłębionej masie, jakby niebo płonęło tam żółtym ogniem.

Skręciłem i zacząłem iść plażą. Szedłem powoli, stale trzymając się brzegu. W pewnej chwili, metr przed sobą, ujrzałem ciemny, workowaty kształt. Zrobiłem krok do przodu i stanąłem w pełnym świetle. Ściana dymu została poza mną. Jak okiem sięgnąć rozpościerała się przestrzeń, w której nic się nie działo. Nie pozostało śladu po czarnych studniach w oceanie. Przedgórze i szerokie upłazy podprowadzające pod szczyty trwały w bezruchu. Ciszy nie mącił najlżejszy szelest.

Tuż przede mną leżał człowiek. Reuss. I nie musiałem się schylać, żeby nabrać pewności. Nie żył.

Przetrwał cały ten czas. Czekał na nas. Czekał na ten właśnie moment, żeby zginąć. To zbyt niedorzeczne.

Za sobą usłyszałem ciche brzęczenie, jakby napinanej do granic wytrzymałości liny. Dźwięk stawał się bliższy, wyraźniejszy. Nie odwróciłem się. Tak pracują silniki łazika. Nie miałem wątpliwości, że Gus mnie odnajdzie. Skoro na moim ekranie ocalał sygnał drogi, tym bardziej on musiał odbierać impulsy wysyłane przez aparaturę namiarową skafandra. Ale nie myślałem o tym.

Dźwięk urwał się nagle. Usłyszałem szum krwi w skroniach. W dalszym ciągu nie robiłem nic. Wpatrywałem się w czarne, pokryte kopciem strzępy skafandra Reussa, w zakrzepłą już ranę, biegnącą od podudzia poprzez brzuch i klatkę piersiową

do obojczyka.

Cisza stawała się nie do zniesienia. Powoli wyprostowałem się i zwilżyłem językiem wargi.

- No, to mamy pierwszego - dobiegł z tyłu chrapliwy, nienaturalnie spokojny głos Guskina.

Zegar w bazie na satelicie Czwartej wybił drugą. Cofnąłem zapis i przesłuchałem ostatnie zdania.

"Mamy pierwszego..."

Nic we mnie nie drgnęło na wspomnienie tych słów, w których wtedy nie zabrzmiał nawet cień żalu, tylko .świadomość, że nic już nie można zrobić.

Wyprostowałem się. Wodzik pióra, zwolniony nagle, odskoczył, trafiając w podstawę ekranu. Rozległ się głos jakby dziecko uderzyło opuszką palca w krawędź wielkiego dzwonu. Wszystko tu jest głuche, wytlumione.

Dosyć na dzisiaj. Poza dwugodzinnym obchodem .automatów obserwacyjnych, pisałem cały dzień. Nie będzie teraz łatwiej liczyć dni. Ale nie dlatego zacząłem pisać.

Wstałem, odsunąłem fotel i wyłączyłem aparaturę. Nie rozglądając się podszedłem do iluminatora. Założyłem ręce na plecach. Pochyliłem się odrobinę do przodu, dotykając brodą szyby.

W macierzystej bazie pilotów Proksimy była teraz wiosna. Wiosenne niebo. Żeby je stracić, wystarczy polecieć do gwiazd.

Pomyślałem, że w tym roku wiosna przyszła równocześnie do bazy i na mój rodzinny kontynent...

Cofnąłem się od okna.

O jaki kontynent chodzi? O nie znany mi nawet obszar Trzeciej, planety, która przestała istnieć? To znaczy, przestało istnieć wszystko, co daje galaktyczna osobowość ciałom niebieskim, pływającym się od tysiącleci w słonecznej ekosferze. Bo o jakim innym kontynencie mogłem pomyśleć?

. Wyciągnąłem przed siebie ręce, przywarłem dłońmi do pianowej obudowy ściany i spojrzałem w górę. Trzecia świeciła jasnym, lekko zaróżowionym blaskiem. Gwiazda pierwszej wielkości. Martwa gwiazda. Przez najbliższe miliony lat w leniwy pochód jej ewolucji nie wmiesza się żadna istota technologiczna. W każdym razie nie z tego układu. Może w nie strawionych do końca powierzchniowych warstwach skał zachowa się pamięć kształtu białych piramid i aparatury dróg, którymi dawni mieszkańcy sięgali do oceanów. Może za miliony lat na tym poświęcającym różowo pogorzeliisku rozwinie się nowa rasa, zintegrowana, która tym razem zagospodaruje całą biosferę. Oczywiście, jeśli pozwolą na to ci... z Czwartej.

Przeniósłem spojrzenie na białawą, matową tarczę, stojącą nieruchomo tuż

nad horyzontem.

Mocne to ich słońce. W całej galaktyce trafiliśmy dotychczas na trzy czy cztery układy, cztery gwiazdy, obejmujące strefą życia aż pięć planet, z których dwie nie tylko pozostawały w jej zasięgu od milionów lat, ale co najmniej drugie tyle miały jeszcze przed sobą. I znowu pomyślałem "ich słońce". Poczułem ziąb na policzkach. Nie wiedziałem, że się uśmiecham. Tak samo uśmiechałem się wtedy, odchodząc od swoich. Dosyć tego. Od jakich "swoich"? Tych umarłych odległością, z którymi łączyło mnie wspomnienie ich świata, czy tych, o których świecie nie wiedziałem nic, jak to tylko możliwe, poza jednym: że z niego wyszedłem. Tych umarłych naprawdę.

Odepchnąłem się od ściany i odwróciłem gwałtownie.

Jestem zmęczony. Wystarczy usiąść w fotelu i podłączyć aparaturę diagnostyczną do kalkulatora. Kilka minut, kilkanaście pytań i będzie po wszystkim.

Nieprawda. Wiem przecież o co chodzi. Mówiąc ściśle, o kogo. Podszedłem do ekranu, przekazującego obraz farmy.

Cisza. Noc. Matowe kręgi nielicznych punktów świetlnych. Nieruchomy las otaczający zabudowania. Wąska tasiemka drogi, zaraz za bramą ginąca w gąszczu kopulastych drzew.

Sięgnąłem do pulpitu i powiększyłem wycinek obrazu. Z zamkniętymi oczami potrafiłbym wskazać każdy gwóźdź, tkwiący w tym budynku z okapem nad wejściem. Przyjrzałem się porzuconym sprzętom, odstawionym naczyniom, złożonym równo narzędziom. Gospodarstwo.

W czerni, pod niskim daszkiem coś się poruszyło.

To był on.

Wyszedł na środek odsłoniętej przestrzeni, oparł ręce na biodrach i zapatrzył się. Stał długo. W pewnym momencie poruszył się i wtedy światło lampy zalśniło na jego jasnych włosach białym reflekssem.

Odwrócił się. Omiótł spojrzeniem przestrzeń między budynkiem a ogrodzeniem. Sięgnął dłonią do czoła i potrzymał ją tam chwilę, jakby odkrył, że ma gorączkę. Ramiona mu opadły. Przygarbił się, pochylił i nie patrząc już za siebie ruszył w stronę drzwi. Mijając stolik i fotele przyspieszył kroku. Zniknął w cieniu, zanim zdążyłem przyjrzeć się jego twarzy.

Stale jeszcze szukam czegoś w tej twarzy. Jakbym nie wiedział, że jest tylko maską. Nie bardziej ale i nie mniej niż moja.

To nie twarz. To mózg tego właśnie... tej właśnie istoty sprawił, że jestem

sam. Tutaj. Gdybym miał jego twarz, sprawa byłaby prostsza. Znacznie prostsza.

Pomyślałem, że jeszcze trochę, a zacznę im zazdrościć. Nonsens. Odruchowo zerknąłem w stronę wskaźników. W porządku. Oczywiście, że w porządku. Moje włókna nerwowe zespoliły się, wygładziły, zamykając obieg porządkujących prądów.

Wyprostowałem się.

Teraz nie czuję nic. Na chłodno, z wyrachowaniem, szukam w tamtych siebie. Tak beznamiętnie, że mogę ufać sobie nie mniej niż automatom.

Pójdę już spać. Rano wstaną, zjem coś i wrócę do tego pulpitu. Obejmę palcami wodzik pióra świetlnego i będę pisał dalej.

Grunt był nieprzyjemny, grząski. Z ulgą poczułem pod stopami stalową platformę windy.

Odwróciłem się, oparłem o zastrzały prowadnicy i spojrzałem pod nogi. Niczym nie osłonięta krawędź platformy znajdowała się centymetr przed czubkami moich butów. Granica światów.

Uniosłem głowę. Zmrok zapadał szybko. To przez te chmury. Pociemniały już grunt wyglądał jak posypyany drobnutkim, brudnym zwirem. Tu i ówdzie połyskiwały w nim pasemka szkliwa. Ostatnie, nie zabliznione przez wiatr ślady lądowania ciężkiego statku. Dwadzieścia metrów dalej sylwetka Sennisona. Stał tyłem do nas, sztywno wyprostowany, z nisko pochyloną głową. Był bez kasku. Widziałem jego zmierzwione, jasne, jakby sztucznie odbarwione włosy i nie wiedzieć czemu pomyślałem, że wszyscy piloci w bazie są jasnymi blondynami.

Stał tak już dobre pięć minut. Od chwili kiedy skończyliśmy z tym jednym, co zostało do zrobienia. Ręce oparł na biodrach. Zawsze tak stawał, jak zawodnik, oceniający przed startem szczególnie trudną przebieżkę. Nie wiedział, że tak wygląda. Nie myślał o tym. Zwłaszcza teraz, na tle tego podłużnego, prostokątnego kopczyka obcej ziemi.

Nie ponaglałem go.

Także Guskin, od kiedy opuściliśmy kabinę Idiomu, nie odezwał się słowem. I przedtem nie był rozmowny. Nie pytany przez nikogo mruknął tylko, że zostaje na górze. Ktoś musiał dyżurować w nawigacyjnej, przy aparaturze.

Nie ponaglałem Sena. W doskonałej ciszy, w pogłębiającym się mroku, jego sylwetka coraz bardziej upodabniała się do starego posągu. Na przykład posągu Przybysza, który zaskoczony niezwykłą ciszą przystanął na moment i tak już pozostał,

żeby chłonać ją przez całą wieczność.

Jakby ta cisza zastąpiła przestrzeń. Jakby milczenie galaktyk sprężyło się tutaj między półkulami chmur, niby w futerale niemego instrumentu. Ogarnęło mnie uczucie, że tkwimy w tym pudle zamknięci równie pewnie i nieodwołalnie jak Reuss w swoim wąskim prostopadłościanie, usypanym z brudnego, lepkiego żwiru.

W tym momencie Sennison odwrócił się i zaczął iść w moją stronę. Ujrzałem jego twarz.

Prawda. Sen, jako jedyny z naszej trójki, był bliżej z Reussem. Ale to nie miało znaczenia. Każdy z nas miał o czym myśleć. Dlatego w ciągu godzin, jakie minęły od eksplozji w rejonie nadmorskich wydm, Gus i Sen wymienili może pięć zdań. O sobie nie mówię.

Przeglądaliśmy zapisy w nieskończoność. Cofaliśmy po pięć, sześć razy te same fragmenty, zarejestrowane przez aparaturę Idiomu, kiedy zarówno my na dole, jak i ślęczący przy celownikach Sennison, nie byliśmy zdolni do prowadzenia normalnej obserwacji.

W końcu, przy dwunastej czy trzynastej kombinacji programów zdaliśmy sobie sprawę, że od dłuższego czasu wyniki przynoszą tylko nic nie znaczące różnice ilościowe.

Jakiś czas siedzieliśmy bez ruchu. Potem Sennison wstał, podszedł do fotela, w którym spoczywało ciało Reussa i zaczął go ubierać. Zapiął mu skafander i buty. Uzupełnił osobistą aparaturę. Zgodnie z niepisaną tradycją wymienił zużyte ogniwa energetyczne na nowe. Wreszcie uniósł ciało i przerzucił je sobie przez plecy. Podniosłem się. Wtedy właśnie Gus mruknął, że zostanie w kabinie.

Prowadnice pracowały bezszelestnie. Zwiększało się tylko pole widzenia. Z mroku wystąpił zewnętrzny pierścień automatów strażniczych. Przedpole skrawka cudzej ziemi, który wzięliśmy w posiadanie. Dalej był obcy i wrogi glob, każdą cząstką materii dający do zrozumienia, że jego prawowici gospodarze nikogo do siebie nie zapraszali. A nas w szczególności.

Platforma zafalowała i przystanęła. Automat śluzy 'milczał. Kłapa była otwarta. To jedno. Atmosfera, w której ludzie mogli czuć się dobrze. Jak na ironię. Zrzuciłem kask, skafander, zabawiłem chwilę w łazience, po czym zająłem miejsce przed ekranami. Sen poszedł w moje ślady. Mruknął coś i zmienił obieg w klimatyzatorach. Został w samych slipach. Patrzyłem, jak układa się w fotelu. Zawsze sprawiał wrażenie, że ulega naturalnym siłom, działającym na jego ciało, sprawdza od

niechcenia wiązania mięśni, jakby udając, że nie bierze udziału w ich grze. Podłożył ramiona pod głowę i znieruchomiał.

Czekaliśmy.

Ocean rozstępuje się. Wychodzą ludzie. W porządku. Przedtem jeszcze pojawiają się czarne wiry, podobne do pionowych szybów. Tworzą krąg. "Liście", to znaczy podwodne budowle czy konstrukcje nakryte liściastymi płaszczyznami cały czas trwają nieruchomo.

Ocean jest zamieszkały. Również ląd jest zamieszkały. Poza strefą przybrzeżną. Ta natomiast roi się od zainstalowanych pod powierzchnią pól siłowych, transporterów, przewodów, licho wie czego. Kiedy w oceanie otwierają się szyby, góry poczynają dymić. Zgoda.

Wszystko to jest jasne i oczywiste. Jak tabliczka mnożenia. Nie interesuje nas, dlaczego coś się dzieje. I nie będziemy spekulować na temat jak to się dzieje. Będziemy czekać.

Reuss wyszedł z oceanu. Zobaczył nas i to go zastanowiło. Tylko tyle. Nie poświęcił nam więcej uwagi, niż na przykład ptakom, spotykanym zazwyczaj w innej porze roku. Potem ruszył dalej. Ale nie uszedł daleko...

Prowadził dwoje ludzi. Może dwóch. Może dwie kobiety.

Ten punkt pozostawał niejasny. Zarejestrowany w przystawkach pamięciowych pokładowej aparatury obraz ludzi wyłaniających się z oceanu, był nieostry.

Trudno nawet powiedzieć "nieostry". Raczej zniekształcony. Trzy identyczne sylwetki. Zamazane, pełne refleksów świetlnych, w asyście nieskończonych szeregów odbić.

Chciałbym, żeby ta noc była już za nami.

Na dobrą sprawę nie wolno nam tutaj nocować. Powinniśmy teraz przygotować się do startu. Wciągnąć automaty i obliczyć bezpieczną, stacjonarną orbitę. Wrócić za dnia i zacząć wszystko od nowa. Ale żaden z nas nie weźmie tego na siebie. Może, gdybym był na miejscu Sena... tylko że nie jestem na jego» miejscu. Tym lepiej.

Ci, po których przybyliśmy tutaj, przetrwali. Musieli nas zauważyć. Być może, odbierają sygnały wywoławcze Idiomu, a tylko z jakichś powodów nie mogą na nie zareagować. Jest ich o jednego mniej, prawda. A jeśli pozostali właśnie noc wybiorą dla nawiązania z nami kontaktu?

- Co z celownikami? - odezwał się nagle Guskin, jakby słyszał, o czym myślałem.

Zdrowy rozsądek nakazywał tak zaprogramować automaty celownicze, żeby każda istota czy przedmiot próbujący naruszyć linię kordonu, ściągnął na siebie ogień miotaczy. Jeśli jednak podejda ludzie?

Pytanie Guskina nie dotyczyło czynności, jaką mieliśmy wykonać. Była w nim nadzieja.

- Obejrzyjmy to jeszcze raz - powiedział Sennison.

Znalazł wyjście. Zawsze ta wiara, że poza wskazaniem najpojemniejszych kalkulatorów jest jeszcze nieosiągalna dla aparatury chwila, w której umysł człowieka doznaje olśnienia. Czymś przynajmniej się zajmą. Skoro tak trudno im znieść, że nie mają o czym mówić.

Sen wstał i podszedł do projektora. Wcisnął klawisz. Odstąpił kilka kroków i utkwiał wzrok w ekranie.

Tarcza ożyła. Chwilę pulsowała mętnawym światłem, po czym w ułamku sekundy wypełniła się obrazem.

Laserowe obiektywy wyostrzały kolory. Ocean stał się srebrny. Chmury nabrały dziesiątek odcieni, ożywały, tworzyły samodzielny, dziki świat, niezależny od praw rządzących środowiskiem planety. Okrągłe próżnie w oceanie nie były czarne, tylko bezbarwne. Z wysokości anten Idiomu, jak to widział wtedy Sennison, przypominały osadzone pionowo rury, ucięte równo z płaszczyzną wody. Jednostajnym, spokojnym ruchem toczyły się po stycznej równoległej do linii brzegu.

Ledwie słyszalne cmokanie przekaźników w aparaturze. Szum prądów w pełzających na jałowym biegu bębnach analizatorów. Półmrok, rozświetlony tylko refleksami padającymi z ekranu i pastelami czujników.

Nasza ucieczka. Pochwyliłem ukradkowe spojrzenie Sena. Niewiele mnie to obeszło. Ruch zbocza. W całym polu widzenia ani śladu czegoś, co od biedy mogło przypominać aparaturę sterującą ruchami powierzchni. Po prostu wędrujące wycinki gruntu.

Teraz. Nagle otwarte dno oceanu. Człowiek. Pamiętam, że wtedy widziałem jego twarz. Kalkulator jednak zapisał plan, przekazany przez obiektywy statku. Zawierał widać większą ilość informacji. Obecnie widoczny był zaledwie okap hełmu. Ale nie potrzebowałem upewniać się co do rysów tej twarzy. W bazie nie było nikogo o sylwetce zbliżonej chociażby do Reussa.

Tylko, że ci, którzy szli za nim, wyglądali dokładnie tak samo. Żle powiedziałem. Byli tacy sami. Te same nadmiernie wydłużone postacie, jakby złamane w miejscu, gdzie zaczyna się kryza kasku. Identyczne ruchy. Nieludzko długie ręce, dźwigające ciemne, połyskujące przedmioty.

- Jak to wygląda od brzegu? - spytał nagle Guskin.

Nie wytrzymałem.

- Tak jak pół godziny temu - bąknąłem.

Pominęli to. Identyczne pytanie zadał Sen, kiedy po raz pierwszy przeglądaliśmy zapisy. Sprawdzaliśmy potem kilka razy. Bez skutku. Ta trójka ze wszystkich stron wyglądała tak samo.

Można sobie ostatecznie wyobrazić, że odbicia promieni od trzech ścian pustki w oceanie dają zwielokrotniony obraz tego, co dzieje się między tymi ścianami. Przemawiały za tym niezliczone refleksy. W takim razie od początku mógł to być Reuss i tylko Reuss.

Tak. Tylko, że od strony ładu nie było milimetrowej chociażby warstwy wody, śladu ścianki czy innej przeszkody, która odbijała promienie. Odsłonięte dno łączyło się z brzegiem na kształt dobrze ułożonego, wygodnego deptaku.

Sen postąpił chwilę, po czym bez słowa wyłączył aparaturę. Pod sklepieniem zapłonęły lampy.

- Będziemy czuwać na zmianę - powiedział, idąc w stronę stołu. - Miejmy nadzieję, że w razie czego zdążymy do celowników. Chcesz posiedzieć pierwszy? - zwrócił się do mnie.

Skinąłem głową.

- Ty mnie zmienisz? - spojrzałem na Gusa.

- Dobrze.

Kolację zjedliśmy w milczeniu. Pięć minut później Sennison zniknął w korytarzu, prowadzącym do trzech mikroskopijnych kabinek. Gus odprowadził go wzrokiem, po czym potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Trzeba z nim pogadać - stwierdził.

- O czym? - spytałem.

Spojrzał na mnie. W jego wzroku odmalowała się troska.

- Wiesz, o czym... - mruknął.

Wiedziałem. To znaczy, wiedziałem, o czym myśli. Nie, że trzeba pogadać. Doszedł do wniosku, że jeśli zaczniemy roztkliwiać się nad losem innych, prędzej czy

później pożałujemy samych siebie.

- Powiedz mu - powiedziałem zachęcającym tonem. - Tylko na to czeka. Przy najbliższej okazji. Ciekawe, kto to będzie... tym razem.

Przemilczał to. Pochylił się i utkwiał wzrok w krawędzi stołu. Siedział w tej pozycji dłuższą chwilę, wreszcie westchnął i posłał tęskne spojrzenie w stronę milczącej, wygaszonej aparatury stymulatorów.

- Szkoda... - mruknął.

Tym razem przyznałem mu rację. Sam o tym pomyślałem.

- To były ładne czasy, prawda? Nie poruszył się.

To były ładne czasy. Ale minęły. Czasy, kiedy nerwy i pola mózgowe pilotów działały pod dyktando stymulatorów. Kiedy człowiek podłączał się po prostu do aparatury i zyskiwał od razu wszystko: trzeźwość kalkulacji, jedyny, najlepszy wariant reakcji, zwielokrotnione tempo przepływu informacji i licho wie co jeszcze.

Mówiłem o tym z "Technicznym". Wyraziłem pogląd, że zakaz stosowania aparatury stymulującej wydali ludzie, których duchowych przodków należy szukać wśród inkwizytorów. Lub neoscholastyków ze szkoły dominikańskiej. Jednych i drugich cechował ten sam szacunek dla racjonalnych przesłanek myślenia. I działania.

"Technicznego" napełniło to troską głębszą niż kiedykolwiek. Długo milczał, patrząc na mnie ze smutkiem, po czym wygłosił przemówienie. Stymulacja - orzekł - spełniała swoje zadanie do pewnego momentu. To znaczy do pierwszych kontaktów galaktycznych człowieka. Wtedy okazało się nagle, że owe pogardzane stany emocjonalne, strach, radość, wzruszenie, że wszystko co piloci uważali dotąd za słabość, jest jeszcze jedną, nierzadko najlepszą płaszczyzną porozumienia.

"Pod jednym warunkiem" - odpowiedziałem - "że w razie czego człowiek sam sobie zastąpi aparaturę stymulującą". Dodałem jeszcze, że zastanawia mnie konsekwencja ludzi jego pokroju. Bo pełne zestawy tej aparatury w dalszym ciągu instalowano na wszystkich nowych statkach, pomimo że od wejścia w życie zakazu jej stosowania minęło kilkadziesiąt lat. Żeby wszystko było w porządku pomyślano o blokadzie, a jakże. Dało się ją usunąć paznokciem. Powiedziałem, żeby to sobie przemyślał w wolnej chwili.

Gus nie miałby niż przeciwko temu, żeby uruchomić teraz ten paznokieć. Zapropnowałem, że zrobię to dla niego.

- Nie - odparł szybciej i głośniejszym głosem niż było trzeba.

Wzruszyłem ramionami.

- Masz jeszcze diagnostykę - podsunąłem.

Potrząsnął głową.

Aparatura diagnostyczna nie była w gruncie rzeczy niczym innym jak ograniczonym systemem stymulatorów. "Na wszelki wypadek". W ułamkach sekundy określała stan organizmu. Aplikowała chemikalia. Przeprowadzała transfuzje i przeszczepy. Na życzenie usypiała. Nie dotykała tylko pól, otaczających centra mózgowe. Jak długo nie zrobiło się tego ruchu paznokciem.

- Coś mi się w tym nie podoba - orzekł nagle Gus.

Spojrzałem na niego. Splótł palce pod brodą i zasepił się.

- Hm...

- Nie podobało mi się już tam, na wybrzeżu - wyjaśnił.

Odczekałem chwilę. Milczał dłużej, niż zwykle.

- Nie tobie jednemu - mruknąłem.

- Miałem nadzieję, że ten trójkąt w oceanie był zamknięty trzema odbłaskowymi ścianami - powiedział. - Mielibyśmy przynajmniej hipotezę. Tak jak się sprawy mają, mogę powiedzieć tyle, że mi się to nie podoba...

Co innego móc powiedzieć, a co innego mówić - przebiegło mi przez myśl. Ale w gruncie rzeczy nie dziwiłem się, że rozpuścił język. Właśnie teraz. We trójkę ustala się poglądy. Z kimś jednym można po prostu głośno myśleć. Nie mógł sobie tego odmówić. Bo co do poglądów, ich brak był aż nadto widoczny.

- Wiem - rzuciłem. - Wcale nie chodziło ci o Sena, kiedy mówiłeś o pogadaniu. Miałeś kłopoty z własnymi myślami. Dlatego zerkałeś łakomie w stronę stymulatorów.

- Mimo to - odrzekł szybko - nie sięgniemy do aparatury.

- Jak długo się da - burknąłem. Zaczynał mnie drażnić.

- Dobranoc - rzekł przyciszonym głosem.

- Dobranoc - odpowiedziałem. - Zbudzę cię za dwie godziny.

Nitkowate wykresy falujące w wydłużonych elipsach kontrolnych ekranów. Setki pastelowych światełek nad pulpitemi. Sącząca się z nich poświata nie docierała do mojej twarzy. Kabina tonęła w zupełnym mroku. Nasłuch zewnętrzny nie przynosił najłagodniejszego przepływu wiatru. Jednego, najdalszego dźwięku od czerniejących na widnokręgu gór. Jednego najcichszego poszumu oceanu.

Od pewnego czasu przestałem śledzić delikatnie pulsujące czujniki. W razie

czego i tak zostanę w porę ostrzeżony. Zdążą zrobić ten ruch w stronę celowników i spustu.

Na ekranie, w pasmach podczerwieni, chmury, srebrzystoszary ocean i nadbrzeżne wydmy nabierają nowego, groźnego wyrazu. Ostrzegają.

Myślę, jak będzie wyglądał nasz pierwszy świt tutaj. I nagle ogarnia mnie pewność, że to będzie zły" dzień. Że nie ma się do czego spieszyć.

Niedorzeczność. Ale brnę dalej. Myślę, że ludzie, których mamy stąd zabrać, nie należą już do nas. Reuss powinien być tu zostać. I nie tylko on. Planeta wzięła ich w posiadanie. A może to oni zajęli się jej sprawami?

- Moja kolej, Gil - zabrzmiało za moimi plecami.

Wzdrygnąłem się i odwróciłem gwałtownie.

- Co się stało? - spytał Guskin, odruchowo robiąc krok do tyłu.

Potrząsnąłem głową i niecierpliwym ruchem rozłączyłem aparaturę skafandra.

- Nic - burknąłem, - Siadaj.

Cztery godziny później zaczął się dzień. Pierwsze zapłonęły chmury, od razu odbijając się krwistym światłem w wierzchołkach gór. Niecałe dwie minuty później rozsrebrzyła się powierzchnia oceanu. Trudno nawet nazwać to świtem.

Tym razem łazik miał zostać na swoim miejscu, pod dyszami statku.

Postanowiłem wziąć polota.

- Będą kłopoty z łącznością - skrzywił się Sen.

- Lepiej mieć kiepską łączność, niż nie mieć z kim jej nawiązać - burknąłem.

- Łazik i tak nie dałby rady w górach - powiedział pojednawczym tonem

Guskin.

Może i dałby radę. Wiedziałem o co chodzi Senowi i on doskonale zdawał sobie sprawę, że ja wiem. Łazik jest pojazdem kontaktowym. Polot bojowym. Ta różnica mówi wiele. Jeśli o mnie chodzi, nie miałem zamiaru dać się wysadzić w powietrze czy wessać pod ziemię w imię galaktycznej solidarności.

Wieżyczka polota miała kształt spłaszczonej czaszy o mocno wywiniętych brzegach. Za nimi czaiły się głęboko cofnięte w swoich leżach wyloty miotaczy. Pod stopami czuło się obecność dwóch pokładów energetycznych i ładunkowych. W górze falowały delikatne żyłki anten, rozczapierzonych na kształt liści palmy.

Pojazd, unoszony na poduszce atmosferycznej, poruszał się wydłużonymi susami. Na patrzących z boku mogło to istotnie sprawiać wrażenie polatywania.

Niemniej jego nazwa nie miała z tym nic wspólnego. Była po prostu skróttem. Regulaminowo wehikuł nosił nazwę polotronu. O jego przeznaczeniu można napisać tomy. Sądząc z tego, co słyszeliśmy na kursach. Eksploracja globów amoniakalnych, praca w warunkach wysokich ciśnień i tak dalej.

Naprawdę, jak powiedziałem, był przeznaczony do walki. Jeśli nawet ci, którzy go zbudowali, nie lubili się do tego przyznawać. Ale to nic mnie teraz nie obchodziło. Skończyła się noc, a z nią czekanie.

Pierwsze piętnaście minut jechaliśmy prosto na północ. Nie miało sensu pchać się na oślep w objęcia podziemnej aparatury, zanim nie dowiemy się czegoś o istotach, które ją zainstalowały.

Następnie, okrążając szerokim półkolem obszar wydm, skierowaliśmy pojazd w stronę zamykających widnokrąg gór. Wbrew pesymistycznym przewidywaniom Sennisona, łączność z Idiomedem przebiegała bez najmniejszych zakłóceń.

Licznik przebytej drogi wskazywał osiemnaście kilometrów. Góry przybliżyły się znacznie, ich postrzępione, surowe szczyty występowały powoli z masywu, usamodzielniały się. Jechaliśmy w ich stronę jeszcze kilka minut, po czym zmieniając kierunek o czterdzieści pięć stopni, skręciliśmy na zachód.

Między przybrzeżnymi wydmami, podobnymi stąd do rozprutych worków z piaskiem, a pierwszymi stromiznami gór, biegł równoległy do linii brzegowej oceanu pas gładkiej, jakby sztucznie zniwelowanej równiny. Jechaliśmy teraz jego środkiem, mijając tereny, gdzie wczoraj omal nie zakończyliśmy kariery pilotów Proksimy. Z tej odległości nie było tam nic widać.

Od pewnego czasu barwa podłoża zaczęła się zmieniać. Brudnawy żwir ustąpił miejsca drobnym kamyczkom a właściwie jakimś elastycznym, nieregularnym bryłkom. Początkowo zalegały jedynie w nielicznych zagłębieniach, stopniowo ich warstwa zgrubiała, pokryła całą powierzchnię, która z szarawej stała się sinozielona. Nie zatrzymując polota wprawiłem w ruch inhaustor, który wychynął z dziobu pojazdu jak pokracczna ręka i pobrał garść "kuleczek". Tak jak się spodziewaliśmy, były to rośliny. Pozbawione wszystkiego, co istota zamieszkująca uczciwy glob mogła nazwać "zielenią". Liści, korzeni, najdrobniejszych pędów czy chociażby otworków. Prymitywny zlepek kilkuset komórek. Tkwiły w cienkiej, niezwykle elastycznej łupince, która jednak rozdarła, raniła palce. Wydawały niemiły, oleisty zapach, zresztą bardzo słaby.

Gus rozduślił jedną na pulpicie sterowniczym. Wyciekło z niej trochę gęstego,

bezbarnego płynu, który po kilku sekundach zgęstniał i zakrzepł. Umieściliśmy kilkanaście tych roślinek w hermetycznym naczyniu.

Mijały minuty. Nasłuch nie przynosił żadnych podejrzanych dźwięków, żadnych w ogóle odgłosów, poza stłumionymi poświstami wiatru.

Nagle Guskin mruknął coś, wskazał dłonią przed siebie i zatrzymał pojazd.

- Strumyczek - mruknął.

Na to wyglądało. Ale nie przyjechałbym tu na biwak.

W odległości mniej więcej półtora kilometra drogę przegradzał nienaturalnie prosty, nitkowaty pas, poświęcający jak szkło. Wybiegł z gór, przecinał równinę i wpadał między pierwsze garby wydm.

- Co się stało? - zaniepokoił się Sen.

Sięgnąłem do pulpitu komunikacyjnego.

- Widzisz coś? - spytałem.

- Widzę, że stoicie - odpowiedział natychmiast.

- Daj sondę.

Na wysokości pięćdziesięciu metrów przemknął nad nami spłaszczony ostrosłup aparatu zwiadowczego. Przerzuciłem na ekran polota obraz przekazywany z góry. Ale oprócz znanego krajobrazu, między górami a oceanem nie zobaczyliśmy nic.

- O co chodzi? - dopytywał się Sennison.

- Nic - mruknałem. - Mamy halucynacje.

- Dobre i to - odpowiedział ponuro.

Chwilę panowała cisza.

- Pojedziemy przyrzeć się temu z bliska - powiedziałem w końcu. Gus skinął głową i zmienił położenie sterów.

Nie spuszczać wzroku z nitkowatej przeszkody przebyliśmy dalsze sześćset metrów. Strumyk, czy co to było, zamigotał kilkakrotnie odbitym od chmur światłem. Nagle zniknął.

Zastopowaliśmy.

- Miałeś rację - bąknął Guskin. - To rzeczywiście halucynacja...

Nie odpowiedziałem.

Kołujące nad kopułą pojazdu skrzydła anten w dalszym ciągu nie odbierały nic poza dalekim poszumem wiatru. Cały obszar, od oceanu, poprzez skarłale na skutek odległości skupiska wydm, do pierwszych szczytów tchnął ciszą i spokojem.

- Podjedźmy jeszcze - rzuciłem.

Guskin prowadził polota przy użyciu jednego silniczka, bacznie śledząc licznik. Sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... osiemdziesiąt... osiemdziesiąt pięć...

- Dość.

- W polocie nic nam nie grozi... - zaczął niepewnie Gus.

Wzruszyłem ramionami.

- Nic. Poza przejażdżką na latającym dywanie. W kierunku pionowym...

- O co do diabła wreszcie chodzi? - zniecierpliwiał się Sen.

Nie odpowiedzieliśmy.

- Daj dwieście metrów do tyłu - skinąłem do Guskina.

Polot zakołysał, ruszając na możliwie najmniejszych obrotach. Spod dziobu wzbijała się bezbarwna mgiełka. Miażdżone roślinki tryskały drobinami cieczy. Dotychczas mieliśmy to rosenie za sobą, widoczne nad dolną krawędzią rufowego ekranu.

Przejechaliśmy jakieś sto metrów po czym nagle, jakby nigdy nic, wystąpił przed nami, znowu w przyzwoitej odległości, poświęcający, poprzeczny pas. Polot stanął.

- Ciuciubabka - mruknął Guskin. - Do przodu - rzuciłem.

Nie ujechaliśmy daleko. Po kilkunastu sekundach na ekranie pozostało czyściutkie, równe przedpole, bez jednego zafalowania terenu, które mogło od biedy wytłumaczyć zagadkę znikającej przeszkody.

- Idziemy - powiedziałem.

Guskin spojrzał na mnie badawczo.

- Obaj?

- Uhm. Weźmiemy linę. Będę szedł pierwszy.

Zastanowił się chwilę po czym skinął głową.

- Dobrze - mruknął. - Koniec liny przy wiążemy do dziobu. To może być silniejsze...

Opowiedziałem o wszystkim Sennisonowi. Sprawdziłem baterie energetyczne ręcznego miotacza i otworzyłem właz. Wzdrygnąłem się, słysząc chrzęst pękających pod podeszwami "kuleczek". I w tym momencie ujrzałem poprzeczny pas w całej jego okazałości.

Wyglądał dokładnie tak, jak kilka minut temu. Jego powierzchnia nabrała jednak perspektywy, przypominała gładki płat blachy, pokrywający nieskończenie

długie, wąskie koryto. Boczne ścianki sterczały z gruntu na wysokość kilku milimetrów. Poza tym nic godnego uwagi. Żadnego wykopu, śladu kabli, czy innych instalacji.

Przeszedłem jeszcze kilkanaście kroków i kiedy miałem zamiar stanąć, żeby pomyśleć co dalej, tor zniknął. Przede mną był szarawy, pokryty woreczkowatymi roślinami grunt.

- Widzisz coś? - spytałem nie oglądając się.

- Poza tą rynną nic - odpowiedział Guskin.

- Podejdź do mnie.

Usłyszałem chrzęst kroków po czym nastąpiła cisza.

- Może to jakieś pole działające okresowo - dobiegł mnie po chwili jego głos.

Nie brzmiał zbyt pewnie. - Na przykład, kiedy posyłają coś tym kanałem... kiedy płynie nim energia...

Zamilkł.

Nie odpowiedziałem. To było nawet prawdopodobne. Jak wszystko, co mogło nam przyjść na myśl.

Odpiąłem linę i zacząłem się cofać. Nie zrobiłem nawet pięciu kroków, kiedy koryto załśniło znowu jak wypolerowana obręcz obejmująca, dajmy na to, równik. Wróciłem do Gusa. Zanim tam doszedłem, wszystko znikło.

Coś mi zaświtało. Umieściłem końcówkę liny na powrót w karabinku i ukląknę. Czerwony odbłask bijący od powierzchni rynny przeszył szybę kasku i zmusił mnie do zmrużenia oczu. Guskin przyglądał mi się chwilę niepewnie, po czym przysiadł tuż obok.

- Widzisz - wykrzyknął - to naprawdę pole!

Jakby było się z czego cieszyć.

Pole. Tworzące parasol, czy raczej daszek. Załamujące promienie światła, ale tylko, kiedy patrzyło się z góry. Dlatego my widzieliśmy "strumyczek", z daleka, nadjeżdżając po płaskim, podczas gdy obiektywy sondy nie chwytaly nic.

- Poczekaj chwilę, potem wybierz linę i idź za mną - powiedziałem. Nie czekając na odpowiedź, ruszyłem.

Gdyby teraz ujrzeli nas mieszkańcy planety, ani chybi doszliby do wniosku, że nawiedziły ich egzemplarze technologicznych jamników. Szorowałem nosem po śliskich, szeleszczących "kuleczkach". Ale kiedy próbowałem się podnieść, chociażby na wysokość metra, natychmiast traciłem z oczu wszystko, poza płaską powierzchnią

gruntu.

Kanał, jeśli to był kanał, musiał mieć szczególne przeznaczenie. Skoro zadano sobie trud, żeby go tak starannie zamaskować. Nie tylko przed patrzącymi z góry. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że "parawan" musi działać także od strony gór i oceanu. Po raz pierwszy zaświtało mi, co naprawdę dzieje się na tej planecie.

Pokrywa rynny była tuż. Zatrzymałem się.

- To biegnie do samego oceanu - usłyszałem za sobą przyciszony głos Guskina. - Kto wie, czy właśnie w ten sposób nie zapuszczają się w głąb ładu...

- Albo odwrotnie - mruknąłem.

- Albo odwrotnie - powtórzył bez entuzjazmu. Dotknąłem palcem pokrywy. Z bliska zmatowiała, wyglądała na półprzezroczystą. Ale pod nią nie było nic.

Zdjąłem rękawicę i nacisnąłem odrobinę mocniej. Poczułem delikatny opór. I coś jeszcze. Mrowienie pod palcami. Drgania.

W tej samej chwili ujrzałem obok swojej dłoń Gusa.

- Rezonans - bąknął.

Wstałem. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to zapisać kształt, skład chemiczny i budowę tasiemcowatej konstrukcji w przystawce pamięciowej kalkulatora. Zrobiliśmy serię zdjęć i wróciliśmy do polota.

Wschodnia odnoga kanału wpadała między najbliższe kolosy górskie. Tam woleliśmy się na razie nie zapuszczać. A wiać ocean.

Postanowiliśmy jechać do samego brzegu, w każdym razie jak długo to będzie możliwe, trzymając się zamaskowanego polem siłowym koryta. Uruchomiliśmy najmniejszy z pojazdów, jakimi dysponowała ekspedycja, coś w rodzaju naziemnej sondy zwiadowczej. Z wysokości kabiny poło ta kanał był, oczywiście, niewidoczny. Natomiast kamery sunącego dołem, jak psiak, automatu, zapewniały stałą obserwację jego biegu.

W okienku licznika przelatywały kilometry, silniki pracowały niemal bezgłośnie, tylko chwilami pod pokładem przelatywało jakby stado ptaków, kiedy dysze uderzały w większe skupisko "kuleczek". Jechaliśmy prosto ku rosnącym w oczach wydmom. W pulpicie łączności pulsowało łagodnym rytmem zielone światelko, potwierdzając swobodny przepływ sygnałów pomiędzy pojazdem a Idiomem. Pomykający dołem automat ani razu nie zasygnalizował zmiany kształtu obserwowanego "koryta".

Kopczyki zmieniły się w pofalowane wzniesienia, \v końcu wjechaliśmy w

pamiętny z pierwszego rekonesansu obszar nadmorskich wydmy. Kilkadziesiąt metrów dalej zaczynały się pierwsze zbocza i piaszczyste siodełka.

Nagle, w najbliższym z nich, ujrzeliśmy błyszczący czerwonym światłem fragment kanału. Gus ostro ściągnął stery. Polot zakołysał gwałtownie i znieruchomiał.

- Światłowód - bąknął Guskin, jakby do siebie.

Myślałem o tym samym. Wydawało się niedorzecznością instalowanie światłowodu w przestrzeni tak równej, że wszystkie jej zakamarki można pokryć jednolitą siecią informacyjną za pośrednictwem najprostszego lasera. Teraz zmieniłem zdanie. Po pierwsze, ziemskie kryteria są w kosmosie równie przydatne, jak na przykład kioski z pietruszka i pieczarkami. Po drugie, polot, hamując, przebył jeszcze kilka mętów. Dość aby odsłonić przed naszymi oczami kotlinkę za najbliższymi wzgórzami. Jej północny stok płonął, trafiony wąską jak klinga strugą światła. Biła z urwanego u stóp przeciwległego zbocza przewodu, wzdłuż którego przyjechaliśmy tutaj.

Rozejrzałem się.

Z prawej strony, mniej więcej na wysokości polota, przebiegała granica widoczności kanału. W pewnym miejscu lśniąca pokrywa wydymała się nagle i rozbiegała urwanymi, postrzępionymi krawędziami. Zwisały z nich ostre, rozczapierzone zadry, jakby rozprutego metalu. Wszystko to było matowe, czarne.

Grunt pokrywała warstwa świeżego kopciu. Głęboka, tłusta czerń łagodziła nieco kończyste, zastygłe w wybuchu warstwy płytkich skał, wydarte na przestrzeni kilkunastu metrów z naturalnego leża.

Teraz dopiero zrozumiałem, że stoimy przed tym samym wzgórzem, do którego dotarliśmy wczoraj, jadąc brzegiem oceanu. Stąd spędził nas widok wędrującego skrawka gruntu, kilkanaście sekund przed eksplozją.

W tej samej chwili ujrzałem wśród poczerniałych złomów skalnych i usypisk coś, co przykuło moją uwagę. Wskazałem to Gusowi, który bez słowa ujął stery.

Nie mogliśmy jechać na wprost. Nie, żeby wyrwa miała być przeszkodą dla polota. Ale przecięlibyśmy nić światła, bijącą z zerwanego kanału. Tego nie wolno było zrobić.

Szerokim łukiem, omijając dwie czy trzy wydmy leżące bezpośrednio za pogorzelskiem dotarliśmy do niego z przeciwnej strony.

- A więc to tak... - mruknął Guskin. Nie obdarzył mnie nawet przelotnym

spojrzeniem.

Leżące u naszych stóp strzępy, to było wszystko, co zostało z żywej istoty. Nie człowieka. Nawet nie zwierzęcia w ziemskim rozumieniu tego słowa. Ale to przestaje być ważne w rejonach obcych gwiazd.

Wyprawiliśmy automaty. Milcząc, obserwowaliśmy ostrożne, jakby niechętnie ruchy pająkowatych wysięgników.

Posterunek. Połączony z górską bazą światłowodem. Nic, jak światło, nie przewodzi informacji.

Posterunek, z którego pozostała okopcona wyrwa w macierzystej skale, ucięty kanał i ten czarny kształt, który jeden z automatów taszczył właśnie do komory ładunkowej polota.

Gus powiedział "oni". Nie: "nasi". Rozumiałem to. Aż za dobrze rozumiałem. Przynajmniej zdawało mi się, że rozumiem.

A więc światłowód. To tłumaczyło kształt pola, maskującego konstrukcję od góry. I nie tylko od góry. Także z kierunków, gdzie znajdowały się uczestniczące w grze strony.

Miałem rację. To nie my stanowiliśmy cel ataku, po którym nadmorska równina pokryła się zbitą, duszącą kurzawą. W każdym razie nie tylko my.

Automaty wróciły. Zgąsło pomarańczowe światełko, sygnalizujące, że właz jest otwarty. Na ekranie kalkulatora wystąpiły wstępne dane.

Białko. Cóż chcesz więcej?

- Uwaga Gus! Uwaga Gil! - zabrzmiał nagle podniesiony głos Sennisona.

Uwaga, ocean!

Może to i lepiej. Nie mieć czasu na rozmyślanie.

Trzeba uciekać z tego siodełka. Rozszerzyć pole widzenia.

Zamruczały silniki. Gwałtownym skokiem, który wgniół nas w fotele, polot osiągnął wierzchołek najbliższej wydmy. Zaledwie zamajaczyły mi czarne kręgi w przybrzeżnym paśmie oceanu, poczułem, że kabina wykonuje szybki obrót.

- Co tam? - rzuciłem. W tej samej chwili zobaczyłem strzelające z najbliższego pasma gór trzy skośne słupy dymu.

- Wszystko od początku - wyrzucił z siebie Guskin.

- Uwaga, polot! - głos Sena. - Ocean!

Obrót wieżyczki. Trójkąt suchego lądu, wcinający się głęboko w morze, pomiędzy ścianami cieczy, skupionymi w karykaturalnie skróconej perspektywie. I w

samym środku, sylwetka człowieka.

- Naprzód! - warknąłem.

Kątem oka pochwyciłem ruch zbocza. Nie naszego. Nie tym razem. Sąsiedniej wydmy, dobre dwadzieścia metrów dalej. Zabawa rzeczywiście zaczyna się od początku. Proszę bardzo.

Ogarnęła mnie wściekłość. Polot skoczył. Błyskawicznym ruchem ustawiłem celowniki. Pełna moc silników. Coś poruszyło się pod podwoziem. Poczułem raczej niż usłyszałem głębokie, niskie westchnienie. Wędrujące skały. Dobrze. Zaraz będzie wybuch. Nie szkodzi. Żadna kurzawa czy mgła nas nie zatrzyma. Tym razem zdążymy. Polot to nie łązik.

Przelecieliśmy nad spłaszczonym czubem kolejnej wydmy. Ocean był tuż.

Człowiek przystanął. W jego dłoniach coś zamigotało.

Poznałem go już dawno. Dawno! Dwie sekundy temu. Wieczność. Zresztą, nie wiem, czy poznałem. Wiedziałem, że to on. Ale nie dopuszczałem tego do świadomości. Jeszcze nie.

- Gazowy! - wrzasnąłem.

- Petarda? - spytał szybko Gus.

- Nie.

Zanim człowiek z oceanu wyprostował się, przy czym jego chuda, przygarbiona sylwetka jakby wyrosła z pola obserwacji obiektywów, zanim zdążył wyciągnąć przed siebie niezmiernie długie, małpie ramiona i skierować w stronę brzegu ucięty koniec błyszczącego przedmiotu, Guskin zwolnił spust.

Pocisk z gazem obezwładniającym trafił w pierś. Człowiek opuścił zwolnionym ruchem rękę, okręcił się powoli na pięcie i upadł.

- Idę - powiedział Gus, podnosząc się z fotela.

- Nigdzie nie pójdziesz - rzuciłem. Sam się zdziwiłem, ile złości zabrzmiało w moim głosie.

Podciągnął jeszcze kilka metrów i zastopował. Za nami jakby się uspokoiło.

Wydałem polecenie automatom. Zapłonął czujnik wjazdu. Spod dziobu wyłoniły się antenki pierwszego aparatu.

W tym momencie przyszło uderzenie. Gwałtowny wstrząs, syk na pancerzu, ciemność.

- Znowu - syknął Guskin.

- Nie szkodzi - wykrztusiłem przez zęby. - Polot wytrzyma. A automaty nie

zabłądzą w kurzawie.

Obszar przesłoniła, jak wczoraj gęsta, niemal czarna mgła. Poza tym nie działo się nic. Od czasu do czasu nasłuch przynosił odgłosy jakby odległego, stłumionego bulgotania. Po minucie ucichło i to.

Światelko zabłysło mocniej i zgasło. Są. Usłyszeliśmy głuchy stuk zatraskiwanej klapy wjazdu.

Wstałem i przeszedłem do szybiku kończącego się pokrywą śluzy. Rzuciłem okiem na czujnik promieniowania. Zero. Uruchomiłem przełącznik otwierający drzwi.

Leżał na metalowej, nagiej w tym miejscu podłodze, jak zostawiły go automaty. W okolicy prawego ramienia jego skafander był nakłuty miniaturowymi przestrzelinami. W śluzie panowała cisza. Słyszałem bardzo wyraźnie jego płytki, spokojny oddech.

Nie przyglądając się podniosłem go, wróciłem do kabiny i złożyłem w moim fotelu. Spokojnie umocowałem zaciski aparatury diagnostycznej.

Nie minęły trzy minuty, kiedy poruszył się, jęknął i otworzył oczy. Odruchowo uniosłem głowę i spojrzałem w iluminator. Mgła.

- Reuss - usłyszałem za sobą. Głos Sena brzmiał ciepło, niemal tkliwie. Ale było w nim coś, co na przykład "Technicznemu" bardzo by się nie spodobało.

- Leż spokojnie, Reuss - powiedział.

Dziewięć przytłumionych, urwanych dźwięków. Dziewięć godzin dnia, podobnego do poprzednich i takiego jak wszystkie w przyszłości.

Nie będę cofał zapisu. Wiem, co napisałem. Pamiętam twarz Reussa, jak wtedy wyglądała, każdy grymas, każdy skurcz mięśni tej twarzy i nie sądzę abym miał powody przeżywać to jeszcze raz.

W kabinie było chłodno. Wstałem i przesunąłem rączkę klimatyzatora. Mimo woli powędrowałem wzrokiem w głąb niszy, gdzie znajdowała się aparatura.

Mój "doktor", wierna kopia tego, który pozostał w macierzystej bazie, trwał w milczącym bezruchu. Wystarczy podejść, zamknąć obieg prądu i usiąść w fotelu obok. Rozlegnie się niski, matowy głos, wyprzedzający moje myśli. Tłumaczący je, cierpliwie i prosto, jak dziecku. U siebie, w bazie, spędzałem na takich "pogawędkach" całe godziny.

U siebie?

Nie zrobię tego. Pomimo, że ten, kim teraz jestem, również znajduje się u siebie. Nie mniej, niż ci tam, na dole.

Skonstruowałem "doktora", a raczej odtworzyłem go, w pierwszych dniach pobytu tutaj. Nie pamiętam, na co liczyłem. Z pewnością nie powodowała mną myśl o samotności. Jeśli już, to raczej obsesja wrogości, obrzydzenia. Wtedy jeszcze szukałem w sobie jej przesłanek.

Przekonałem się o jednym. Moje automaty są przydatne tak długo, jak długo człowiek jest naprawdę sobą. Po raz pierwszy przyszło mi to na myśl w czasie rozmowy z Reussem. Potem rzecz staje się farsą. Nie dlatego nawet, że automat wyklada, w porządkujących zdaniach, logicznie i dobitnie, fałsz. Ten fałsz także może dać do myślenia. Nie. W grę wchodzi całkiem zwyczajnie znużenie. W moim wypadku coś jeszcze.

Tak czy inaczej mój nowy "doktor" od kilku miesięcy milczy. I nie widzę, co mogłoby przerwać jego milczenie.

Przedobrzyłem z tym klimatyzatorem.

Zmieniłem położenie rączki i przeszedłem na środek kabiny. W każdym razie mam aparaturę. Mam pełny zestaw stymulatorów. Mogę sięgnąć do nich, kiedy tylko zechcę. Na przykład, aby poczuć się bezpiecznym przed samym sobą.

Nie raz powtarzałem sobie, że to właśnie, ta możliwość, różni mnie od mieszkańców Czwartej. Ale to nieprawda. Mniejsza, dlaczego.

Zobaczymy, co zrobię z tymi z dołu. Nazywam tak "kopie", chociaż to nie ma sensu. Główny ekran w mojej kabinie, na który automaty przekazują obrazy z farmy, jest zawieszony nieco skośnie. Sprawia to wrażenie, że obserwuje się ład z wysokości stacji kosmicznej.

Co z nimi zrobię? Wiem jedno. Nie sięgnę teraz do iluzji, skoro poradziłem sobie bez niej pierwszego dnia. I w pierwszym tygodniu. A potem miesiącu.

Zresztą cóż mogę zrobić? Jeżeli nawet Sennison i inni, przed odlotem, wmawiali sobie i mnie, że tylko dlatego pozwalają mi zostać. Jeżeli robili to tak, jakby sami byli najgłębiej o tym przekonani.

Zabawne. Ja, z moją nienawiścią, której nie umiem przewyciężyć, mam szukać agresywności w kopiach. Lepiej, że to tylko pozór. Nawet jeśli naprawdę są maszynami, stworzonymi do walki.

A kim ja jestem? Nie ta rzecz, którą mogę zobaczyć w lustrze. To co decyduje: mózg?

Podszedłem do ekranu. Ukazały się zabudowania farmy, w ogólnym planie. Przybliżyłem obraz.

Są. Siedzą przy długim, drewnianym stole, osłoniętym częściowo od słońca przez wystający okap werandy. Mężczyźni są nadzy do pasa, tylko Musparth, jeden z trzech, nie wiem który, ma na sobie zieloną koszulkę bez rękawów, uszytą z jakiegoś pokrowca. Nysa wyszła teraz z sieni z dużym, ciężkim naczyniem. Jeden z mężczyzn wstaje, żeby jej pomóc.

To on.

Cofnąłem się odruchowo. Jestem spokojny. To "jestem spokojny" powtarzałem przy każdym łączeniu. Kiedy czułem, że będę tego potrzebował.

Teraz nic we mnie nie drgnęło. Coś się zmieniło. Uprzytomniłem to sobie natychmiast, jak tylko go zobaczyłem. Ale nie myślałem o tym. Wolałem nie kusić tego spokoju, który tym razem był prawdziwy.

Mogue. Piotr. Jeden z dwóch. Grób pierwszego, czy może drugiego właśnie, znajduje się na otoczonej wysokimi drzewami polanie, półtora kilometra na zachód od zabudowań farmy. W tym grobie powinien leżeć ktoś inny. Ja.

Ja?

Nysa i Mogue uporali się z naczyniem. Dołączyli do pozostałych. Oświetleni skośnymi promieniami zachodzącego słońca, przy tym długim stole, wyglądają jak robotnicy rolni ze starego, muzealnego obrazu.

Pojutrze minie miesiąc od mojej ostatniej bytności na Czwartej. Polecę. Nie spóźnię się. Skrupulatnie przestrzegałem narzuconego sobie terminarzu tych "wizyt", jakby rzeczywiście chodziło o precyzyjnie zaprogramowany eksperyment.

Pojutrze.

Mam czas o tym myśleć. Na razie czeka mnie codzienny obchód posterunków obserwacyjnych. Sprawdzę zapisy automatów, wrócę, i jak zawsze, będę pisał do drugiej w nocy.

- Jak to właściwie jest... z tobą? - spytał Sen, po raz chyba piąty. Nie musiał powtarzać tego pytania. Nawet nie powinien.

- Nie wiem - odpowiedział Reuss. W jego głosie nie było nic, oprócz zmęczenia.

Pamiętał lądowanie Animy. Potrafił dokładnie odtworzyć przebieg wypadków, jakie miały tu miejsce dwudziestego czwartego czerwca dwa tysiące osiemset trzydziestego drugiego roku. Wszystko jednak co dotyczyło mieszkańców planety, ich cywilizacji, roli jaka wyznaczyła ona ludziom, było "nie wiem" i Sennison miał już czas, żeby się z tym pogodzić. Teraz zaczął z innej beczki:

- Sto metrów stąd - skinął głową w stronę iluminatora - jest grób. Wiesz, kto w nim leży?

Reuss westchnął i niespodziewanie uśmiechnął się. Był to uśmiech chirurga, któremu przed własną operacją udało się powiedzieć dowcip.

- Nie - odpowiedział spokojnie. - Ale domyślam się. Dostyc na ciebie spojrzeć...

- Ty sam - rzucił Sennison. Reuss skinął głową.

- Spodziewałem się tego - rzekł obojętnym tonem. - Niemniej mylisz się. Ja przecież siedzę tutaj...

Przyjąłem to z satysfakcją. Sen mnie irytował. Nie przestawał się łudzić, że wyciągnie od Reussa coś, co od razu załatwi sprawę. Na przykład szkic drogi wiodącej do pozostałych członków załogi Animy. Mamy już pełny zapis projekcji jego pól mózgowych. Automaty poddały go wszystkim możliwym testom. Trwało to bite trzy godziny. Ale Sen wierzy w "żywe słowo". I nie daje za wygraną.

- Więc może zechcesz nam powiedzieć - mówi ostrym tonem - kto właściwie tam leży? Jeśli t y siedzisz tutaj?

- Reuss - odparł spokojnie Reuss. Uniósł głowę i przyglądał nam się chwilę.

Wreszcie wzruszył ramionami.

- Reuss - powtórzył. - Ale nie powiem wam, który z rzędu...

Sen przymknął oczy. Guskina aż poderwało.

- Ty wiesz?! - wykrzyknął.

- Właśnie nie wiem...

- Gus pyta - wtrąciłem - czy ty wiesz, że mieszkańcy planety was, jakby to powiedzieć, powielali... Oczywiście - zwróciłem się do Guskina - że on o tym wie. Dał nam to dość wyraźnie do zrozumienia. Tylko wy udajecie, że sprawa jest tabu. I bawicie się w subtelności, niepotrzebne nikomu a już na pewno nie Reussowi. Powiedz im - zwróciłem się bezpośrednio do niego - jak oni to robią? I gdzie? Bo chyba nie w oceanie?

Zapanowała cisza.

- W oceanie - powiedział wreszcie Reuss. - To jedno wiem na pewno. Poza tym... - wzruszył ramionami. - A co do tego grobu - dodał po chwili, patrząc Senowi w oczy - leży w nim Reuss. Żaden automat czy inny twór, zewnętrznie tylko przypominający Reussa ale pozbawiony pamięci, pozbawiony utrwalonych w świadomości i podświadomości cech, które kształtują jednostkę ludzką w jej rozwoju. Prawdziwy Reuss. To jest równie pewne, jak to, że znajdujemy się w układzie Feriego i że ja sam jestem prawdziwy...

- Skąd wiesz? - w Sennisonie obudził się prokurator.

- Przecież widziałem... Zresztą, rozmawialiśmy...

- Reuss z Reussem?

Znowu się uśmiechnął. Ale zaraz spoważniał.

- Ciągle jeszcze nie rozumiecie...

Miałem tego dość. Wstałem, podszedłem do zasobnika i napiłem się wody.

- Daj mi też - poprosił prawdziwy Reuss.

Bez słowa podałem mu napełniony kubek. Ja na jego miejscu wypiłbym Morze Czerwone, żeby nie musiało ustępować przed wolą wielkiego przywódcy. Wyobraziłem sobie Sena wygłaszającego mowę do morza i zachichotałem. Spojrzeli na mnie z obawą, wszyscy trzej.

Tak, tylko to nie Sen wyszedł z morza. A co gorsze, nie chodzi o Morze Czerwone.

Czwarta rano. Idiom stał niezmiennie w miejscu lądowania, pomimo że nikt nie oczekiwał już podejścia ocalonych członków załogi Animy. A jeśli nawet, byłby

to jeszcze jeden argument przemawiający za natychmiastowym startem na orbitę.

Staliśmy jednak. Przegadaliśmy z Reussem, wliczając jego "rozmowę" z automatami, cały wieczór i noc. Marzyłem tylko o jednym. Żeby wreszcie przestali mleć te plewy i poszli spać. Byłem po prostu śpiący.

Po tym, co Reuss powiedział przed chwilą, wiedzieliśmy już wszystko. Diabelnie dużo czasu potrzebowali, żeby zdać sobie z tego sprawę. Że on nic już nie powie, ponieważ nic więcej nie ma do powiedzenia. Automaty uporałyby się z tym w ciągu kilkunastu minut.

Spojrzałem na Reussa. Był bardzo zmęczony. Przyjrzałem się uważniej jego twarzy. I wtedy właśnie, pierwszy raz, przyszło mi na myśl, że owe automaty, z którymi tak się zżyłem i które były mi tak potrzebne jak innym przyjaciołom lub przeciwnikom, mają sens tak długo, jak długo człowiek jest naprawdę sobą.

Interesujące odkrycie. Jediną jego słabą stroną było, że mogło mieć zastosowanie w wypadku Reussa. Żadną miarą nie dotyczyło nas.

Wiedzieliśmy już, co spotkało Animę. Usiedli tuż nad oceanem. I nie przejmowali się za bardzo, co słychać za ich plecami. Ruch zbroczy i eksplozja przysły równocześnie. Wtedy rozsypały się anteny.

Utrata łączności nie była równoznaczna z katastrofą, jak sądziliśmy. Prosperowali jeszcze normalnie około dwudziestu minut. Wyrwali statek w górę. Stwierdzili, że ląd pokrył się czarną mgłą i osądzili że jedyne, co mogą zrobić, to próbować szczęścia na oceanie. Wodowali kilkaset metrów od brzegu, na wprost miejsca, gdzie nastąpił atak. To znaczy, tak sądzili.

Popęlnili błąd. Ale skąd mogli wiedzieć? Kilka minut pracowali nad przywróceniem łączności. Następnie gładko i bez żadnych dodatkowych sensacji osiedli na dnie. Nawet nie bardzo głęboko. Reuss utrzymywał, że nie było tam więcej, niż trzydzieści metrów. Tyle, że cała aparatura statku, od głównego ciągu do zapalniczki, przestała reagować na polecenia. Stały sprężarki. Zaczęły się dusić.

Trwało to kilka minut. Nie więcej, niż dziesięć. Następnie aparatura pokładowa, jakby nigdy nic, podjęła normalną pracę. Nie cała. Głuche na wszelkie próby i bodźce pozostały generatory miotaczy i napęd.

Szybkość, z jaką mieszkańcy oceanu połapali się w czym rzecz, coś o nich mówiła. Była to pierwsza praktyczna wskazówka dla nas, jaka wynikała z opowieści Reussa. Skłamałbym, utrzymując, że pocieszająca.

Poza tą jedną, otrzymaliśmy jeszcze kilka wskazówek nie mniej obiecujących.

Reuss nie wiedział, kiedy ani w jaki sposób on sam i pozostali członkowie załogi opuścili raketę. Zapamiętał ciasne, jakby szklane pojemniki, w których ich trzymano. Rozłączono ich, ale mogli się porozumiewać, jakby stali obok siebie nie dalej, niż o kilka metrów.

Reuss nie potrafił określić, jak długo tam tkwili. Wydawało im się, że mijają miesiące. Sądząc z rachuby czasu, nie musiało im się tak tylko wydawać. W każdym razie mieli dość okazji do wymiany poglądów. Ale tylko przez pierwsze dni mówili o tym, co ich spotkało. Później wspominali bazę, nawet Ziemię, wreszcie przyszła kolej na jakieś bzdurne gry zapamiętane z dzieciństwa.

Mogłem to sobie wyobrazić. Wokół nich nie działo się nic. Tak nic, jak to tylko możliwe. Nie jedli, ale nie czuli głodu. Funkcje fizjologiczne nie sprawiały im kłopotu. Od czasu do czasu dostrzegali jakiś ruch za szklanymi ścianami kojców, ale ani razu nie zdołali go określić, wyodrębnić w nim coś konkretnego.

Bezruch, cisza i światło. I flirt towarzyski. Trzeba być z bazy na Proksimie, żeby nie zwariować od tego.

Wspomniałem o świetle. To przyszło później. Przestrzeń wokół nich przesywała raptem upiorna, niemożliwa do zniesienia jasność. Sami sobie wydawali się przezroczystymi. Czuli, że promienie przenikają do najdrobniejszych komórek ich organizmów, że rozszczepiają je, obmacują każdy atom z osobna. Ogarniał ich lęk, że przestają tworzyć zwarte struktury. Reuss mówił, że wrażenie było silniejsze od wszystkich, jakich doznał kiedykolwiek w życiu. Musiał dotykać głowy, ramion, podnosić ręce, żeby przekonać się o ich obecności, o tym, że tworzą jedność z pozostałymi organami.

Trwało to zwykle nie dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Ale powtarzało się coraz częściej. I regularnie. Doszło do tego, że bezbłędnie przewidywali każdy "seans". Systemy nerwowe ludzi wytworzyły coś w rodzaju budzików. Nie sądzili, że ich sytuacja może się jeszcze pogorszyć. Skłonny jestem w to uwierzyć.

Mylili się.

Zdarzyło się to stosunkowo niedawno. Dwa, trzy tygodnie temu. Od tego dnia przestali wspominać Ziemię.

Pierwszy był Musparth. Po kolejnym "seansie" świetlnym Reuss zagadnął go o jakiś nieistotny drobiazg. Odpowiedział Musparth - dwoma głosami. To znaczy głos był ten sam. Ale dwóch ludzi. Potem pojawili się następni. W pewnym okresie Reuss, jak się wyraził, osiągnął liczbę jedenastu sobowtórów.

Oswoili się z tym szybciej, niż można sądzić. Ich nerwy musiały być już przytępione zabijającym bezruchem. Zachowali jednak trzeźwość sądów. Tematem ich rozmów, bo mimo wszystko zaczęli ze sobą rozmawiać, stała się ponownie aktualna sytuacja. Jak na dane, którymi dysponowali, potrafili ją określić naprawdę jasno.

Stwierdzili po pierwsze, że "powielanie" odbywa się w czasie naświetlań. Reuss jako biochemik ukuł nawet hipotezę. Według niej mieszkańcy oceanu osiągnęli daleko większe, niż my postępy w zastosowaniu logiki progowej. To dało im wiedzę o dowolnych strukturach neuropsychicznych, która to wiedza z kolei stała się podstawą szybkiego stosunkowo rozszyfrowania całkowicie jakby nie było obcych organizmów Ziemi. Przy określonej swobodzie technologicznej, o której Reuss i jego towarzysze przekonali się na własnej skórze, ich "gospodarze" nie mieli większych problemów z przygotowaniem surowca, lub, jak kto woli matrycy. Bardziej na miejscu byłoby określenie "klisza".

Cała reszta to sprawa metody i techniki. Co do tej ostatniej, nie próbowali nawet spekulacji. Nie widzieli i nie wiedzieli nic. Metoda natomiast wydała się prosta. Coś w rodzaju analizy spektralnej. Promieniowanie o nieznanym charakterystyce przesywa model i biegnie dalej, w kierunku kliszy, czy matrycy, którą tworzy zapas organicznych i nieorganicznych komponentów, w proporcjach ściśle odpowiadających wagowo zbadanemu uprzednio modelowi. Po drodze przechodzi przez aparaturę, którą Reuss nazwał "soczewką programową", skupiającą wiązkę oraz wzbogacającą ją o nowe, pożądane przez konstruktorów impulsy. Tam analiza przeobraża się w proces syntezy.

Żaden z nich nie znał, rzecz prosta, promieniowania o nośności informacyjnej niezbędnej dla przeprowadzenia takiej operacji. Ale, jak powiedziałem, technikę mieszkańców oceanu zostawili na boku.

Przyjąwszy to wyjaśnienie, które niczego nie wyjaśniało, ludzie z Animy, czy może już ludzie z trzeciej planety Feriego, pomyśleli o tym, po co jej gospodarze zadają sobie tyle trudu. Od odpowiedzi na to pytanie zależało wiele. Przede wszystkim mogła rzucić światło na nieobojętą sprawę, czym to się dla nich skończy.

Z pomocą przyszedł czas.

Pogodzili się z faktem, że liczba ich stale rośnie. Próbowali dojść z tym jakoś do ładu. Wymyślali imiona, w najgorszym razie obdarzali się numerami. Pewnego dnia stwierdzili brak kilku osób ze swego grona.

W niewyjaśniony sposób, nagle, ludzie znikali. Nie czuli ich braku, każdy przecież, biorąc za podstawę własne doznania sądził, że chodzi o "duplikaty", kolejne kopie. Stwierdzali po prostu fakt. Zresztą, bieżąca "produkcja" uzupełniała luki w ich szeregach.

Pierwszym, który wrócił, był właśnie Reuss. Nie ten, który teraz siedzi w fotelu, opasany kablami i przekaźnikami aparatury diagnostycznej. Ale to nie ma znaczenia.

Na podstawie tego, co od niego usłyszeli, zdołali uzupełnić swoją poprzednią hipotezę. Razem było to coś więcej niż hipoteza.

Ludzi używano do walki z lądem. Niegłupi pomysł. Ich organizmy były przystosowane do funkcjonowania w atmosferze. Tak jak mieszkańców oceanu do środowiska podmorskiego. Los zesłał tym ostatnim modele idealnych maszyn, zdolnych do prowadzenia samodzielnych działań na powierzchni. Wykorzystali szansę. Podjęli produkcję, jeśli można się tak wyrazić, seryjną.

Z tego co jeden Reuss opowiedział drugiemu wynikało, że przed zamkniętym w przezroczystym kokonie człowiekiem, odsłaniała się nagle wolna przestrzeń. W głębi widoczny był ląd. Odruchowo człowiek zaczynał iść w stronę brzegu. Po kilku krokach ze zdumieniem odkrywał, że w jego dłoniach widnieje czarny przedmiot, z kształtu przypominający miotacz.

Następowało coś, czego Reuss, żaden z Reussów, nie umiał wytłumaczyć. W pewnym momencie dostrzegał na lądzie ruch, nic konkretnego, żadnej istoty - i wiedział, że ma przed sobą wroga. Postanawiał zrobić użytek z nie znanej sobie broni. Podnosił ją do oczu. Wtedy czarny przedmiot zaczynał żyć swoim własnym życiem.

Tamten, który wrócił, zrobił to w porę. Innym widać gorzej się powiodło. "Nasz" Reuss wyszedł wczoraj z oceanu po raz pierwszy.

To było wszystko, co usłyszeliśmy z ust pierwszego ocalonego członka załogi Animy.

Czy rzeczywiście?

Czy człowiek, którego mieliśmy przed sobą, przyleciał tutaj z Ziemi?

Cała reszta, to tylko gra towarzyska. Filozoficzno-prokuratorskie pogaduszki, które przeciągnęły się do czwartej rano. Dymna zasłona.

Za wszelką cenę, na siłę, usiłowali wydębic od niego, kim jest. To znaczy Sennison. Gus zachowywał się bardziej powściągliwie. Aprobował wysiłki tamtego. Nic więcej.

Było jasne, że ich trud jest daremny. Z jednego jedyne go powodu. Reuss nie wie. Jakie to proste. Nie wie. Pamięta własne, ziemskie dzieciństwo, naukę, pracę, każdy drobiazg z tych, które kształtują osobowość człowieka. Przykrości i sympatie. Dziewczyny. Ale zdaje sobie sprawę, że każdy z jego sobowtórów, do ostatniego neuronu skopiowany na wzór i podobieństwo oryginału, niesie we własnej świadomości identyczny bagaż. Co miał powiedzieć? Że jest tym, którego pamiętamy z bazy? Na to był zbyt uczciwy. Nawet nie. Był po prostu badaczem. Człowiekiem nauki.

Niewiedza z kim ma do czynienia kazała Senowi w kółko powtarzać pytanie "jak właściwie jest z tobą?" Ta sama niewiedza sprawiała, że Reuss musiał odpowiadać: "wy ciągle nic nie rozumiecie..."

Nie wiem jak kto, ale ja rozumiałem dostatecznie dużo, żeby wreszcie pójść spać. Powiedziałem im to.

- Poczekaj - rzucił Sen tonem zapowiadającym, że nadchodzi wielka chwila. Stanął nad Reussem w pozycji szermierza, który właśnie wytrącił przeciwnikowi szpadę.

- Jeżeli wszczepiono ci uczucie wrogości do mieszkańców lądu, to dlaczego, u licha, skierowałeś broń w stronę, gdzie byli ludzie? To znaczy Gil i Gus. Tam, na tych wydmach?

Reuss uniósł głowę i spojrzał na Sena jak człowiek zbudzony ze snu.

- Ja? - spytał z bezbrzeżnym zdziwieniem. - Co ci przyszło do głowy? Celowałem we wzgórze, za którym byli oni...

- Nie widziałeś nas? - wtrącił Guskin.

Chwilę panowało milczenie. Wreszcie Reuss potarł dłonią czoło i spuścił wzrok.

- Widziałem... - mruknął.

- Człowieku! - wybuchnął Sennison.

Inwokacja wydała mi się przedwczesna. Czekałem co będzie dalej.

- Człowieku! - powtórzył Sen. - Mieszkańcy tej rozkosznej planety tłuką się ze sobą. Zgoda: Do szczybla istot technologicznych wspięła się tutaj nie jedna rasa, jak na Ziemi, lecz dwie. A może więcej? - rzucił mimochodem.

- Dwie - rzekł Reuss. Słuchał uważnie.

- Mniejsza z tym - Sen machnął ręką. - Sam nie wiem, czemu o to spytałem. No więc, do pewnego momentu każdy z tych dwóch gatunków rozwijał się we

własnym środowisku, zagospodarowując je i przetwarzając w miarę postępu cywilizacji. Nie przeszkadzały sobie wzajemnie. Jest przecież duża naturalna różnica między środowiskiem lądowym a podmorskim. Sielanka trwała tak długo, aż jedna z tych ras lub obie równocześnie nie osiągnęły stopnia rozwoju, w którym każda cywilizacja zaczyna mieć do czynienia ze zjawiskiem ciśnienia biologicznego. Jest to równocześnie stopień umożliwiający istotom technologicznym ekspansję w obszarach całkowicie odmiennych od tego, w jakim się rozwijały. Naszym macierzystym środowiskiem nie jest na przykład Atlantyk czy planety Proksimy. A jednak człowiek czuje się tam całkiem znośnie. To sprawa techniki, biochemii, biomatematyki wreszcie... No dobrze. Powstała sytuacja, w której współistnienie ras, na warunkach wyłącznego prawa każdej z nich do jej naturalnego środowiska stało się niemożliwe. I jednym i drugim zrobiło się za ciasno. Rozumiem. Rozumiem, że w tych okolicznościach jedna rasa musi zniknąć z powierzchni planety. Umrzeć. Rozumiem też, dlaczego ci z oceanu tak skwapliwie skorzystali z zesłanej im z nieba, nawet dosłownie, szansy, w postaci istot przystosowanych do środowiska lądowego, które tylko brać i powielić z jedną maleńką "poprawką", jednym dodatkowym uwarunkowaniem, nie sięgającym nawet w głąb struktury neuropsychicznej.

Przerwał na chwilę, pomyślał, omiół spojrzeniem Gusa i mnie, po czym unióśł ręce i trwał tak kilka sekund, jakby pozował do portretu średniowiecznego kaznodziei. Irytował mnie coraz bardziej, chociaż trudno powiedzieć, dlaczego. To co mówił nie było głupie. Nie tym razem.

- Nie tylko ja, zresztą - wykrzyknął. - Każdy z nas wie o co chodzi. Jest jednak coś, czego nie rozumiem. I nikt inny tylko ty - utkwiał wzrok w twarzy Reussa - musisz to wyjaśnić. Nie nam, jeśli nie możesz. Sobie. Pomyśl przez chwile. Tamci się tłuką. Zgoda. Ale, do diabła, co ciebie to obchodzi? Wszczepili ci wrogość do "lądowców". No dobrze. Ale przecież jesteś Reussem, przyleciałeś tu z Ziemi, należysz do ekipy badawczej Proksimy, masz za sobą setki prac naukowych, masz przyjaciół na obu półkulach, zachowałeś pamięć o wszystkim, co uczyniło z ciebie człowieka a... Czekaj - rzucił, widząc niecierpliwy gest Guskina. - Lądujesz na obcym globie - zwrócił się ponownie do Reussa. - Idziesz na dno razem ze statkiem. Tkwisz tam miesiące.., wiele miesięcy. Wychodzisz pewnego dnia na brzeg, spostrzegasz ludzi, którzy przylecieli cię ratować, ludzi, których straciłeś już nadzieję oglądać kiedykolwiek w życiu, podobnie jak słońce, niebo i świat w ogóle, zatrzymujesz się i co? Powiedz, co? Co robisz? Uśmiechasz się? Płaczesz? Biegniesz w ich stronę? Nie. Pamiętasz tylko o

jednym. Że na wprost ciebie, na wzgórzu, jest wróg. Wróg, który jednak nie ma nic wspólnego z zagrożeniem twojej rasy. A może tak?

Ostatnie zdanie Sen wysyczał przez zaciśnięte zęby. Zabrzmiało w nim tyle złości, że jemu samemu zrobiło się głupio. Wyprostował się, zwilżył wargi językiem i zadarł głowę. Jego wzrok celował teraz w ścianę nad obudową głównego ekranu.

- Pomyśl, Reuss - powiedział łagodniejszym, niemal przyjaznym tonem. - Pomyśl, jak silne w tobie musi być to coś, czym zarazili cię twórcy... kopii. I nie dziw się, że chcemy, że musimy dojść, jak jest z tobą naprawdę...

W kabinie było cicho. Bardzo cicho. Po ostatnich słowach Sennisona, ta cisza narosła. Rozdzwoniła się w uszach, i trwała w nieskończoność.

Odechciało mi się spać. Co nie znaczy, że czułem się wstrząśnięty. Sen powiedział tylko to, o czym wszyscy myśleliśmy od wczoraj. Nie widziałem powodu, dla którego nie mogliśmy poprzestać na myśleniu jeszcze te parę godzin nocy.

Niemniej czekałem na odpowiedź.

- Tylko, do wszystkich diabłów - dorzucił nagle Sennison, jakby sobie przypomniał coś, co ponownie wprawiło go w złość - nie mów teraz, że czegoś jeszcze nie rozumiemy. Że ciągle nic nie rozumiemy...

Reuss wyprostował się. Zaczął odpinać pasy, mocujące go do fotela aparatury diagnostycznej. Ruchy miał spokojne. Ale sam nie był spokojny. I unikał naszego wzroku.

Uporał się wreszcie z przekaźnikami i kablami, wstał i zaczął krążyć po kabinie. W pewnej chwili zatrzymał się przed bocznym iluminatorem i zapatrzył w noc. Stał tak dłuższą chwilę. Wreszcie usłyszeliśmy jego cichy, jakby stłumiony głos:

- Mieliście rację. Powinienem tam pójść. Pójdę tam...

Sen zrobił pół kroku w jego stronę i znieruchomiał.

- Gdzie - Gus musiał przełknąć ślinę, zanim mógł spytać: - gdzie pójdziesz?

- Tam - odpowiedział bezbarwnym tonem Reuss - na grób Reussa...

Odwrócił się nagle i postąpił w stronę Sena.

- Tak - rzekł z powagą - tego, o czym mówiłeś, rzeczywiście nie brałem dotąd pod uwagę. Moja wina. To ja nie rozumiałem, o co chodzi, nie wy. Przepraszam...

Miałem tego dość. Nieodwołalnie.

- Nie będę wam potrzebny - powiedziałem, wstając. - Za dwie godziny zacznie świtać. Nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Dobranoc.

Żaden się nie odezwał. Przy drzwiach dogonił mnie głos Gusa:

- Poczekaj, Gil! - powiedział, po czym zwrócił się do Reussa:

- Sądysz, że nic nam tutaj nie grozi? Przynajmniej dziś w nocy?

Reuss przyglądał mu się kilka sekund, jakby nie rozumiejąc co do niego mówią, wreszcie ocknął się i potrząsnął głową.

- Wszyscy, którzy wracali, wychodzili z oceanu za dnia. Również ze strony tych z lądu nie oczekivalibyśmy niespodzianek. Ostatecznie, to sprawa między nimi a... mieszkańcami morza.

Mało brakowało a powiedziałaby "między nimi a nami". Tak to zabrzmiało.

Poza tym wydało mi się, że kiedy mówił o "tych z lądu", jego oczy zaśniły. Był to przelotny błysk, ale bardzo mi się nie spodobał. Mogłem się jednak mylić.

- Nic, tylko strata czasu - zachnął się Gus następnego dnia rano, dobre piętnaście kilometrów od miejsca lądowania Idiomu.

Były to pierwsze słowa, jakie zabrzmiały w kabinie polota po krótkim pożegnaniu z Senem i jednym z Reussów.

Wyraz mojej twarzy miał świadczyć o niekłamanym zainteresowaniu.

- Ludzie są w oceanie, a nie tam - Gus wskazał podbródkiem widniejące przed nami góry. - Chciałbym wiedzieć, co my tu właściwie robimy...

- Jedziemy - wyjaśniłem.

Zamilkł.

Nie znam nic bardziej pokrzepiającego nad rozważania, co mianowicie powinno się robić zamiast tego, co się robi właśnie.

Wiedzieliśmy już coś niecoś o jednej ze stron, biorących udział w grze, jaka toczy się na planecie. Prawda, że los członków załogi Animy zależy bezpośrednio od rasy, zamieszkującej ocean. Ale uwarunkowania sięgają głębiej. Głębiej... w ląd.

Zresztą, jakie znaczenie mogą mieć spekulacje na temat podjętej rano decyzji wobec faktu, że ją realizujemy. Jedziemy w stronę gór. Przyjrzeć się na odmianę mieszkańcom lądu.

Przecieliśmy skosem równinę, dzielącą przedgórze od obszaru nadbrzeżnych wzniesień. Teraz, od kilku minut, jechaliśmy szerokim upłazem, spływającym z najdalej wysuniętego na zachód pasma gór. Skalne kolosy pojaśniały, stały się doskonale widoczne, rozróżnialiśmy poszczególne turnie i granie, przełęcz, z których spadały piarżyste żleby, nawet drogi, gdybyśmy przybyli tutaj jako turyści.

Daleko w tyle pozostały penetrowane wczoraj okolice przecinającego dolinę

światłowodu i wydm, o zboczach gotowych w każdej chwili do podjęcia marszu. Wiele przemawiało za tym, że wylądowaliśmy w miejscu, które jedna i druga strona upodobały sobie jako rejon próby sił. Trudno powiedzieć, że tam nie mieliśmy już czego szukać. Jeśli jednak postanowiliśmy przedtem spróbować szczęścia z przedstawicielami lądowej cywilizacji, rozsądniej było trzymać się w przyzwoitej odległości od owego "frontu".

Ruszyliśmy więc w przeciwną stronę. Jadąc mniej więcej równoległe do linii oceanu, po przebyciu dziesięciu kilometrów równiny skręciliśmy pod kątem dziewięćdziesięciu stopni na wschód. Niebawem teren zaczął się podnosić. Góry były tuż.

Podłoże ożywiło się. Szary żwir, pokryty nieforemnymi "kuleczkami" ustąpił miejsca rudawej zieleni, z której coraz częściej występowały garby nagiej skały, pobłyskujące żyłami kruszców. Dziób polota sterczał już stromo w górę, kiedy pojawiły się pierwsze drzewa. Pomyślałem, że wszystko dzieje się na opak, na tym sympatycznym skądinąd globie. Weźmy dla przykładu drzewa. Dlaczego niby miały rosnąć akurat na równinie, skoro łatwiej im zapuszczać korzenie w skałę?

Zresztą, z naszego punktu widzenia przypominały raczej stare pomniki niż rośliny. Ich drobne listeczki, czy lepiej pędy, tworzyły szczelne ściany. Za iluminatorami kabiny odzywały się chwilami wcale głośne poszumy wiatru, one jednak trwały nieruchomo. Rosły w równej, przyzwoitej odległości jedno od drugiego i sprawiały wrażenie, że cokolwiek by zaszło, one przyjmą to z godnością. Były niesympatyczne i obce.

Uplaz zwał się stopniowo, jego stoki stawały się bardziej strome. W odległości kilkuset metrów nad nami widniała otoczona skalnym murem kotlinka, otwarta ku zachodowi i przypominająca stary, porzucony kamieniołom. Ku niej właśnie zmierzaliśmy w nadziei, że trafimy na jakiś łagodniejszy od innych żleb, spadający z najbliższej przemęczy.

Przejechaliśmy jeszcze kilka metrów, po czym Guskin westchnął i wolnym, niechętnym ruchem ściągnął stery. Polot zastopował.

- Nic z tego - usłyszałem.

Stwierdzenie nie należało do odkrywczych ale poza tym trudno było mu cokolwiek zarzucić. Kotlinka przypominała nie kamieniołom a studnię. W jej pionowych ścianach darmo usiłowaliśmy wypatrzeć najmniejszą szczyrbę, nie mówiąc już o żlebie. Jedyne prześwit otwierał się na wprost nas, przepuszczając

upłaz, którym jechaliśmy do tej pory.

- Podciągnij jeszcze trochę - mruknąłem.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale bez słowa wykonał manewr. Nie mógł widzieć tego, co ja, z mojego prawego fotela.

- Dosyć - powiedziałem - spójrz. "Strumyczek" - wskazałem ruchem głowy w stronę otwartej teraz doliny.

Dopiero z tej wysokości stała się widoczna przecinająca ją srebrna wstęga. Wiła się płynnymi łukami, pobłyskując w zakolach ognistym, czerwonym refleksem bijącym od chmur.

Nie był to żaden światłowód czy inny kanał. Zwykła uczciwa rzeka. Wcale nie mała, biorąc pod uwagę odległość.

- Co powiesz o kąpieli? - spytał po chwili milczenia Gus.

Nic nie powiedziałem.

Od rzeki dzieliła nas jedna jeszcze, bliższa dolinka, której łyse dno przechodziło w stromy stok, wspinający się gładką, przechyloną płaszczyzną ku skałom otaczającym naszą kotlinę. Za nią ciemniała wąska grzęda o najeżonych skalnymi ostańcami półkach. O jeździe na wprost trudno było myśleć.

Grzęda ta nie biegła jednak równolegle do drogi, jaką przebyliśmy ale skręcała, łącząc się z głównym masywem w miejscu zasłoniętym teraz przez ściany kotlinki.

Jedyne, co można zrobić, to spróbować trawersu.

- Co tam, Gus? - obudził się Sennison. Nie, nic, nic - dodał uspokajającym tonem. To ostatnie nie było przeznaczone dla nas.

Zdażyłem o nim zapomnieć. W każdym razie przestałem myśleć o tym, czego dowiedzieliśmy się wczoraj. Nie na długo. Dość było jednego słowa Sena, wypowiedzianego w kabinie odległego o czterdzieści kilometrów Idiomu, by wszystko ożyło.

Przez moment miałem ochotę spytać, czy poszli już odwiedzić grób Reussa Pierwszego, ale nagle wezbrała we mnie złość.

- Jedź - warknąłem.

Guskin spojrzał na mnie z dezaprobatą i pchnął ster.

Nasze przewidywania okazały się słuszne. Za pierwszym okrażonym załomem skalnym odsłonił się długi stok, pokryty roślinnością przypominającą do złudzenia zwykłą, ziemską trawę. Łagodna pochyłość przechodziła stopniowo w dolinę.

Dwadzieścia minut później zastopowaliśmy na brzegu rzeki. Płynęła wartkim nurtem, pośrodku płaskiego, kamienistego koryta. Otoczaki miały barwę odrobinę tylko ciemniejszą od tych, jakie zalegają doliny rzek alpejskich.

Bez słowa włożyłem skafander, wezwałem jeden z automatów i nie zapominając o miotaczu, wyskoczyłem z pojazdu. Przeszedłem kilka kroków po wymykających się spod stóp kamieniach i zatrzymałem się nad samą wodą. Wysunąłem nogę i zanurzyłem czubek buta.

- Ciepła? - usłyszałem natychmiast głos Sennisona. Nawet tutaj. Jakby tylko na to czekał.

Zwykła, najzwyczajniejsza woda. W niczym nie przypomina rtęciowej cieczy, rozlanej w ocean. Czysta. Widać wyraźnie kamieniste, jakby powiększone dno.

Przez moment wydało mi się, że spod mojej stopy śmignął cień. Nie pomyśleliśmy o wędkach.

Ta myśl przysłała nie w porę. Skojarzenia nasuwały się same.

Cofnąłem stopę i rozejrzałem się.

Jakieś pół kilometra stąd, na zachód, rzeka zakręcała ostro, znikając za skalnym progiem. Dolinę zamykał tam potężny masyw, odnoga głównego pasma gór. Jej przeciwległe zbocza opadały zapewne bezpośrednio ku nadmorskiej równinie. Koryto rzeki zwężało się, z miejsca gdzie stałem widoczne były unoszące się nad głazami chmury wodnego pyłu.

Tam nie mieliśmy czego szukać. Zresztą, ten kierunek i tak niczego nie obiecywał. Wskazane przez sondy "białe piramidy", które nie mogły być niczym innym jak skupiskami cywilizacji "lądowych" leżały mniej więcej na przedłużeniu dotychczas przebytej drogi.

Na wschodzie góry rozstępowały się. Rzeka wiła się, omijając skalne garby mniej więcej półtora kilometra, po czym wpływała w rozległą, płaską dolinę, zamkniętą majaczącymi na horyzoncie szczytami.

Nie było wyboru. Automat pobrał próbki wody i skał, umieścił w zasobniku egzemplarze skąpej Hory, Guskin nie ominął sposobności, by wypowiedzieć kilka ciepłych słów o urokach natury, ja wróciłem na swój fotel po jego prawej ręce i ruszyliśmy.

- Trzymajmy się raczej zboczy - mruknął Gus, kiedy polot sunąc stale nad wyschłymi rozlewiskami rzeki pokonał te półtora kilometra, dzielące nas od doliny.

Skinąłem głową. Teren przed nami był równy jak stół. Nawet "Techniczny"

nie mógłby oczekiwać od istot zamieszkujących łąd, żeby nie wykryły naszej obecności, jak długo nie nabierzemy na to ochoty. Nie miało sensu pchać im się w oczy. Na tej równinie, pozbawionej nawet tutejszych pomnikowatych drzewek, mieli nas jak na widelcu.

Góry rozbiegały się na znacznej przestrzeni. Jeżeli chcemy osiągnąć przeciwny skraj niecki, przyjdzie nieźle nałożyć drogi.

Nałożymy. Cóż innego mamy do roboty.

- Przed wami droga - rozległ się głos Sena, zanim ujechaliśmy dwieście metrów.

Zastopowaliśmy.

- Widzę - mruknął Guskin.

Najbliższy garb po lewej stronie przecinała biała serpentyna. Oplatała wąską tasiemką szczyt wzniesienia i regularnymi zakosami schodziła w dół, niksząc za niewielkim, stromym szczytem, zamykającym grań. Dalej ukazywała się znowu, już znacznie niżej. Nie ulegało wątpliwości, że zbiega w dolinę i to na wprost nas.

- Jedziemy? - spytał Gus.

A co niby mamy zrobić? Jeżeli szukamy skupisk cywilizacyjnych gospodarzy łądu, to nic nie zaprowadzi nas do nich szybciej i pewniej jak ich własna droga. Powiedziałem mu to.

- Wiem - uciął.

Wie, więc pyta. "Dobrze zapytać, to więcej, niż dobrze odpowiedzieć" - przeszło mi przez myśl jedno z celniejszych powiedzonek "Technicznego". Nie darmo Gus należał do grona jego ulubieńców.

Wspięliśmy się kilkanaście metrów wyżej i trawersując zbocze jechaliśmy jeszcze dobrą chwilę, zanim przed dziobem pojazdu zabielała biegnąca tutaj poprzecznie do kierunku jazdy płaszczyna drogi.

Polot stanął.

- Wyślę automat - powiedział Gus.

Podczas kiedy automat robił swoje, przyglądałem się nawierzchni. Przyjeliśmy na wiarę, że mamy do czynienia z drogą, ale tym razem była to wiara uzasadniona. Nie mogło chodzić o nic innego.

Matowa powłoka białawego pasa była czysta, jakby dopiero opuściły ją stołeczne śmieciarki. Jak okiem sięgnąć, śladu szczyrby, pęknięcia, czy innego uszkodzenia. Najmniejszej nierówności.

Nawierzchnia wyglądała jak narzucona na grunt bez żadnych podkładów czy jakichkolwiek robót przygotowawczych. W pewnym miejscu trawa przechodziła w beton. Powiedzmy, beton. Nie było rowów, ścieków, nasypu, jakie widuje się przy starych ziemskich szosach, pozostałych po okresie komunikacji kołowej. Mimo to, na tle ciemnych zboczy, zwieńczonych potężnymi turniami i otwierającej się niżej obszernej równiny, ta droga wyglądała porządnie i swojsko. Miała styl.

- Automat sygnalizuje drgania - powiedział nagle Guskin ożywionym tonem.

Spojrzałem przed siebie. Znajomy czarny kształt zatrzymał się pośrodku nawierzchni. Wykonywał niezdarne ruchy, jak człowiek objuczony ciężkim plecakiem, któremu nagle zachciało się podskoczyć.

- Niech zmierzy częstotliwość - powiedziałem szybko.

Mieszkańcy ładu znali się na technice falowej. I nie tylko na niej. Dość pomyśleć o konstrukcji ich światłowodu. O tym, jak go maskowali.

- Nic nadzwyczajnego - mruknął Gus, odczytując wskazania czujnika. - Długość fali nie przekracza pięciuset nanometrów. Częstotliwość... - wzruszył ramionami. - Powiedziałbym, szkolna - dodał, jakby zawiedziony.

- Co on tam jeszcze robi? - spytałem, wskazując automat.

Gus ponownie pochylił się nad okienkami kalkulatora.

- Nie wiem - burknął w końcu. - Wykonał program i od dobrej chwili nie przekazuje już danych...

- Powiedz mu, żeby się przestał bawić i wracał.

- Uhm...

W głosie Gusa zabrzmiało wahanie. Jakby bardzo chciał poczekać i zobaczyć, co jeszcze "wymyśli" wysłany przez niego aparat.

Sygnał przesłał mu jednak od razu. Automat odwrócił się i zaczął pełznąć w stronę wjazdu. Trzy minuty później wjechaliśmy na równą, chropawą płytę drogi.

- Czyścioszki - powiedziałem.

- Co?

- Skrzętne gosposie. Droga jest tak czysta, jakby nieprzerwanie nad tym pracowali. Nie zdziwiłbym się, gdyby te drgania miały służyć temu jednemu. W zimie mogą jeszcze usuwać zaspę. Podgrzewać.

- Jeśli tu są zimy - zauważył Gus.

- Właśnie. Tanio i wygodnie. Jeden generator, system niewielkich wzmacniaczy i po kłopotcie.

Pomyślał chwilę.

- Równie dobrze - rzekł wreszcie - mogą tam instalować tory informacyjne.

Pod powierzchnią dróg. Nie natrafiliśmy na żadne kable czy przekaźniki. Radio milczy.

- Mogą - przystałem. Popracowałem. "Techniczny" byłby ze mnie zadowolony. Powiem mu, jak go zobaczę.

Zanim to nastąpi, trzeba się uporać z paroma sprawami. Na przykład wskaźnikiem temperatury.

Pochwyciłem spojrzenie Gusa. Kilkakrotnie już zerkał w stronę czujników. Na jego twarzy odmalowała się troska.

- Ciepło - wyznał w końcu.

- Ciepłej - poprawiłem.

Zaczynałem domyślać się tej muzyki, do której nasz automat wykonał przed chwilą na powierzchni drogi swój niedorzeczny taniec. Niedorzeczny? Chciał się tylko upewnić. Zauważył, że temperatura nawierzchni rośnie. Proces był widać zbyt wolny, lub on przebywał tam za krótko, żeby przekazać konkretną informację.

Przejechaliśmy jeszcze kilkadziesiąt metrów. Dość, by pozbyć się wątpliwości.

- Zdaje się, że wybraliśmy właściwy kierunek - mruknął Guskin.

Myślałem o tym samym. Podgrzewają drogę. Chcą nas z niej spędzić. Dziecinada. Pancierz polota wytrzyma do dwóch tysięcy stopni. Najwyżej my się ugotujemy. Na twardo. Ale zanim to nastąpi, sama droga zacznie płynąć.

- Ile tam macie? - zainteresował się Sennison. Nie spuszczał z nas oka.

Wzruszające.

- Około... - zaczął Gus.

- Nie widzisz? - przerwał. Co, u licha. Skoro tak się przejmuje naszym losem, niech też zerknie od czasu do czasu na tablicę. Do pogaduszek ma Reussa. Powinien korzystać z jego obecności. Jak długo się da.

Głośnik umilkł. Nawierzchnia, nad którą sunął polot osiągnęła temperaturę czterystu stopni.

- Chciałbym zobaczyć chociaż jeden z ich pojazdów - odezwał się Guskin.

- Po co?

- Paliwo - mruknął. - Jeśli stosują mieszanki wybuchowe, na przykład gazowe, muszą wozić ze sobą zbiorniki. Wystarczy podgrzać taki zbiornik do określonej

temperatury a nastąpi eksplozja. Dość higieniczny sposób pozbywania się gości...

Nieglupi chłop ten Guskin. Nawet, kiedy mówi.

- Niedługo się przekonamy - powiedziałem.

Droga opuściła sąsiedztwo zboczy. Szerokim łukiem wpadła w kotlinę i nie podchodząc do rzeki wiodła równolegle do niej, wprost ku zamykającym horyzont szczytom. Temperatura podłoża wzrosła do sześciuset pięćdziesięciu stopni i od kilku minut przestała się podnosić. Powietrze w kabinie było znośne. Tylko sprężarki klimatyzatorów pracowały na pełnych obrotach.

- Jeśli nie potrafią nic więcej... mruknął w pewnej chwili Guskin. W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Niedługo się przekonamy - powtórzyłem.

Upłynęło jeszcze dobre dwadzieścia minut, zanim przed nami coś zaśniło. Zwolniliśmy.

To była rzeka. Nie nasza, wzdłuż której jechaliśmy dotychczas. Jeden z jej dopływów, spadających z gór. Droga przecinała ją pod kątem prostym. W oddali widoczny był most a raczej wiadukt, przypominający olbrzymią kładkę. Szosa, pozbawiona podpór, filarów, czegokolwiek co wskazywałoby, że wzmocniono tam jej konstrukcję, biegła po prostu dalej, nie zważając na otwierającą się pod nią pustkę. Ta druga rzeka płynęła w dość głębokim jarze.

Chciałem właśnie powiedzieć Gusowi, żeby na wszelki wypadek zwiększył szybkość, kiedy w ułamku sekundy znajdujący się już nie dalej niż o pięćset metrów most, stanął w ogniu. Ledwie zdążyliśmy zahamować.

- Coś jednak potrafią... - mruknąłem.

Guskin spojrzał na mnie, potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że powinienem więcej od siebie wymagać i wezwał automaty.

Tym razem wysłał dwa. Nie posuwały się drogą. Szły wzdłuż niej, w odległości kilkunastu metrów. Zbliżyły się do krawędzi wąwozu i wtedy dopiero skręciły w stronę mostu. Po chwili stanęły.

Temperatura "płonącego" wiaduktu nie przekraczała sześciuset pięćdziesięciu stopni.

- Straszą nas - powiedział Guskin.

- Uhm. Fatamorgana. Dziwne, że całej drogi nie zrobili niewidzialną.

Ogień był, rzecz jasna, fałszywy. W grę wchodziły zapewne pola siłowe, stymulowane podobnie jak w wypadku "osłony" światłowodów.

Automaty wróciły. Bez najmniejszych sensacji przelecieliśmy nad mostem. Z wysokości kabiny pilota nie było tam nic, co przypominało płomienie.

Pochłodziło. Sprężarki gwałtownie zwolniły obroty, ale przez chwilę tłoczyły jeszcze w przewody klimatyzatorów lodowate powietrze, zamrożone w krioenergetycznych komorach napędowych pojazdu. Za mostem temperatura drogi nie różniła się od otoczenia.

- Doszli do wniosku, że jesteśmy z innej gliny - powiedział Guskin, nie bez odcienia dumy.

A więc sześćset stopni stanowiło dla nich zaporę nie do przebycia. Przynajmniej dla ich pojazdów. Ta informacja mogła się przydać. My też potrafimy podgrzać kawałek ziemi. Nawet nie zakładając pod nią zdalnie sterowanych instalacji. I nawet, jeśli to nie będzie ziemia, ale dajmy na to, biała piramida...

- Przechodzę na namiar - zabrzmiał nagle głos Sena. - W razie czego, meldujcie. Mamy tu trochę roboty... - dodał i umilkł.

- Może zawrócimy? - spytał Guskin.

Głośnik nie odpowiedział.

Pomyślałem, że tej "roboty" musi być więcej niż trochę, skoro Sen zdecydował się zrezygnować z otwartej łączności. Kiedy chce, umie być rzeczowy. Tym "mamy" krótko i dobitnie dał nam do zrozumienia, że to nie Reuss przysparza mu pracy.

- Da sobie radę - powiedziałem z przekonaniem.

Guskin zrobił znaczący ruch głową, jakby chciał podkreślić, że zastrzega sobie własny pogląd na tę sprawę, ale nie zmienił położenia sterów.

Kilkaset metrów przed nami droga opuszczała linię, wytyczającą cięciwę kotliny i skręcała ostro na wschód. Teren podnosił się. Jechaliśmy prosto w stronę bocznego pasma gór. Powoli odsłaniała się przed naszymi oczyma głęboka, ostro wcięta w skalne masywy dolina. Nie mogliśmy wątpić, że nią właśnie puszczono szlak komunikacyjny.

Ujście tej doliny, czy lepiej kanionu, było obramowane wysokimi skałami, tworzącymi wąskie wrota. Za nimi panował półmrok. Z lewej i prawej wznosiły się W górę ciemne, posępne, przewieszane miejscami ściany, porysowane starymi obwałami i piarzystymi, niemal pionowymi żlebami. Ułamek skalny, wielkości domu stoczył się na samo dno, zamykając światło kanionu. Droga obiegała go ciasnym łukiem, wciętym w skalną przyporę. Gus zmniejszył szybkość. Polot wziął zakręt i zahamował gwałtownie.

Spostrzegliśmy to równocześnie.

W odległości mniej więcej kilometra, na skalnym wypiętrzeniu, przypominającym płasko ściętą głowę cukru, lśniła najczystsza bielą ogromna, przysadzista piramida. Droga wbiegała na szeroką półkę, wznosiła się i przecinając zboczne ginęła za załamaniem, stanowiącym krawędź szerokiego, łagodnego zlebu. Ukazywała się po jego drugiej stronie, skąd prostą świecą szła do stóp budowli. To znaczy na pierwszy z całego systemu tarasów i półek, których zwieńczenie stanowiły zręby piramidy i kolejne, gładko ociosane bloki.

- No i dojechaliśmy - powiedział Gus, niemal wesołym tonem.

Ze szczytu budowli wzniosła się strużka dymu. Mogło to nie mieć nic wspólnego z naszą obecnością. Na przykład gotują obiad.

Powoli, nie spuszczać wzroku z białej góry, zbliżaliśmy się do płaskiego zlebu. Piramida rosła w oczach. Musiała liczyć dobre dwieście metrów wysokości.

Budowla i jej otoczenie wyglądały jak wymarłe. Tarasy były wymiecione ze śladów obecności żywych istot. Żadnych porzuconych pojazdów, konstrukcji, anten, żadnego ruchu.

Polot zakołysał łagodnie, pokonując płaską rynnę zlebu. Wyjechaliśmy na jego przeciwną krawędź. W dalszym ciągu nic się nie działo. Cisza. Przed nami pozostało może trzysta metrów prostej jak strzała drogi. Dalej zakręcała ostro, wbiegając na najniższy z tarasów.

- Poczekaj - powiedziałem, - Dojedziemy tam i co?

Gus zastopował. Sprawdził wskazania czujników i spojrzał na mnie z pytaniem w oczach.

Rozejrzałem się. Chcąc w dalszym ciągu korzystać z drogi, w pewnym miejscu stracilibyśmy piramidę z pola widzenia. Tam mianowicie, gdzie podprowadzała pod taras, obiegając stromą skalną grzędę. Nie bardzo mi się to uśmiechało.

Po lewej stronie wznosił się niewysoki komin, opadający w kierunku budowli łagodnym stokiem, porośniętym skłębioną roślinnością, jakby brunatną watą, czy gęstym mchem. Zaraz za nim widniał przysadzisty, okrągławy szczyt, zakończony płaską platformką. Wskazałem go Gusowi.

- Tam nie byłoby najgorzej - powiedziałem.

Jego oczy powędrowały w górę, po czym skinął głową.

- Myślisz o kontakcie? - spytał.

Wzruszyłem ramionami.

- Wszystko jedno o czym - bąknąłem.

Kontakt. Dobrze sobie. Mamy wytłumaczyć tym z lądu, że ludzie, którzy ich zabijają, nie robią tego dla własnej przyjemności. Że przylecieli po co innego. Mamy ich przekonać, jacy w gruncie rzeczy jesteśmy sympatyczni i szlachetni. No i zapewnić sobie spokój z ich strony, jeśli nie pomoc w ratowaniu pozostałych członków załogi Animy.

To znaczy, o tym wszystkim mówili przed opuszczeniem Idiomu.

Ciekawe, czy Sennison powtórzyły to tutaj, u stóp tej wymarłej, zębatej głowy cukru. Chętnie zapytałbym, czy sprawa jest aktualna. Cóż, kiedy miał "robotę".

- Może to i racja - mruknął Guskin, sięgając do sterów.

Polot zlął z drogi i z niezmienną szybkością, bez najmniejszego wysiłku, jął pokonywać omszały stok. Po niespełna sześciu minutach stanęliśmy na skalnej platformce, na szczycie wybranego wzgórza.

Przed nami widniała mała, płytka dolinka. Sprowadzało do niej lekko pochylone zbocze, o długości mniej więcej trzydziestu metrów. Dalej wznosiła się skalna płyta, której nachylenie pozwalało puścić nią najzwyczajszą drogą, sięgającą skraju tarasów. Nie był to najgorszy punkt obserwacyjny.

- Zaczynaj - powiedział Gus. Zablokował ster i rozparł się wygodnie w fotelu.

Nie spuszczać wzroku z białej budowli poszukałem palcami kontaktów. Z wieżyczki polota strzeliły nitki światła. Cisza.

Skończyłem serię liczb i odczekałem chwilę. Następnie zmieniłem kąt nachylenia laserowych obiektywów i zaczął sygnalizować barwami.

Minuta. Pięć minut. Nic.

- Chyba wyjdziemy... - zaczął Guskin, ale nie skończył.

Zza tylnej ściany piramidy, a właściwie poniżej jej podstawy, zza załomu tarasu wytoczyły się trzy duże kule. Pomykały dość zwawo. Na moment znikły nam z oczu, w przejściu prowadzącym ku niższym półkom.

Kiedy ujrzeliśmy je znowu, były już blisko. Podtoczyły się do samej krawędzi stoku, spadającego w płytką dolinkę i zatrzymały się. W linii prostej nie dzieliło nas od nich więcej, niż osiemdziesiąt metrów. Mogliśmy przyrzeć im się dokładniej.

Nie były kulami w całym tego słowa znaczeniu. Ich dolne partie, w miejscach gdzie dotykały podłoża, płaszczyły się. Jakby zbudowano je z elastycznego, sprężystego materiału, specjalnie, aby własny ciężar dawał im lepsze oparcie w

górkim terenie.

Kule nie miały określonej barwy. Mleko, mocno rozcieńczone wodą. W ich ściankach nie dostrzegliśmy nic, co przypominało klapy otworów, żadnych wypustek, anten, nic w ogóle. I trwały nieruchomo, jakby czekając na zaproszenie.

- Sądziż, że to... oni? - spytał niepewnie Guskin.

Skąd miałem wiedzieć? Myślałem o tym. Że mogą być równie dobrze maszynami jak organizmami. Myślenie było teraz równie na miejscu, jak na przykład odśpiewanie marsza weselnego.

Raptem jedna z kul, ta po prawej stronie, drgnęła i nabierając szybkości zaczęła się staczać w naszą stronę. Odruchowo sięgnąłem do spustu.

Kula osiągnęła dno dolinki i z rozpędu wbiegła do połowy wysokości przeciwnego zbocza. W pewnym momencie znajdowała się nie dalej niż o piętnaście metrów od dzioba polota.

Wróciła jednak, chwilę kursowała wahadłowym ruchem to w jedną, to drugą stronę, wreszcie zamarła. Tak samo zachowały się wielka piłka, stracona z góry przez rozbawione dziecko.

- Niezgrabiasz - mruknął Guskin.

Uśmiechnąłem się. Tak właśnie pomyślałem.

Pozostałe dwie kule trwały niezmiennie na swoich posterunkach, na krawędzi zbocza. Ta, której przytrafił się upadek, jeśli to był upadek, nie poruszała się również, zajmując teraz pozycję wysuniętej straży przedniej.

Pochyliłem się nad pulpitem i powtórzyłem sygnalizację. Skończyłem z zestawem barw i właśnie chciałem ponowić serię liczb, kiedy nad dolinką zajaśniało. Każda z kul wysłała wiązkę błękitno świecących promieni. Mniej więcej na wysokości trzydziestu metrów te wiązki przecięły się i utworzyły jakby świetlistą tarczę o średnicy koła wyciągowego kopalni.

- Nareszcie - westchnął Guskin.

- Poczekaj - mruknąłem. - Wszystko było jeszcze przed nami. Jeśli na przykład biorą nasz pojazd za żywą istotę. Istotę, której nie znają...

Na tarczy coś zaczęło się dziać. Promienie załamywały się, tworząc barwne figury geometryczne. Trójkąt jeden, drugi...

Nie ulegało wątpliwości. To był kontakt.

- No dobrze - powiedziałem. - Wychodzę.

Gus skinął potakująco głową.

Starannie niż zwykle badałem szczelność skafandra. Sprawdziłem stan ogniw energetycznych i ładownic miotacza. Klapę wjazdu postanowiłem zostawić otwartą. Tuż za nią umieściłem dwa automaty, z pełnym uzbrojeniem.

Teraz dopiero wyskoczyłem na skalne zbocze. Poczułem pod stopami miękką, elastyczną roślinność.

Wyprostowałem się i sygnalizując laserową latarką podszedłem na skraj platformy.

Poświęcająca błękitno tarcza z przenikającymi się zarysami figur znikła jak zdmuchnięta. Znikły również wiązki promieni emitowane ze szczytowych partii kuł.

Kilka sekund nie działo się nic. Zdażyłem wskazać dłonią własną pierś, następnie polota, wreszcie wznieść rękę wycelowaną w niebo.

Tego było im już za dużo. Poraził mnie błysk, po którym zapanowała noc. Spod moich stóp wzniosła się ściana czarnego dymu. Zapanował nieznośny upał. Podniosłem rękawicę do oczu i ujrzałem, że jej zewnętrzne warstwy zaczynają się żarzyć. Nie było na co czekać.

Odwrociłem się i co sił w nogach pobiegłem w kierunku wjazdu. Kiedy go dopadłem, skafander stał się ciężki od potu. Miałem wrażenie, że wypacam czystą benzynę, która natychmiast zaczyna płonąć. Ostatnie, co zobaczyłem, to pęczniejące w ogniu kłęby wyschłego mchu.

Kiedy się ocknąłem, tkwiłem jeszcze w komorze śluzy. W powietrzu nie pozostało śladu dymu. Przejście do kabiny było otwarte. Automat kończył oczyszczanie skafandra.

Jechaliśmy. Kiedy wgramoliłem się z powrotem na mój fotel, przedpole było już wolne od ognia. Cofając się cały czas tyłem, polot zjechał na drogę i wpełzł za głąz, zamykający kanion. Zastopowaliśmy.

- To na nic - warknąłem z pasją. - Wszystko było cacy, jak długo mieli przed sobą pojazd. Jak długo nie zobaczyli, kto w nim siedzi. Jesteśmy dla nich tylko narzędziem z rękach śmiertelnych wrogów albo... mordercami. Z obcej planety. Pogratulować!

Ogarnęła mnie dzika wściekłość. Pomyślałem o Reussie, z którym Sen dzieli się właśnie swoją robotą. To przez niego. Chciał, nie chciał, faktem jest że zrobił ludziom reklamę. Za nieumyślne zabójstwo też idzie się do kryminału. Poza tym, diabli wiedzą, czy takie nieumyślne. Przypomniałem sobie błysk w jego oczach, kiedy mówił o mieszkańcach białych piramid. Niech to szlag trafi!

- Niech to szlag trafi - powiedziałem na głos. Ulżyło mi. - A niezależnie od wszystkiego - dodałem, spoglądając w ekran - przejechałbym się po takiej kulce. Czegoś moglibyśmy ich jednak nauczyć...

Spojrzałem na Gusa. Pomyślałem, że jeśli piśnie teraz o kontakcie i naszej misji, to powiem mu, żeby posiedział trochę w ognisku. Może od tego rozjaśni mu się w przeciwległej części ciała.

- Jeszcze nie - mruknął.

Dobre i to.

Staliśmy za tym załomem skalnym jakieś cztery druty, myśląc, że coś trzeba wreszcie postanowić.

Nie było wyboru. Mogliśmy tylko powtórzyć całą imprezę. Poszukać innej piramidy. Albo podjechać jeszcze raz do tej tutaj po pewnym czasie. A nuż przekonamy ich w końcu, przychodząc jawnie i nie używając broni, że tamci, z morza, to całkiem kto inny?

Może uwierzą. Czy ja uwierzyłbym na ich miejscu? To na szczęście nie ma znaczenia.

- Polot, polot! - wycharczał raptem głośnik. Gus skoczył do sterów jak wyrzucony. W głosie Sena brzmiała desperacja.

- Start za dziesięć minut! Dłużej nie mogę! Żebyśmy lecieli nad szczytami, za dziesięć minut zdążymy zrobić czwartą część drogi do Idiomu.

- Co mam robić? - zawołał Gus.

- Namiar! Dawajcie namiar!

- Przestań gadać! - krzyknąłem. - Jedź.

Polot wyrwał do tyłu, zakręcił w miejscu i ruszył z takim przyspieszeniem, że przez dobrą chwilę nie mogłem się wygrzebać z głębokiego fotela.

Nie zważaliśmy już na drogę. Obserwujący nas mieszkańcy piramidy musieli sobie powiedzieć, że mamy powody, by tak uciekać. Szansę kontaktu należy uznać za ostatecznie przegraną.

Ale chyba nawet Gus nie myślał teraz o kontakcie. Jedno było ważne: czym skończyła się ta "robota" tam, na wybrzeżu. Czy Sen zdąży wystartować. Czy wróci po nas, zanim...

Dość pytań. Odpowiedzi przyjdą same, bez wysiłków z naszej strony. Niektóre z nich już czekają.

To nie jest jazda. To szalony, potępińczy lot na wysokości pięćdziesięciu

centymetrów nad ziemią. Nad, rzeką, i żlebami, skalnym rumowiskiem, postrzępionymi palcami grani.

Zielona nitka na ekranie zmieniła położenie. Przecinała teraz tarczę na ukos, zakrzywiając się powoli w śmiałą parabolę. Sennison wystartował. Zdążył.

Musiało im być naprawdę gorąco.

W czasie startu dużego statku i bezpośrednio po nim, nigdy nie jest dobrze z łącznością. Nie mówiąc o tym, że jeśli chce nas zabrać, musi tkwić w atmosferze, utrzymując raketę w pozycji niemal pionowej. Nie zazdroścę. Zadanie niewdzięczne i trudne dla kompletnej załogi, co dopiero dla jednego. Powiedzmy, dla półtora.

Polot wdarł się na szczyt skalnego masywu, trafiając w stosunkowo szeroką przełęcz i zwolnił. Przez chwilę trawersowaliśmy zbocze, docierając do podnóża kolejnej ściany. Dalej była przepaść.

Stanęliśmy.

- No i co? - rzucił Guskin.

- Rób co chcesz - mruknąłem.

Mieliśmy dwie możliwości. Obie nie do przyjęcia. Cofnąć się i pokonać zbocze zakosami, metodą początkujących narciarzy, albo zaryzykować jazdę z pieca na łeb.

Wybrał to drugie. I popełnił błąd. Obaj go popełniliśmy.

Nachylenie stoku przekraczało możliwości polota. Pojazd tracił przyczepność. Kilkakrotnie już uderzył obudową podwozia o skały. Pociemniało nam w oczach od tych ciosów. O hamowaniu nie było co myśleć.

Zlecieliśmy w ten sposób jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym przyszło gwałtowniejsze od innych uderzenie, pojazd wyskoczył w górę, skapotował i runął do góry dyszami, ześlizgując się jeszcze po kamienistym stoku. I tak mogliśmy mówić o szczęściu. Wieżyczka zawadziła o skalny występ, a raczej próg, który zatrzymał nas w płytkiej ale szerokiej szczyrbie. Koniec.

- Mówiłeś, żeby jechać na wprost - wykrztusił Guskin, wyplątawszy się z przewodów swojego fotela. Dwa ich końce, wyrwane z zacisków dyndały bezradnie nad jego głową. On sam usadowił się nad obudową ekranów, kucnąwszy w pozycji mniej więcej wertykalnej. Raczej mniej, niż więcej.

Zignorowałem to oskarżenie i przysiadłem obok niego. Zaraz jednak pozbierałem się i wykorzystując zwisające z podłogi pasy oraz kable, małpim

sposobem spuściłem się do śluzy.

- Najpierw wyleźmy stąd - powiedziałem. Nie bez trudu udało mi się wydostać przez na pół zablokowaną klapę wjazdu. Gus przecisnął się zaraz po mnie, wyprostował ostrożnie i zaczął obmacywać swoje kończyny.

- Przynajmniej nie będziemy się dalej trząść - zauważył.

Pocieszające. Nie tak jednak, jak bym sobie życzył.

Trzydzieści metrów poniżej, z prawej strony, widniała szeroka skalna półka, przechodząca w rodzaj tarasu. Wykorzystując skalną rynnę, mogliśmy się tam dostać względnie wygodnie. W każdym razie bezpiecznie. Wskazałem mu ją.

- Tam poczekamy - powiedziałem.

Dość długo patrzył w dół zbocza, wreszcie pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Tego nie robiliśmy nawet na poligonie. Myślisz, że mu się uda?

- Może lądować tam albo nigdzie - powiedziałem spokojnie. W każdym razie, jeśli chodzi o nas. Masz inną propozycję?

Nie miał.

Nie spojrzeliśmy nawet za siebie. O ruszeniu polota nie było co marzyć. Nawet z pomocą pokładowych automatów Idiomu. Każda próba odzyskania pojazdu musiała się skończyć strąceniem go w przepaść.

Skalny taras osiągnęliśmy szybko i bez trudu. Z bliska był obszerniejszy, niż osadziliśmy na pierwszy rzut oka.

Gus usiadł na jego północnej krawędzi, ja na południowej. Zwiększyliśmy do maksimum natężenie sygnałów namiarowych, emitowanych przez aparaturę skafandrów. Odległość kilkunastu metrów dzieląca Gusa ode mnie, tworzyła podstawę stożka, jakim sygnały biegnęły teraz w eter. Tylko w ten sposób mogliśmy pomóc Senowi w odszukaniu naszej półki i nas samych.

Pozostało tylko czekać. Jeśli Senowi się nie uda, będziemy czekać dalej. Może niezupełnie na to samo.

Południe minęło już dawno. Dzień miał się ku końcowi. O osadzeniu Idiomu na tym skalnym poletku po zapadnięciu mroku nie było mowy. Za dnia dość będzie z tym zabawy.

Mijały minuty. Z minut robiły się godziny. Czekaliśmy.

- Chmury - odezwał się nagle Guskin.

Spojrzałem we wskazaną przez niego stronę. Nie chmury. Dym. Czarny dym. Szedł od oceanu, od którego dzieliła nas jedna, ostatnia grań. Wznosił się zbitą ławą,

rociągniętą wzdłuż całego horyzontu. I był coraz bliżej.

- Cały czas czułem, że czegoś tu jeszcze brak - mruknąłem. Woląłem nie myśleć, skąd wziął się tam dym. I co to oznaczało dla nas.

- Zakład? Kto będzie pierwszy, Sen, czy dym? - : zaproponował po chwili milczenia Guskin. - Ja stawiam na...

- Odczep się - burknąłem.

Uśmiechnął się. Ale zaraz spoważniał.

Minął kwadrans. Ściana dymu zawisła już nad szczytami dzielącymi nas od przybrzeżnej równiny. Szła w górę. I zbliżała się. Wreszcie jej front przewalił się przez skały i zaczął spływać w dolinę. Górne warstwy dymu nasuwały się na chmury, niemal bezpośrednio nad naszymi głowami. Ściana czerni nacierała skosem, z rosnącą szybkością.

I w tym właśnie momencie ujrzeliśmy Sena. Właściwie tylko ogień, pionowy słup ognia, wystrzeliwany z dysz głównego ciągu.

Szedł od strony lądu, nie jak się spodziewaliśmy, z zachodu. I cholernie mu się spieszyło. Statek rósł w oczach. Musiał dokonywać cudów, żeby nie stracić stateczności. Ogromne cygaro dygotało, gołym okiem widoczne były błyskawicowe zygzaki, targające jego białym dziobem. Góry napełniły się ciągłym grzmotem, od którego pękały bębunki.

- Skafander! - wrzasnąłem.

Nie usłyszał. Siedział dalej na krawędzi tarasu, z zadartą w niebo głową. Jeszcze moment a będzie za późno.

Zdarłem z siebie skafander i rzuciwszy okiem na czujnik emisji namiaru pobiegłem w samych slipach. Potrząsnąłem go za ramię i pomogłem mu się rozebrać. Sen był tuż, środek skalnego placyku, w który celowały dysze, zaczynał już dymić.

W ostatniej chwili, pozostawiając na zaimprovizowanym lądowisku skafandry z działającą bez przerwy aparaturę łączności, schroniliśmy się kilkanaście metrów dalej, na dnie głębszej w tym miejscu rysy. Musieliśmy nieźle dostać w kość pod tą przeklętą piramidą i tutaj, koziołkując z polotem, jeśli nie pomyśleliśmy o tym wcześniej.

Sen siadał. Pomimo wszystko co jeszcze mieliśmy przed sobą, patrzyłem jak zahipnotyzowany. Tak chodzą tylko piloci Proksimy. W pewnej chwili poczułem się po prostu dumny.

Malarz potrafi się upoić oryginalnym pejzażem. Poeta pieje z radości,

znalazłszy to jedyne słówko, które robi wiersz. Dla pilota nie ma nic piękniejszego nad naprawę trudną i naprawdę dobre lądowanie.

Przeszedł na zimne paliwo. Mroczne dotychczas ściany skalnych kolosów zapłonęły upiornym, żółtawym fioletem. Ściana dymu, czerniejąca nie dalej niż o kilkadziesiąt metrów zafalowała, przeszły ją krzaczaste błyskawice. Łoskot silników umilkł, nie słyszeliśmy go, wydawało się że to góry same występują ze swych leży w skorupie globu.

Wąska i celna jak dobrze wymierzony pocisk struga ognia trafiła w sam środek skalnej platformy. Rozziew zniknął szybko. Pięć metrów... trzy... dwa... półtora... już widać tylko płonące chmury dymu, to jest inny dym, niż ten idący od oceanu, znajomy, jasny... Teraz. Przez grzmot silników, ustokrotniony echem, przebił zgrzytliwy, metaliczny dźwięk. Rakieta stała w kratownicach.

Przełknąłem ślinę i zerknąłem na Guskina. Nie zdziwiłem się, widząc łzy w jego oczach. Nikt na świecie nie był mu teraz bliższy niż Sennison. I to nie dlatego, że zdążył. Że dzięki niemu nie zostaniemy tu nad przepaścią, jako ostrzeżenie dla wszystkich następnych przybyszów. W każdym razie nie tylko dlatego. Wyciągnąłem się na dnie rynny. Ramiona podłożyłem pod głowę. Chwilę trzeba odczekać. Nie tak długo, jakby należało. Nie pozwoli na to milczący pochód dymu. Niech tylko wiatr znieśie z lądowiska resztki radioaktywnych gazów.

Szkoda, że pozbawieni skafandrow, nie możemy nic powiedzieć Senowi. Tylko, co właściwie mieliśmy sobie do powiedzenia?

O tym, że nam się nie udało, dowie się dostatecznie wcześnie. Co do niego, pośpiech z jakim wyniósł się znad brzegu, mówi wszystko.

Usłyszałem znajomy dźwięk. Winda. Nie zauważyłem, kiedy wyrzucił prowadnicę.

Dobra. Ani minuty dłużej.

Dałem znak Gusowi, zerwałem się i nie myśląc o niczym, nie rozglądając się, skoczyłem w kierunku spoczywającej na skale metalowej platformki. Uruchomiłem automat zanim jeszcze Gus zdążył usadowić się koło mnie. Chwyliłem go za ramię i przytrzymałem.

Sunąc w górę, mimo woli zlustrowałem pokrycie kadłuba. Było jasne, zdrowe. Żadnych smug, wzerek, śladów eksplozji. Jeżeli się nawet bili, nie przygnietli ich tam za bardzo.

W służbie automaty cackały się z nami nieznośnie długo, zanim mogliśmy

włożyć nowe skafandry. Tlen, gaz oczyszczający, znowu tlen, jakieś chemikalia. Zaprogramowano je z wielką starannością o zdrowie ludzi. Dobrze, że nas samych tak nie zaprogramowano. Na przykład Sena.

Skończyły wreszcie. Nad drzwiami zapłonęło zielone światelko i kłapa odskoczyła bezszelestnie. Korytarzem szliśmy już spokojnie, jak przystało pilotom, którzy za parę sekund zasiądą przed swoimi pulpitemi sterowniczymi.

Tylko, że siedział tam już ktoś inny. Zrozumiałem. dlaczego Senowi poszło tak gładko z osadzeniem statku na kawałeczku skały. Nie był sam.

W kabinie panował tłok. Stojąc w przejściu, jak skamieniały, wodziłem wzrokiem po twarzach kilkunastu co najmniej ludzi. Kobieta. Znałem ją. To Yba. Druga kobieta. Trzecia... nie, to także Yba. Tamta druga ma na imię Nysa. Jest jeszcze jedna. Mogue, jeden z najmłodszych specjalistów w bazie. Musparth. Znowu Mogue. I jeszcze jeden Musparth. Reuss. "Nasz Reuss". A może "nasz" to ten drugi, obok?

Poczułem, że lodowaciej. Po plecach przemaszerowały mi zmarznięte mrówki.

- Uwaga, Reuss, główny ciąg - rzucił Sennison. Nie spojrzał nawet w naszą stronę. Wzrok miał utkwiony w okienkach czujników.

- Tak, główny ciąg - odpowiedział Reuss.

Dwa krótkie, stłumione dźwięki. Druga.

Aparatura zapisująca pracuje bezszmerowo. Tylko taśma wpełzając do bębna wydaje cichy, świszczący syk, jakby gdzieś pod pokładem uchodził gaz z przekłutego przewodu.

Nic nie ma pod pokładem.

Wstałem. Ostatni przed snem rzut oka na farmę.

Ekran wygląda jak obraz, sielski nocny pejzaż. Na wybiegu nie widać nikogo. W głębi, za głównymi zabudowaniami, niska wieża laboratorium chemicznego. Pod nią, na utwardzonej płycie, narzędzia. Małe kombajny ogrodnicze, agregat, koparka. Kilka mechanicznych łopat.

Oto obraz sił żywotnych, tkwiących w człowieku.

Człowieku?

Pojutrze wejdę przez tę bramę, przypominającą wjazd do amerykańskich fortów z czasów wojen indiańskich. Zatrzymam się przy ciężkim, szerokim stole i nie siadając spytam, co słyszą. Nie będę unikał ich wzroku. Przyjmę obojętnie wszystko, co zdołam wyczytać w ich spojrzeniach. Czego nie mówią nigdy.

Nie, to już jutro.

Zdają się nie zauważyć, że zjawiam się uzbrojony po zęby. Tak powinno być. Przyjmują bez słowa, kiedy daję do zrozumienia, że powodzi mi się gorzej niż im. Nikt nigdy nie powiedział, że przecież nie musiałem tu zostawać. I nie powie.

Na zasadzie milczącego porozumienia uczestniczą w grze, utrzymując się w wyznaczonej im roli. Chociaż nie. Nie wiem co to jest, ale z pewnością nie porozumienie.

Nie będzie ich. Znajdą mnóstwo pracy poza farmą. Ciekawe, czy ustalili kolejność raz na zawsze, czy co miesiąc losują ofiarę.

Jeśli padnie na Ybę, będzie się do mnie uśmiechać. Nysa powie, że powinienem bardziej dbać o siebie. A ja będę liczył sekundy pozostałe do startu. Wreszcie, już w rakiecie, zadam sobie pytanie, czy udało mi się utrzymać twarz na wodzy. Czy nie wyczytali z niej, co czuję.

Wiedzieli, oczywiście, po co zostałem. Przyjrzeć się, z sąsiedniego globu, z najbliższego satelity, jak sobie będą poczynać. Zadecydować o ich losie.

Nie wiedzieli, że to kamuflaż. Iluzja. Nie mogli wiedzieć. Tylko dzięki temu znosiłem te wizyty w ich osadzie.

Najwyższy czas iść spać. Jutro zasiądę znowu przed przystawką pióra świetlnego. Nie, to już dziś. Dzień szybko minie. Następny?

Oby minął równie szybko. Jak najszybciej.

- Co z tą wizją? - spytał Reuss.

Nikt nie odpowiedział. Oderwałem wzrok od ekranów i poszukałem spojrzeniem drugiego Reussa. Siedział przy ścianie. Na dźwięk głosu tamtego odwrócił głowę.

Obok niego bielą w półmroku kabiny twarz Muspartha. Przybrał identyczną pozycję co Reuss. W przeciwległym kącie widniała ta sama twarz. Trzeci Musparth był niewidoczny. Siedział za pulpitem łączności. Rozlokowali się w kabinie tak, żeby być jak najdalej od siebie. Nie dziwię się.

Mogue. I drugi Mogue. Yba położyła się na pianowym materacu. Podłożyła ramiona pod głowę i patrzyła w górny ekran. Ale nie interesowało jej, co się tam dzieje. Tak samo obojętnie zdawała się przyjmować obecność swojej kopii. Czy może na odwrót.

Tylko Nysa była samotna. To znaczy jedna. Patrzyłem na nią z przyjemnością. Przynajmniej na nią. Miała drobną twarz dziewczynki, która nie umie usiedzieć na miejscu. Odrobinę skośne oczy. Krótko przycięte włosy, czarne jak galaktyczna pustka. Wyglądała na dwadzieścia lat. W bazie była od niedawna. Jako geofizyk miała jednak za sobą poważne prace w obszarze asteroidów.

Zwróciłem się ponownie w stronę ekranu. Rzeczywiście, z wizją coraz gorzej. To przez te chmury. Ale nie sądzę, by było czego żałować. Cokolwiek tam się działo, nie należało do rzeczy, które można zobaczyć i umrzeć. Nawet jeśli uwzględnić tę mściwą satysfakcję, do której żaden z obecnych tu za nic by się przyznał. Poza mną.

Głob płonął. W każdym razie ocean. Dziesięć minut temu Idiom wszedł na stacjonarną orbitę Trzeciej. Od dziesięciu minut nasłuch zewnętrzny przynosił odgłosy niepodobne do niczego, do wybuchów nawet. Ciągły grzmot, jak przy przelocie rakiety, w której jeden po drugim eksplodują zbiorniki paliwa. Bulgotanie, jakby pękających bąbli wrzącej lawy. Od czasu do czasu niski gwizd, przypominający wycie.

Jedno było pewne. Tam nie ma już czego szukać. Ani ludzi, ani czegokolwiek innego. Przynajmniej tak wtedy myślałem.

To co przeżywa teraz planeta, spełni się bez naszego udziału. Możemy wracać. Zrobić dwa okrążenia, sprawdzić korytarz i trajektorię, po czym wziąć kurs na bazę. Paliwa starczy na dziesięć lotów. Automaty w ciągu kilku godzin skonstruują brakujące hibernatory.

Przylecimy, siądziemy na poziomie zerowym, wyrzucimy prowadnice windy. Otworzy się kłapa wjazdu. Na ląd zejdą najpierw oni. Reuss, Reuss, Musparth, Musparth, Musparth...

I co dalej?

Sennison i Guskin nie byliby może od tego. Czuję to. Ale i oni musieli sobie zdawać sprawę z sytuacji. Dlatego ciągle jeszcze tkwimy tu, nad tym rozsypującym się globem. Jakby nas naprawdę interesowało, co się z nim stanie.

Spojrzałem na Sena. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od ekranu. Jego twarz wyrażała najwyższe skupienie. Była ściągnięta i surowa jak zmarznięty owoc.

Co on takiego powiedział, kiedy po raz pierwszy, spojrzawszy w ekran, uprzytomnił mi się z Gusem, na czym polegała ta ich "roboata"?

Już wiem. "Nie chciałem tego..."

Powinien dodać: przepraszam. Ja przeprosiłbym na jego miejscu. Poleciałbym na najbliższą planetę, narwał kwiatów i wrócił ze stosownym przemówieniem.

"Nie chciał tego". Proszę. Chciał tylko wydostać z oceanu ludzi. W białych rękawiczkach. Żeby przypadkiem nie zmacić wody. Nie spłoszyć ryb. Zwłaszcza tych kopiujących ludzi i wysyłających ich, żeby zabijali nie swoich wrogów. Nie chciał.

Koń by się uśmieł.

Być może, trzymał spust dłużej niż trzeba. Ale jakie to ma znaczenie wobec tych w kabinie? Wobec tego, że są właśnie tutaj a nie w przezroczystych kokonach pod wodą?

Przyszło mu to na myśl niedługo po naszym odjeździe. Że wszyscy członkowie załogi Animy mają na sobie przeciwpromienne skafandry. Włożyli je, kiedy ląd eksplodował pod dyszami ich statku. I kiedy zdecydowali się wodować w niewielkiej odległości od brzegu.

Obgadali to z Reussem. Zaraz potem wysłali automaty. Pochłonęła je kurzawa po serii wybuchów, lub powędrowały w stronę gór, uniesione przez ruchome zbocza. Dwa zdążyły nawet otworzyć ogień. Bez sensu i na oślep. Żaden z celów, jakie wchodziły w rachubę nie był przewidziany w ich programach.

Wtedy Sen uruchomił miotacz antimaterii. Dał krótką serię. Króciutką. Bez

poprawki. Celował w ocean, w punkt leżący na przedłużeniu linii łączącej statek z miejscem, gdzie ukazał się pierwszy Reuss.

Skutek był natychmiastowy. I przeszedł wszelkie oczekiwania.

W ułamku sekundy ocean spiętrzył się, jego powierzchnia rozděła się w balon o nieprawdopodobnie elastycznej powłoce. Zdążyli jeszcze dostrzec wielkie płaskie konstrukcje, miotane podmorskimi wstrząsami, po czym przestrzeń przeszył błysk tak potężny, że na dobre dwie minuty, jak to potem ocenili, stracili zdolność widzenia.

Kiedy rozmazane linie na ekranach ułożyły się w jako tako logiczny obraz, zobaczyli ludzi. Nie szli. Nie płynęli nawet. Unosili się nad zbałwanioną powierzchnią oceanu jak na poduszce powietrznej. Morze rozstępowało się przed nimi, pustki nie miały jednak kształtu trójkątów, nie wykazywały żadnej regularności. Linie wody łamały się, morze wpadało przez nie, ustępowało spiętrzone niewidzialnymi ścianami, które po chwili pękały znowu. Wyglądało, jakby ocean w popłochu pozbywał się "gości", których pobratymcy przynosili zagładę. Jego mieszkańcy jednak nie panowali już nad sytuacją.

I nie zapanowali. Wysłane ponownie automaty bez przeszkód tym razem dotarły do plaży. Widać ci z lądu też byli oszołomieni rozpętanym przez Sena piekłem. Lub doszli do wniosku, że pozostaje im tylko spokojnie patrzeć co się dzieje i czekać.

Tak czy inaczej automaty wróciły z ludźmi. To znaczy, takimi jak Reuss. Zaraz potem błysk w oceanie powtórzył się. Powstała ściana dymu i ruszyła ku brzegowi. Nie było mowy aby polot z Gusem i ze mną zdążył wrócić, zanim dym przesłoni całą nadmorską kotlinę. Sen zdecydował się startować.

Chmura, jaka ogarniała pasma górskie, ta chmura, która omal nie przykuła nas na zawsze do skalnej platformy nad przepaścią, nie była, jak sądziliśmy wtedy, zwiastunem jednej jeszcze, podobnej do poprzednich eksplozji, na zboczach wydm. Nie. Ona obwieszczała ostatni akt rozgrywki między dwiema rasami zamieszkującymi Trzecią planetą Gwiazdy Feriego. Akt nie mający nic wspólnego z naturalnym układem sił. Żadna ze stron nie zwyciężyła dlatego, że była lepsza. Istoty, które rozwinęły się w środowisku oceanicznym, podporządkowały je sobie, i którym to środowisko z biegiem lat przestało wystarczać, musiały zginąć, ponieważ na ich globie stanął człowiek.

To nie było niczyje zwycięstwo. A już na pewno nie nasze. Żeby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć na twarze "uratowanych". Nie mówiąc o Senie i

Guskinie.

Podniosłem się z fotela i podszedłem do pulpitu sterowniczego. Stałem za plecami Sena i odczytałem wskazania czujników.

Temperatura oceanu przekroczyła sto osiemdziesiąt stopni. Całego oceanu. Niektóre jego warstwy, zwłaszcza w części przybrzeżnej, płonęły. Co do lądu...

Był tak samo zasnuty dymem jak morze. Chwilowo nie mieliśmy nad nim sond, które mogły przekazać dokładniejsze dane.

Poza mną coś się poruszyło. Drgnąłem i odwróciłem się gwałtownie, robiąc instynktowny unik. Spokój. Ktoś po prostu poprawił się w fotelu.

Szaleństwo. Jeśli to dłużej potrwa, powystrzelamy się nawzajem.

- Jak będzie z kolacją? - zmartwił się nagle Guskin. Jakby był kucharką w willi pod miastem, do której zjechała chmara niezapowiedzianych gości.

- Wszyscy wiedzą, gdzie jest podajnik... - mruknął Sen.

Na szczęście nie możemy urządzić "wspólnego stołu". Z tej prostej przyczyny, że go nie ma.

W nieustającym grzmocie wybuchów odezwał się przytłumiony głos kobiety.

- Co... co będzie?

Yba. Ta spod ściany.

W kabinie zapanowała raptownie cisza. Sen wyłączył nasłuch. Chwilę sprawdzał jeszcze współrzędne orbity, następnie zablokował automaty, złączył tor pilotażu w kalkulatorze i odwrócił się z fotelem. Omiótł wzrokiemabinę, oświetloną jedynie pastelowymi lampkami czujników i mleczną poświatą padającą z ekranów, po czym utkwiał spojrzenie w moich stopach. Cofnąłem się, odszedłem kilka kroków i usiadłem, sprawdzwszy uprzednio, czy nie mam kogoś za plecami.

Guskin mógł teraz oderwać wzrok od ekranów. Orbita była \wysoka. Nic nam nie grozi. Możemy zdać się śmiało na sygnalizację akustyczną. Dotychczas, w przeraźliwym łoskocie dobiegającym z powierzchni globu nie było to możliwe.

Nic nam nie grozi. To prawda. Nic z zewnątrz w każdym razie. Z wyjątkiem ładunku, jaki niesiemy na pokładzie.

- Już późno - odezwał się ten sam głos. Ale nie z tego miejsca. Wyszedł z takich samych ust. Ale nie z tych samych.

One się nie lubią - pomyślałem. Nie sprawiło mi to przykrości.

- Późno - przytaknął Musparth. - Myślę...

- Rozmawiamy? - przerwał Reuss. "Nasz" Reuss. - Czy idziemy spać?

Jego głos zabrzmiał ostro. No tak. Był szefem na Animie. Mieliśmy na pokładzie trzech szefów. Za dużo szczęścia na raz.

- Jak chcecie - powiedział Guskin. Poczciwy Gus. On zawsze umie się dostosować.

- Co do mnie - odezwałem się dość nieoczekiwanie dla samego siebie - nie sądzę, aby nam to zabrało dużo czasu. Jeśli uważacie, że jest coś do załatwienia, załatwcie to od razu.

- A ty nie uważasz? - zapytał Sennison.

Wzruszyłem ramionami.

- Może - burknąłem. - Ale nie w takim tłoku.

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy was zostawić samych. We trójkę. Tak?

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałem w życiu od Piotra. Piotra Mogue.

- Nie - zareplikował drugi Mogue. - On nie chciał. On to powiedział...

- Chwileczkę - wtrąciła się Nysa. Miała wysoki, matowy głos, przywodzący na myśl dźwięk drewnianego instrumentu. Bardzo miły głos.

- Myślicie o tym, co z nami zrobić, prawda? - spytała. - Wydaje wam się, że nie potrafimy być... obiektywni?

- Ciebie akurat to nie dotyczy - mruknął Sen.

Właśnie. On już wiedział.

- Dlaczego? - spytała natychmiast. - Bo jestem jedna?

Dobrze - pomyślałem - że nie ja musiałem to powiedzieć.

Chwilę panowała cisza. Czujniki pulsowały łagodnie, ich nikłe światło wyluskiwało z mroku zarysy twarzy. Kabina przypominała teraz boczną salkę w klubie, w czasie przyjęcia z okazji zmiany ekipy. Taką, do której chronią się przed zgiełkiem "Techniczni" i im podobni.

Ale to nie było przyjęcie. Pomimo, że zespół miał się zmienić.

- Kto przyleciał z Ziemi? - spytałem.

Kilka głów poruszyło się niespokojnie.

- Nie w ten sposób, Gil - powiedział bez przekonania Sennison. - Tak nie można...

- Nie? - podchwyciłem. - Więc jak u diabła mamy to zrobić? - Dlaczego ty - zwróciłem się do pierwszego Reussa - nie odpowiedziałeś Senowi na jego pytanie? A może już zapomniałeś? Czy ty, na miejscu któregoś z nas zrozumiałbyś, jak człowiek, przez kilkanaście miesięcy więziony przez obcą rasę na dnie oceanu, może się nie

ucieszyć na widok ekipy ratunkowej? Czego od nas oczekujecie? - wyprostowałem się i rozejrzałem po majaczących w ciemności twarzach, po czym znowu wróciłem do Reussa.

- No i co? Byłeś na jego grobie?

- Nie zdążyłem... - mruknął po chwili.

- To wszystko? Przyjąłbyś taką odpowiedź?

Cisza. Z kąta kabiny dobiegło czyjeś ciężkie westchnienie.

- Zgoda - odezwał się po jakimś czasie Mogue, ten siedzący bliżej mnie. -

Reprezentujecie tu bazę. Nawet - rozłożył ręce - Ziemię. Decydujcie. My się po prostu dostosujemy.

- Nie o to chodzi - pospieszył zatrzeć wrażenie Sennison. - Zdecydujemy wszyscy. Mniejsza z tym zresztą - zastrzegł się, jakby w końcu pochwycił fałsz brzmiący w tym co powiedział - Gil ma rację w jednym - ciągnął - musimy wiedzieć. Wiedzieć - powtórzył z naciskiem. - Wszyscy. Obojętnie, co będzie potem. Ten cel możemy osiągnąć tylko wspólnie. Myślę, że nie ma potrzeby wałkować dłużej tej sprawy...

- Jeżeli tak - podchwyciłem - to powtarzam pytanie. Kto przyleciał z Ziemi?

Tym razem nikt nie zaprotestował.

- Na przykład ja - mruknął Musparth. Drugi, czy trzeci, w każdym razie jeden z tych, którzy dotychczas milczeli.

- Ja także - powiedział ktoś z prawej strony.

- I ja.

- Każdy z nas - rozległ się poważny głos Mogue'a. Nie rozumiecie? Naprawdę nie rozumiecie? Czy wygodniej wam nie rozumieć?

Szkoda, że nie spotkałem tego chłopca w innych okolicznościach. Kto wie, może wolałbym rozmawiać z nim, niż z automatami?

- To na nic, Gil - rzekł pojednawczym tonem Reuss. - Sam powiedziałaś, że tkwiliśmy tam kilkanaście miesięcy. Jak myślisz, o czym gawędziliśmy? Zwłaszcza, kiedy każdy z nas miał już po kilka... wydań?

Wstał i podszedł do mnie. Pochylił się, jakby chciał nabrać pewności, że to naprawdę moja twarz, na którą właśnie patrzy, po czym wyprostował się i zrobił kilka kroków, wychodząc na środek kabiny.

- Każdy z nas jest sobą. To jedna jedyna prawda, do jakiej udało nam się dojść. Przeszliśmy w rozmowach naszą przeszłość, od rodziców do zgubionych

scyzoryków. Przepytaliśmy się z najdrobniejszych epizodów całego życia. Ciągłe w nadziei, że złapiemy kogoś na nieściskości, błędzie, który pozwoli temu pierwszemu zachować dumę niepowtarzalności, ludzkiej osobowości. Że zdemaskujemy nasze sobowtóry jako wrogie, sztuczne twory, zewnętrznie tylko podobne do nas samych, osłaniające tym podobieństwem zamiary ich twórców. Kilkanaście miesięcy, mówicie. Zdajecie sobie sprawę ile to jest kilkanaście miesięcy? Tam? Myślicie, że gdyby było coś do wykrycia, w każdym razie coś takiego, co można wykryć rozmawiając, to czekalibyśmy z tym na was?

- On ma racje - powiedział Guskin.

Bywają różne racje. Staliśmy wobec klasycznego rzekłbym, przykładu, potwierdzającego tę prawdę.

- Ma racje - wycodziłem przez zęby. - Pod warunkiem, że mu wierzymy. Nie wiem jak wy, ale mnie uczono szacunku dla faktów. Myślałem nawet, że to nieodzowna cecha, zwłaszcza tych biednych ludzi, którzy latają do gwiazd...

- Dlaczego nam nie wierzysz? - spytała Yba. Licho wie, która.

Żachnąłem się.

- Odwróćmy to - warknąłem. - Dlaczego miałbym wierzyć?

- Tak nie można, Gil... - zaczął swoje Sennison. Przerwał mu odrobinę tylko podniesiony głos Piotra Mogue:

- Skończmy z tą zabawą w chowanego. Co chcesz wiedzieć?

Przyjrzałem mu się. Odpowiadała mi jego szeroka, jasna twarz, jego niemal biała czupryna. Odpowiadał mi jego sposób stawiania sprawy. Pomyślałem, że nie byłoby źle, gdyby okazał się...

Zostawmy to. Ostatecznie, jest ich dwóch. Do wyboru.

- Interesują mnie różnice powiedziałem. Słyszeliśmy już, że jesteście tacy sami. Ci sami - poprawiłem się z naciskiem. - Zgoda. A teraz pomyślcie o różnicach. Wiem, że ich nie ma. Ale pomyślcie...

Dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Pierwszy zdecydował się Reuss.

- Na przykład on - wskazał swojego sobowtóra - wychodził już na ląd. Od niego dowiedzieliśmy się, o co naprawdę chodzi. Ja stanąłem na brzegu dopiero wczoraj. Od pewnego momentu zaczynamy samodzielne życie. Gromadzimy wrażenia każdy na własny rachunek. Ale to nie stanowi o...

- Stop - powiedziałem. - Wystarczy. Od pewnego momentu żyjecie na własny koszt. Ale człowiek nie jest konsumentem wrażeń. Te wrażenia go kształtują.

Pomyślmy teraz o przyszłości. W tej chwili jesteście ci sami. A za rok? Za dziesięć lat? Kto z was może powiedzieć, jakim będzie? A jeśli okoliczności ułożą się tak, że jeden z was, na przykład was trzech Musparthów, popełni przestępstwo? Stchórzy? Zresztą, nie sięgajmy tak daleko. Cokolwiek zrobi jeden z was, będzie to zawsze coś, co zrobił M u s p a r t h, pomimo, że naprawdę staniecie się już różnymi osobowościami. Ale nie różnymi ludźmi. Tymi nie będziecie nigdy. A rodziny? Znajomi? Wasze dotychczasowe prace? Który z was zabierze je drugiemu? Nie odpowiadacie? Oczywiście. Nic prostszego. Zabrać was stąd, wysadzić w bazie i adieu! On - wskazałem głową Sennisona - tylko o tym marzy. Ale to nie was pytają tam w bazie, co dalej, tylko nas właśnie. Przede wszystkim ciebie, Sen. A pytają o coś jeszcze. Komu właściwie wyświadczyliśmy przysługę, przywożąc ich z powrotem. Jemu? - wskazałem pierwszego Muspartha - czy jemu? - przeniosłem wzrok na drugiego. - A jest jeszcze trzeci. Czy też może uszczęśliwił w ten sposób całą ludzkość? Wszystkich możliwych "Technicznych"...? Wypełniając naszą misję, jak przystało ludziom, którzy niosą do gwiazd ideały swojej rasy. No więc jak?

Nikt nie odpowiedział. Odczekałem chwilę, zaczerpnąłem powietrza i dodałem:

- Żałuję, że nie ma czasu aby skonstruować i zaprogramować jakiś uczciwy, pojemny kalkulator. Żeby nas wyręczył w gadaniu. I zdecydował. To jedyny sposób, jaki znam, aby nie palnąć głupstwa. A wydaje mi się, że jesteście na najlepszej drodze.

Guskin poruszył się w fotelu. Uniósł dłoń, wyprostował palce i utkwiał wzrok w ich koniuszkach.

- Coś w tym jest... - mruknął.

Może myślał tylko o tym kalkulatorze. Kto wie?

Milczenie przeciągało się. A nie usłyszeli jeszcze najważniejszego. Nie lubię tego. Może któryś się w końcu zdecyduje?

Cisza.

Pastele czujników jakby przybladły. Na tarczach ekranów trwa bezsensowny taniec linii i plam, które dawno już przestały informować, co dzieje się na powierzchni globu. Łączność równała się zeru. To znaczy taka łączność, z której coś wynika.

Nie ma na co czekać.

- Powiedz resztę, Sen - zaatakowałem. - Ostatecznie ty pierwszy rozmawiałeś

z Reussem. Dogadaliście się wtedy, pomimo że Reuss nie odpowiedział...

- Nie trzeba. Ja... - Reuss zawahał się - my wiemy już wszystko. Nie mów, Sen. To możesz dla nas zrobić...

Na twarzy Sennisona odmalowała się ulga. Nie ulegało wątpliwości, że chętnie to dla nich zrobi. Czyli, że w końcu i tak wszystko spadnie na mnie.

- Nie wiem o czym mówicie? - Nysa uniosła się na łokciach i utkwiała wzrok w twarzy Reussa. Ten powoli odwrócił głowę.

- Wszystko jest jasne... - zaczął Mogue.

- Nie - przerwałem. - Nic nie jest jasne. Dałbym dużo, żeby nie mówić - spojrzałem na Reussa. - Ale muszę. Raz trzeba z tym skończyć.

- Masz rację - odezwał się głos Muspartha - skończmy z tym. Skończmy z tym zaraz. Żebyśmy zdążyli wrócić, zanim...

- Nigdzie nie wrócimy - powiedział Mogue tak cicho, że ledwo usłyszałem. - Nie ma już naszej Ziemi...

Musiałem zaczerpnąć powietrza.

- Nigdzie nie wrócicie - oświadczyłem twardo - bo nie macie dokąd. Mówię do tych - dodałem z naciskiem - dla których nie byłby to powrót. I tylko do tych. Ty rozumiesz już - zwróciłem się do Reussa - ale ich nie było, kiedy rozmawiałeś z Senem.

Wyszedłem na środek i podniosłem głos. Nie bardzo. Nie więcej niż trzeba, aby ludzie wiedzieli, że ten kto mówi, wie co chce powiedzieć. I nie życzy sobie by mu przerywano.

- Możecie nie brać tego do siebie - ciągnąłem. - Nie potrafię przecież wskazać palcem kogo dotyczy, co powiem. Pomińmy wszystko, co mówiłem dotychczas. O odpowiedzialności, jaką każdym waszym postępkim obciążycie innych. O waszych rodzinach, pracy, co tam jeszcze. Załóżmy, że dałoby się to jakoś załatwić. Jednego nie załatwimy na pewno. Braku zaufania. Co zrobicie z ludzką nieufnością, podejrzliwością z jaką spotkacie się na każdym kroku? Nieufnością najstaranniej maskowaną, którą jednak będziecie wyczuwać zanim jeszcze ktoś otworzy usta? A przecież nie ta nieufność jest najważniejsza. Powiedzmy to sobie wreszcie. Nie wiecie, nie możecie wiedzieć, czego oczekiwać od siebie. Kiedy i gdzie przestanie decydować wasza ludzka natura, wiedza, którą zdobyliście na Ziemi i nawyki wykształcone w służbie, a górę weźmie ten obcy instynkt, ten drobiażdżek przydany waszej podświadomości przez obcych. I cóż to jest za drobiażdżek? Żądza mordu.

Wiem, że to brzmi brzydko. Niektóre prawdy mają to do siebie. Agresywność. Wobec istot, które nam, ludziom, nie zrobiły nic złego. Jest bardzo wiele istot w kosmosie, które nie wyrządziły nam nic złego. Biorąc pod uwagę naszą historię, my na Ziemi też staliśmy się anielsko łagodni. I dobrze nam z tym. W każdym razie dość dobrze, aby tego bronić. Aby, gdy zajdzie potrzeba, zapłacić jakąś cenę. Dla pilotów to chleb powszedni. Równie dobrze to my mogliśmy tu przylecieć. Gdyby role się odmiały, co zrobilibyście wtedy? Ja nie zgadzam się na wasz powrót na Ziemię. Reuss zrozumiał już dawno. To znaczy ten Reuss, którego ujrzelśmy wczoraj rano na brzegu oceanu. Który na nasz widok przystanął, po czym od niechcenia skierował w naszą stronę broń. Ci z oceanu dobrze nam się przysłużyli. Nie tylko dlatego, że trzymali ludzi, naukowców przybyłych z innego układu, w podwodnych terrariach. I że ich powielali jak zwykłe sprzęty. Także dlatego, że skierowali was przeciw rasie istot technologicznych, bliższych ludziom niż oni sami. Wszystko wskazuje, że z mieszkańcami ładu doszlibyśmy do porozumienia. Gdyby nie wy. Wyrobiliście tu naszej cywilizacji niezłą opinię. Teraz i tak to nie ma znaczenia. Glob ginie. Jego biosfera. Proces jest nieodwracalny. Szansę kontaktu, bo każdy kontakt jest szansą dla wszystkich ras, niezależnie od stopnia ich rozwoju, diabli wzięli. Mniejsza z tym. Chodzi o was. Chęć, niech będzie: przymus zabijania, był w was silniejszy nad wszystko. Tak silny, że woleliście zabijać, niż przyjść się z nami przywitać. Ja bym nawet zaryzykował. Zaprosiłbym, ilu was tu jest, do własnego domu. Załóżmy, że mam dom. Powiedziałbym sobie: wszystko jedno. Ale wy? Każdego dnia rano będziecie się pocić ze strachu, żeby nie przyszło coś, co wystawi was na próbę. Co wieczór będziecie przechodzić w myślach miniony dzień, minutę po minucie, badając, czy wasze reakcje były naturalne. Ja bym zaryzykował. Gdybym miał dom. Ale nie na waszym miejscu. Zaryzykowałbym jako Gilly, jeden z miliardów ludzi kierujących się umysłem i uczuciem. Nie mogę i nie chcę ryzykować jako pilot, którego przysłano tu z określoną misją. I określoną odpowiedzialnością. Nie mogę zawieść zaufania Ziemi. To nie patos tylko fakty. I - raz jeszcze powtarzam - gdybym był jednym z was, nie zaryzykowałbym nigdy.

Urwałem. Zaświtała mi pewna myśl.

- Poczekajcie powiedziałem. Znalazłem sposób, żeby wam pomóc. Uczciwie mówiąc bardziej sobie, niż wam. Wiem już, jak wyłonić spośród was tych, którzy naprawdę przybyli z Ziemi. Będę tylko - spojrzałem na Sennisona - będę was musiał przeprosić na jakiś czas. Powiedzmy, na cztery godziny. Wezmę raketę zwiadowcza i

komplet sond. I jeszcze coś, ale o tym jak wrócę...

Szedłem już w stronę korytarza. U wyjścia zatrzymał mnie głos Sena.

- Chcesz lecieć na dół? Wiesz czym to pachnie?

- Tak - odparłem. - Ale nie martw się o mnie. Wrócę.

- Naprawdę znasz sposób?

- Naprawdę.

- W takim razie poczekaj. Uważam, że powinniśmy coś postanowić, zanim będziemy wiedzieć. Potem... może być trudniej. Nie chodzi mi tylko o nas - zastrzegł się.

Wróciłem powoli na środek kabiny. Miał rację. Nie pomyślałem o tym.

- No wiec? - spytał. - Szkoda czasu. Ja powiedziałem swoje. Guskin?

Chwilę zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie uniósł się w fotelu, przetarł dłonią czoło i zwiesił głowę.

- Zgadzam się z tobą - powiedział cicho. - Może niektóre przesłanki twojego rozumowania... ale to nieistotne. Tak, zgadzam się. Masz rację. Niech wrócą ci, którzy wrócą naprawdę.

Oczywiście, że miałem rację. Nie sądziłem tylko, że on zechce ją zaakceptować. Nie było mu łatwo. Ale komu tu w końcu łatwo.

- Co proponujecie? - rzucił Sennison. Zabrzmiało to, jakby ulegał woli większości. Nie mogłem się po nim spodziewać czegoś mniej wygodnego. Dla niego.

Guskin spojrzał na mnie. Od dobrej chwili rozmawialiśmy tylko we dwojkę. Tamci milczeli, jakby się zmówili.

- Czwarta planeta układu pozostanie w ekosferze dłużej nawet niż Ziemia. Proponuję założyć tam kolonię. Bez łączności... na razie.

- Nie jest zamieszkała? - spytał Mogue. Jego głos brzmiał chłodno. Takim tonem pyta się w sklepie o świeże bułki.

- Nie - odpowiedział szybko Guskin. - Aby sięgnąć po nowe środowiska, mieszkańcy Trzeciej musieli się najpierw uporać z własnymi. Zintegrować je. Oczywiście, prędzej czy później zasiedliliby cały układ. Czwarta ma doskonałą atmosferę - dodał tonem kupca, zachwalającego towar.

- Co do mnie, zgadzam się - powiedział jeden z Piotrów.

- Tak - rzucił Reuss. Drugi skinął głową.

Nikt nie protestował. Do dziś nie wiem i nie chcę wiedzieć w jakim stopniu podyktowała im tę uległość nadzieja.

W gruncie rzeczy każdy z nich wierzył, że przed nim właśnie otwiera się szansa powrotu. Prawdziwego.

Bez słowa opuściłem kabinę. Jakiś czas zabawiłem w ładowniach. Przygotowałem zestaw sond, potrzebny dla realizacji mojego planu i przeszedłem do służby.

Poszło łatwiej niż mogłem przypuszczać. Tak łatwo, że właściwie nie ma o czym mówić.

Zszedłem na półtora tysiąca metrów nad najwyższymi szczytami. Wysłałem pod chmury sondę. Przeleciałem nie więcej niż dwieście kilometrów, kiedy jej obiektywy przekazały na ekran obraz łądu wolnego od dymu. Wtedy spuściłem ze smyczy wszystkie aparaty zwiadowcze, jakie zabrałem z Idiomu. Było ich dziewięć. Nie miałem czasu na zabawę w podchody.

Ogień idący od oceanu wdzierał się w głąb łądu. Jak okiem sięgnąć góry stały w płomieniach. Gdzieś wypalone już płyty roślinności snuły żółtawe pasemka dymu. Temperatura stale rosła.

Pomyślałem, że mieszkańcy planety, całej planety, mieli zaległości w fizyce atomowej. A raczej chemii. Nie znali energii termojądrowej. W każdym razie nie umieli trzymać jej w ryzach. Niezależnie od tego, albo w samym oceanie, albo też materiale, z jakiego zamieszkujące go istoty budowały swoje liściaste konstrukcje, musiało znajdować się trochę niestabilnych atomów, neutralizowanych tylko strukturą środowiska. Porcyjka antyprotonów, jaką posłał im Sennison, zmieniła tę strukturę. Wtedy diabli wzięli całą równowagę molekularną. Nie sposób wytłumaczyć sobie inaczej rozmiarów kataklizmu.

Minęło zaledwie kilka minut. Sondy leciały nisko, bardzo nisko, prześlizgując się przez przełęcze i nurkując w doliny. Zaraz w pierwszym masywie górskim, za którąś z rzędu granią, dwie z nich wypatrzyły długi szereg kulistych tworów posuwających się korytem parującej rzeki.

Spodziewałem się tego. Nie mieli wyboru. Tylko w głębi łądu mogli szukać ocalenia przed postępującą od morza pożogą. W każdym razie zyskać na czasie.

Wezwałem do tej doliny wszystkie sondy i czekałem aż zrobią swoje. Kule zachowały spokój. Nie przerwały marszu. Jakby nie zauważyły unoszących się nad nimi aparatów.

Zaraz potem opuściłem atmosferę. Poszedłem ostro w górę i w połowie

drugiego okrażenia dobiłem do włazu macierzystego statku.

Po opuszczeniu śluzy udałem się od razu do pomieszczenia hibernatorów i jakiś czas pracowałem przy stojącym tam kalkulatorze. Wpisałem w jego zespoły dane zebrane przez sondy. Z komory ładunkowej przytaskałem projektor holowizyjny i połączyłem jego przystawkę programową z kalkulatorem. Następnie zwołałem Sena i powiedziałem mu o co chodzi. Wysłuchał cierpliwie.

- Co chcesz z nimi zrobić? - spytał tylko.

Pomyślałem chwilę.

- Zostaną tutaj - rozejrzałem się po ścianach niskiego, kiszkowatego pomieszczenia. - Hibernatory nie będą nam na razie potrzebne. - A ludzie nie powinni się już z nimi stykać. Nie wiadomo jak się zachowają...

- Myślisz...? - Sen spojrzał na mnie badawczo.

- Nie myślę - odparłem. - Nie wiem.

Postań chwilę, wreszcie skinął głową, jakby chciał powiedzieć "zgoda" i ruszył w stronę drzwi.

- Powiem Gusowi - mruknął.

- Powiedz. I przyślij mi tu pierwszego. Ale przedtem przełącz diagnostykę na hibernatory. Muszę mieć pewność...

Minęły trzy minuty. W drzwiach ukazał się Reuss.

- Wejdz - powiedziałem.

Uśmiechnął się. Zmierzył mnie spojrzeniem, po czym nie rozglądając się podszedł do mnie i stanął plecami do kalkulatora.

- Siadaj - powiedziałem.

"Zaraz przestaniesz się uśmiechać" - przeszło mi przez myśl.

- Włóż opaskę - wskazałem mu przewieszzone przez poręcz fotela zaciski przekaźników aparatury diagnostycznej.

Posłuchał bez słowa.

Sprawdziłem ustawienie torów w kalkulatorze i podszedłem do projektora. Stałem tak, żeby mieć przed oczami tablicę z ekranem i okienkami wskaźników.

- Patrz przed siebie - rzuciłem. - I nie ruszaj się. Przynajmniej staraj się nie ruszać.

Skinął głową. Ten ruch pociągnął za sobą lekkie zafalowanie danych liniowych na ekranie. Kable, łączące człowieka z aparaturą przesunęły się na oparcie fotela.

Wdusiłem klawisz.

W ułamku sekundy ściany pomieszczenia przestały istnieć. Przed nami otworzyła się górską dolina przecięta rzeką. Wzdłuż brzegu toczyły się białawe, lekko przyplaszczony kule.

Nie spuszczałem wzroku z tablicy. Nic.

Obraz przybliżył się. Wielka, żywa piguła, albo tak jak żywa, urosła, wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę aby dotknąć jej elastycznej powłoki.

Linie zafalowały. Nie. Po prostu poruszył głową. Strzałka w okienku jednego z czujników popęzła kilka milimetrów w górę. Jakby pomyślał, na przykład, o trudnym problemie matematycznym.

Odczekałem chwilę, po czym raz jeszcze sprawdziłem tory w kalkulatorze. Tak, żeby coś robić. Wiedziałem, że aparatura jest w porządku.

Czyżbym się poszkapiał? Mój pomysł, cała ta wyprawa? Wszystko na nic? Może popełniłem jakiś błąd w rozumowaniu?

Nie było błędu.

- To są "ładowcy", prawda? - odezwał się Reuss.

Stawał się rozmowny.

- Nie - warknąłem. - Pigułki nasenne. Dla wrażliwych.

Skwitował to uśmiechem.

Raz jeszcze rzuciłem okiem na aparaturę i wyłączyłem projektor. Znaleźliśmy się ponownie w niskim pomieszczeniu hibernatorów, bezpośrednio za nawigatorką. Odszedłem kilka kroków i przyjrzałem się siedzącemu w fotelu człowiekowi. Coś mnie tknęło.

- Ty jesteś Reuss... który? Wyszedłeś z oceanu wcześniej niż inni, tak?

Potrząsnął głową.

- Nie - powiedział spokojnie. - To nie ze mną rozmawialiście wczoraj. Mnie zabrały automaty, razem z dziewczętami i resztą.

Nie wiem dlaczego wydawało mi się oczywiste, że przyślą najpierw "naszego" Reussa. Widać ten siedział bliżej. Albo Sen pomylił się po prostu.

Tylko, że to niczego jeszcze nie wyjaśniało.

- W każdym razie wychodziłeś już z oceanu - powiedziałem. - Jeden z was był na łodzi, walczył, to znaczy zabijał, po czym wrócił i opowiedział pozostałym po co się ich kopiuje. Jeżeli nie jesteś tym, którego spotkaliśmy przedwczoraj, to tak czy owak przysłużyłeś się już mieszkańcom morza.

Wysłuchał spokojnie, po czym ponownie potrząsnął głową.

- Mylisz się - rzekł. - Ten pierwszy... - zawahał się - Reuss także się myli. To nie ja wróciłem z lądu i opowiedziałem o co tam chodzi. Tego o kim myślicie, nie ma już wśród nas...

Pomyślałem o prostokątnym nasypie w pobliżu miejsca lądowania Idiomu. No cóż, zobaczymy.

- To wszystko - powiedziałem sucho. - Wracaj do Sennisona. Poczekaj - dodałem, kiedy rozłączył już przewody i podniósł się z fotela - weź to.

Wyrwałem z bloczka mały arkusik folii i podpisałem się.

- Schowaj do kieszeni - mruknąłem, wręczając mu kartkę.

Przyglądał się chwilę arkusikowi, po czym wzruszył ramionami i umieścił go w kieszeni na piersi.

Przy drzwiach przystanął i odwrócił się.

- Zdałem? - spytał.

- Nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. Pomyślałem, że egzamin bywa także kwestia szczęścia. Albo sprytu.

Nie można oszukać aparatury. To znaczy, nie może oszukać jej człowiek.

Weszła Nysa.

Uspokoił mnie widok jej twarzy. Jej zgrabnej sylwetki w błękitnym kombinezonie. Umiały to nosić jak kreacje na wiosenne party.

Wskazałem jej fotel i pomogłem podpiąć końcówki kabli. Umocowałem na jej czole opaskę z przekaźnikami. Musiałem odgarnąć kosmyk jej włosów. Były miękkie, odrobinę szorstkie w dotyku, puszyste.

Uruchomiłem projektor.

W kalkulatorze obudziło się cichutkie granie. Strzałki wskaźników skoczyły. Linia przebiegająca przez ekran utworzyła poprzeczne pasy.

Nysa zerwała się z miejsca. Wyszarpnięte przewody zwisły, stukając głucho o oparcie. Ręce dziewczyny wykonywały krótkie, kurczowe ruchy jakby czegoś szukając. Ona sama postąpiła do przodu. Nie pozostało w niej nic ludzkiego. Przypominała skradające się zwierzę.

Czego jeszcze trzeba?

Ogarnął mnie chłód. Zatrzymałem projektor. Nie myślałem o niczym. Chciałem powiedzieć żeby usiadła i uzmysłowiłem sobie, że zaciskam do bólu szczęki.

Spojrzałem na nią. Stała w niezmienionej pozycji, wychylona do przodu. Oddychała ciężko, gwałtownie. Jej ramiona opadły powoli, jak na zwolnionym filmie. Spojrzała na mnie.

Musiałem odwrócić głowę. Uczułem taki wstręt, że jeszcze moment a nie zapanowałbym nad sobą. Nie było w tym nic wyrozumowanego. Czysto fizyczne obrzydzenie, jakby na widok czegoś niewyobrażalnie ohydneho.

Wziąłem się w garść. Odczekałem minutę, może dwie. Doprowadziłem do porządku wyrwane złącza przewodów.

- Idź do ostatniego hibernatora - wskazałem Nysie przeciwległy kąt pomieszczenia - i poczekaj tam. To nie potrwa długo. Pół godziny, może krócej.

Staralem się nie patrzeć na nią. Byłem jej wdzięczny, że nie odezwała się słowem.

W drzwiach ukazał się Reuss. Ten bez skrawka folii w kieszeni kombinezonu.

Usiadł i uśmiechnął się. Tak samo jak pierwszy.

Uśmiech nie zszedł mu z twarzy, kiedy umocowawszy kable odszedłem od fotela i stanąłem za pulpitem aparatury. Przyszło mi na myśl, że nie muszę tego robić. Przecież wiem.

Gdyby nie to, co zyskało mi przydomek "cybernetyczny", posłałbym go od razu w przeciwległy kąt kabiny, do Nysy. Sennison nie wahałby się na moim miejscu. Guskin? Nie wiem. Tak jak ja to widziałem, obydwa tkwili myślami w czasach poprzedzających epokę informatyki. Kiedy grupy uczonych, samotnych ze swoimi problemami, stawiały pierwsze kroki na drodze wiodącej do zapewnienia świadomości człowieka należnej jej rangi. Aby ludzkość przestała tracić czas na głupstwa i zajęła się wreszcie rozsądnym wypełnianiem własnych perspektyw, przez nią samą ukształtowanych. A kiedy wszystko, co nie ważne przy tej drodze można już zwalić na zwykłe narzędzia, na technikę informatyczną, stale znajdują się jacyś Sennisonowie, wątpiący czy w tej sytuacji pozostają dostatecznie ludzcy. To znaczy nie zdecydowani, ulegający wpływom przypadkowych wydarzeń czy słów, błądzący bocznymi ścieżkami.

Co do mnie, każdym nerwem czułem się przypisany współczesności. Potrzebowałem jednego: wiedzieć, czego chcę. Cała reszta, to kwestia wyboru narzędzi. Najskuteczniejszych dostarcza informatyka. Automatów, jeśli idzie o przedmioty. Stymulatorów, gdy w grę wchodzi podmiot. Człowiek. Trudno o coś mniej niejasnego. I jeśli są w moim otoczeniu ludzie, których trzeba przekonywać,

ludzie stale od nowa złąknieni dyskusji i polemik, niech załatwiają to między sobą. Ja w tym czasie będę rozmawiał z aparaturą. Nikt jak ona nie pomoże mi osiągnąć celu. Nikt jak ona, nie wypełni mojej samotności.

Wiem, że siedzący teraz w fotelu Reuss jest kopią. Nie ma dwóch prawdziwych Reussów. Ale to przekonanie jest skutkiem spekulacji. Być może nie przemyślałem czegoś do końca. Pozostawiłem lukę. Dysponuję jednak narzędziem, stworzonym w końcu przez ludzi samych, które da mi pewność. Niezbędną, jak to powiedziałem przed chwilą Gusowi. Da mi coś jedynie ważnego: to, czego chcę. Bez krzyżówek, rozwidleń i serpentyn drogi prowadzącej do celu.

Utkwiłem wzrok w uśmiechniętej twarzy biochemika i zamknąłem obieg prądu. Białe kule oddalały się. Nie cofałem filmu po pierwszych "seansach". A mieszkańcy piramid wyciągali pełną moc z pojazdów, jeśli to były pojazdy, aby w głębi lądu szukać szansy ocalenia.

Uśmiech znikł z twarzy Reussa. Pozostał jego ślad, w wyrazie przymrużonych oczu. W brzdach, wokół zaciśniętych ust.

Światła w pulpicie ożyły. Liczby w okienkach rozmazały się, w nieuchwytnym dla oka biegu cyfr.

Reuss wstał. Powoli. Nienaturalnie powoli. Leniwym ruchem zdjął z czoła opaskę. Nie przeszkadzałem mu. Aparatura powiedziała już wszystko. Nie spuszczać wzroku z toczących się doliną kuł przeszedł za oparcie fotela i zacisnął dłonie na jego krawędzi. Cofnął się pół kroku. Jeszcze. Jego ciało zawisło w powietrzu, między ścianą a fotelem. Palce wpiły się w oparcie tak, że przestałem je widzieć. Nie oddychał. Nie wykonał jednego szybkiego ruchu. Sekunda, dwie, - i skoczy.

Zatrzymałem projektor. Nie patrząc w jego stronę uporządkowałem kable. Skasowałem zapis w kalkulatorze. Nie spieszyłem się.

Wyprostował się. Twarz mu ściemniała. Z oczu pozostały poziome szparki.
- Tak... - wycharczał.

Tylko nie to - przebiegło mi przez myśl. - Niech tylko nic nie mówi. Dość mam kłopotów z własną twarzą. I przełykiem.

Wskazałem mu fotel hibernatora. Z postawionym oparciem. Jeden z tych, jakie dla nich przygotowałem.

Patrzył mi w oczy. Długo. Nieskończenie długo. Przetrzymałem to. Robiłem swoje.

Wreszcie zwiesił głowę. Nie odezwał się już słowem.

W moim rozumowaniu nie było błędu. "Nasz" Reuss przestał być nasz. A tamten, pierwszy, naprawdę zdał egzamin.

Reuss dołączył do Nysy. Za nim poszli inni. Yba i Mogue. Musparth. Jeszcze jeden Musparth. I jeszcze jeden Mogue.

Przy tym ostatnim przeżyłem ciężkie chwile. Z nową falą wstrętu przyszła także nienawiść. Chyba dlatego, że był człowiekiem, z którym mogłem rozmawiać.

Gdyby był człowiekiem, właśnie.

Jest ich teraz siedmioro. Tych, którzy mieli zostać. Na razie w pomieszczeniu hibernatorów. A potem na czwartej planecie Feriego.

Nie mówili nic. Zrozumieli, kiedy przeszło oszołomienie. Nazwijmy to oszołomieniem.

Powiedziałem, że będę nocować tutaj, w hibernatorach. Pomieszczenie jest klimatyzowane. Ma wbudowany podajnik syntetyzatora żywnościowego.

Także i to przyjęli w milczeniu.

Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Zabezpieczyłem je odpowiednio. Postawiłem przy nich automat. Bez miotacza. Ale z zapasem gazu obezwładniającego.

W nawigatori zrobiło się luźno. W moim fotelu siedziała Yba. Obok niej, odwrócony plecami do wejścia stał Musparth. Guskin pokazywał mu coś w rozrządzie łączności. Sen rozmawiał z Reusem. Kiedy wszedłem, umilkli i utkwili wzrok w mojej twarzy.

Troje.

A myśleliśmy, że uratowaliśmy wszystkich.

Fotel, w którym tkwiła Yba, wykonał pół obrotu.

- Gdzie oni są? - spytała.

- Pokażcie kartki z moim podpisem - rzuciłem zamiast odpowiedzi.

- Nie myślisz chyba... - obruszył się Guskin.

- Nie - przerwałem. - Nie myślę. Pokażcie kartki.

Trudno powiedzieć, żeby się spieszyli. Zrobili jednak, co kazałem.

- Żadne z was - powiedziałem stanowczym tonem - nie może odtąd zetknąć się z kimkolwiek z tamtych. Nawet po to, żeby sobie powiedzieć "do widzenia". Inaczej będę musiał zacząć zabawę od nowa. A to nie poszłoby gładko... teraz, kiedy już wiedzą.

- Naprawdę chcecie ich zostawić? - spytała po chwili Yba.

Poszedłem do niszy i przyniosłem sobie fotel. Usiadłem.

- To mamy już za sobą - powiedziałem.

- A Nysa? - Yba nie dała za wygraną. - Przecież ona jest... jedna. Dlaczego nie mielibyśmy jej potraktować jak prawdziwej Nysy?

Coś we mnie drgnęło.

- Nie - burknąłem.

- Nie - powtórzył jak echo Guskin.

Nastąpiła cisza.

Chce wam się spać? - spytał po chwili Sennison.

- Spać? - Reuss spojrział na Sena jakby mu chciał nałożyć kompres.

- Nie jestem śpiący - powiedział szorstko Guskin. Wzruszyłem ramionami.

- Na miejsca - rzucił Sen.

Wreszcie.

- Uwaga - mówił dalej Sen, wymawiając dobitnie każde słowo z osobna. - Za dwie minuty schodzę z orbity. Reuss, sprawdź korytarz. Gil do namiaru.

Ze wzrokiem utkwionym w ekranie czołowym manewrował już przy klawiaturze pulpitu.

- Lecimy na... Czwartą? - spytała Yba.

- Tak - uciął.

Dziewiąta.

Cofnąłem kilka klatek zapisu.

Powoli zmierzam do końca. Wszystko zostało już powiedziane. Poza jednym. To dotyczy już tylko mnie.

Zgasilem ekran i podszedłem do iluminatora. Mijając pulpit kalkulatora musnąłem przelotnym spojrzeniem zieloną lampkę. Depesza z Ziemi. Czeka od rana. Nie szkodzi. Nie mają mi nic do powiedzenia. Ani ja im.

Kiedy skończę pisać, zastanowię się, co z tym zrobić. Mogę przekazać zapis bazy na Proksimie. Od razu albo za sto lat. Wiem nawet, jak zaprogramować automat łączności. Wprowadzić bezpośrednią stymulację z pól mózgowych.

Kiedy umrze ten mózg...

No dobrze. Mogę jeszcze ofiarować taśmy tym z farmy i polecić, żeby przepisali całość na folii. Dla potomności. Księga Genesis zesłana z nieba.

Dosłownie. I jak dosłownie.

Czwarta świeci jak Ziemia. Taką ją pamiętani, tak wyglądała z iluminatorów stacji orbitalnej, kiedy odlatywałem na Proksimę. Kiedy to było?

Pamiętam? Ja?

Przeszedłem na drugą stronę kabiny i rozjaśniłem ekran.

Na farmie panował ruch. Widać pracowali dziś dłużej niż zwykle. Nic dziwnego. Wiosna. Pracowita pora dla... rolników.

Uwagę moją zwróciła wieża wieńcząca budynek laboratorium chemicznego. Wydała mi się jakby wyższa.

Wyteżyłem wzrok. Nie. W ten sposób do niczego nie dojdę.

Nonsens. Nawet jeśli podnieśli wieżę, co mnie to może obchodzić.

Rozbudowali widać któreś z urządzeń i zrobiło się ciasno.

Na wszelki wypadek zapisałem kształt wieży w przystawce kalkulatora. Skoro tu już jestem...

Jutro obejrzę wszystko na miejscu. Dałbym dużo, żeby to jutro było już poza mną.

Wrócę przed wieczorem. Pewnie nie siądę przed pulpitem pióra świetlnego. Nie umiałem się zabrać do niczego po powrocie stamtąd.

Mniejsza z tym. W gruncie rzeczy zyskam jeden dzień. Bo co będę robił, kiedy skończę pisać?

Teraz pójdę obejrzeć automaty rejestrujące. Wrócę i zapiszę jeszcze kilka zwojów taśmy. Nie skończę dzisiaj. To dobrze.

Odwrociłem się i bez pośpiechu poszedłem w kierunku służy.

- Więcej tlenu! - rzucił Reuss. Wskaźnik przeciążenia cofał się nieznacznie powoli. Jego strzałka drgała nieznacznie.

Rakieta stała pionowo. Wyrzucona z łożyska rzeka runęła na równinę, ale woda parowała szybciej, niż postępował jej przybór. Pod nami wysokie drzewa kładły się pokotem, gwiazdźście, jakby robiąc miejsce. Zryta ogniem odrzutu polana zbliżała się. Usłyszałem zgrzyt kratownic. Wstrząs.

Tam, w skałach, na sąsiedniej planecie, Sennison siadł bez porównania czyściej. Ale tam było trudniej. Tu wylądowałoby dziecko.

Tak to już jest z nami.

Czwarta miała morza. I oceany. Góry, nie mniejsze niż na sąsiednim globie. Piękne, nadmorskie równiny, porośłe bujną zielenią.

Sennison siadł w głębi łądu. Od najbliższego jeziora dzieliły to miejsce dziesiątki kilometrów. Skapitulował wreszcie przed rzeką.

Dobre i to.

Odczekaliśmy dwadzieścia minut, po czym ponownie odezwały się dysze startowe. Ciężko, niezdarnie, kreśląc dziobem krzywe kółeczka, Idiom przewędrował w pionie na drugą stronę rzeki, gdzie usiadł ponownie, równie brzydko jak za pierwszym razem.

Sen wyrzucił prowadnice windy i wezwał automaty. Wydał im polecenia, po czym zwrócił się do Reussa:

- Zostaniemy tutaj najwyżej kilka dni. Przez ten czas nie możecie opuszczać statku. Nawet na chwilę. Gil ma rację twierdząc, że trudno byłoby zaczynać od początku...

- Dobrze - powiedział Reuss.

- Zostawcie im tylko... zostawcie im... - wykrztusiła Yba.

- Nie bój się - rzucił szorstko Guskin. - Dostaną wszystko, czego im trzeba.

- Mogli trafić gorzej - mruknąłem, wyglądając przez iluminator.

Po przeciwnej stronie rzeki, w miejscu naszego pierwszego lądowania, automaty zabierały się już do roboty. Odciągały dnie drzew, zwalone odrzutem, niwelowały teren. Polana rosła w oczach. Za tydzień, dwa, wypalona trawa odrośnie i będzie to naprawdę piękne miejsce.

Płytkie ale szerokie koryto, woda pobłyskująca w słońcu srebrnymi blaszkami, krótki trawiasty stok i otwarta ku rzece podkowa, okolona wysokim lasem. Ni to

szpilkowce, ni liściaste, rosły te drzewa ciasno jedno przy drugim, splatając się w górze konarami, przypominającymi zastygłe w wyrzucie węże. Na niskie, suche poszycie z rzadka padały promienie stojącego jeszcze nisko nad horyzontem słońca.

Las sięgał do granic widnokregu. A raczej do miejsca, gdzie cieniutka warstwa fioletu pozwalała się domyślać gór.

Po naszej stronie rzeki drzewa rosły rzadziej, kępami i przypominały raczej krzewy. Za to trawa była tu bujniejsza. Gdzieś tam widniały skupiska ciemnoczerwonych kwiatów. Ich kielichy wznosiły się wysoko, tworząc zamknięte, wydłużone kule. Przywodziły na myśl nie rozwinięte tulipany.

Sam bym tu chętnie został.

Tak wtedy pomyślałem.

Dalej drzewa zniknęły zupełnie. Teren zaczynał się wznosić, przechodząc w pofalowaną wyżynę. Jak okiem sięgnąć, niskie, płaskie wzniesienia, porośnięte trawą. Widnokregu nie zamykały z tej strony żadne góry. Prawdziwy raj dla kogoś, kto lubi otwartą przestrzeń. I jazdę konno. Nie miałem nic przeciw takiemu krajobrazowi. Wszystkie niemal globy, jakie patrolowaliśmy do tej pory, były nieznośnie skaliste.

- Posiedźcie tu chwilę - mruknął Sennison, podnosząc się z fotela. - Pójdę wybrać miejsce pod składowisko.

Automaty podzieliły się na dwie grupy. Jedna w dalszym ciągu równała teren, przystępując do budowy umocnień pod ogrodzenie. Druga utworzyła coś w rodzaju węża, którym popłynęły materiały i zapasy, pobierane z ładowni Idiomu.

- Gus zostanie - powiedziałem, wstając. - Myślę, że czas wyprowadzić tamtych... Niech też pogadają z automatami. Ostatecznie, to będzie przecież ich ziemia...

Nie miałem najmniejszej ochoty otwierać drzwi do pomieszczenia hibernatorów. Ale prędzej czy później i tak tego nie uniknę. Gus i Sen przypomną sobie w porę, że to ja umieściłem tam kopie. Lepiej załatwić się z tym od razu.

Zaprowadzę ich na polanę i pochodzę chwilę. Sam. Bez tego, żeby mi w każdej chwili ziemia mogła uciec spod nóg, albo żeby za mną coś eksplodowało. Bez ludzi, prawdziwych i powielonych. Bez pośpiechu.

Włożyłem skafander. Po krótkim namyśle zostawiłem kask, gdzie leżał, za fotelem. Nie będzie potrzebny.

Przeszedłem przez otwarte na oścież obie klapy śluzy i rozejrzałem się. Postąłem chwilę nie robiąc nic, następnie wróciłem, otworzyłem drzwi i nie wchodząc

do środka powiedziałem, żeby wychodzili.

Cofnąłem się i stanąłem twarzą w stronę służby, zagrządzając sobą dostęp do nawigatorni. Na wypadek, gdyby komuś przyszło na myśl zabłądzić.

Pierwszy ukazał się Musparth. Mniejsza, który. Milcząc, wskazałem mu kierunek. Zmierzył mnie spojrzeniem, po czym odwrócił się, czekając na pozostałych. Przepuścił Nysę i Ybę, mruknął coś do Reussa, który skinął w odpowiedzi głową i ruszył do służby. Mogue i drugi Musparth minęli mnie, jakbym był powietrzem. Ostatni był znowu Mogue.

Zamknąłem drzwi i trzymając się kilka kroków z tyłu, poszedłem za nimi. Zatrzymałem się w wejściu do komory służby. Oparłem się ramieniem o krawędź plastikowej klapy i czekałem.

Platforma windy jest przeznaczona dla trzech osób. Nie mieli powodów do pośpiechu. Ani ja.

Jako pierwsze przekroczyły wąż kobiety i Reuss. Trwało kilka minut, zanim platforma wróciła. Weszli na nią Musparth, Mogue i Musparth. W progu otwartego na oścież wjazdu została jedna sylwetka. Mogue.

Czekałem. W służbie panował półmrok. Na tle owalnego wycinka słonecznego błękitu jego plecy przypominały muzealną tarczę strzelecką. Próbowałem patrzeć w prześwit między tą tarczą a wycięciem wjazdu, ale wzrok uparcie wracał do nieruchomej sylwetki, lekko pochylonej, tak aby nic nie przeszkadzało mu chłonąć rozpościerającego się pod statkiem krajobrazu. Platforma od dobrej chwili tkwiła już pod zewnętrzną klapą. Nie zauważył tego. Z dołu dobiegły przytłumione głosy. Nie drgnął nawet, kiedy oderwałem się wreszcie od drzwi, przeszedłem komorę służby i stanąłem tuż za nim.

Czekałbym kilka godzin, byle nie mówić.

Nagle wyprostował się. Jego głowa pograżyła się w mroku, na tle ściany. Odwrócił się i zrobił ruch w moją stronę, jakby chciał podejść bliżej. To było niemożliwe. Nasze twarze znalazły się na wprost siebie. Nie dalej niż o szerokość dłoni. Jego oczy pozostały niewidoczne. Przynajmniej tyle.

- Szczerze, Gil. Dobrze? - poczułem na wargach jego oddech. Odruchowo uciekłem z głową.

- O co chodzi?

Starąłem się panować nad głosem. Starąłem się, żeby brzmiał jak zawsze.

- Wróćcie kiedyś? Wy albo inna załoga?

- Nie.

Miało być szczerze. Nie widziałem przyczyn, dla których powinienem mu tego odmówić. Przeciwnie.

Odczekał chwilę, jakby chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał. Po tym "nie" każde następne słowo byłoby uderzeniem w twarz. Co najmniej dla jednego z nas. Ale najpewniej dla obu.

Nie czułem już jego oddechu. Nie usłyszałem jednego westchnienia, mruknięcia, nic. Jakby przestał żyć.

W końcu odwrócił głowę. Jego wzrok padł na platformę windy. Przeniósł ciężar ciała do przodu i przekroczył wąż.

Stanąłem bokiem do niego. Tak było wygodniej.

Nie czekali na nas. Rozeszli się. Reuss poszedł w stronę rzeki i zatrzymał się. Nisko pochylony patrzył w wodę jak chłopiec wypatrujący kolorowych kamyczków. Musparth towarzyszył drugiemu Piotrowi. Stali sto metrów dalej i rozmawiali wskazując sobie kolejne punkty w rejonie przyszłych zabudowań.

W pierwszej chwili nie zauważyłem Nysy. Dopiero kiedy platforma zsunęła się całkiem nisko ujrzałem jej przykucniętą sylwetkę, do połowy ukrytą w trawie. Podpierając się lewą ręką, prawą usiłowała zerwać garść roślin, szarpiąc ich sztywne, proste łodyżki.

Każde na swój sposób zawierało znajomość z nową Ziemią.

Mogue, ten, z którym czekałem w służbie, nie odezwał się już słowem. Zanim jeszcze platforma dotknęła gruntu, zeskoczył i ruszył prosto przed siebie, kierując się w stronę rzeki. Poszedłem za nim. Przebywszy kilkadziesiąt metrów stanąłem i odprowadziłem go wzrokiem. Dotarł do rzeki i zatrzymał się. Nie zwracając uwagi na wpatzonego w wodę Reussa uniósł głowę i przyjrzał się polance. Jakby chciał dociec, co nasze automaty robią tam naprawdę.

Odwrociłem się plecami do rzeki. Chwilę stałem, wodząc wzrokiem od jednej znajomej twarzy do drugiej. Żadne z nich nie patrzyło w moją stronę. Sprawiali wrażenie pochłoniętych bez reszty własnymi sprawami. Było lepiej, niż przypuszczałem.

- Tu będzie wasza baza - rzuciłem w przestrzeń, wskazując ręką za siebie. - Możecie przejść przez rzekę. Jest płytka. Potem, jeśli zechcecie, automaty zbudują most.

- Mniejsza, co zechcemy - mruknął jeden z Musparthów. - Chodźcie, idziemy.

- Sen! - zawołałem, przykładając do ust zwinięte w trąbkę dłonie - masz gości!

Stał na środku polany i wykladał coś automatom. Usłyszał mój głos i spojrzął w stronę, z której dochodził. Na widok kopii zrobił minę jakby w połowie najciekawszego filmu zepsuło się nagle światło. Nie mogłem stąd zobaczyć jego twarzy, ale nie potrzebowałem tego, by wiedzieć jak wygląda.

Stojąc bez ruchu przyglądał się, jak przekraczali rzekę. Żaden z nich nie odwrócił się nawet, by pożegnać spojrzeniem statek. Kiedy byli już blisko, odwrócił się i ruszył w najbardziej oddaloną część polany. Szli posłusznie za nim. Sen dotarł do lasu i zatrzymał się. Skinął ręką na znak, że mają podejść bliżej i zaczął im coś tłumaczyć. Z jego ruchów wywnioskowałem, że kreśli w powietrzu mapę przyszłych zabudowań.

Z historycznego punktu widzenia moment był interesujący. Na powierzchni planety stanęły istoty, które dadzą początek nowej kosmicznej rasie. Sztuczne. Może nie w takim znaczeniu tego słowa, jakie zwykło mu się przypisywać. Ale nie o słowa chodzi.

Nie chodzi też o historię. To nie moja sprawa. Po naszym powrocie nikt nie zająknie się, rzecz prosta, o kopiach, o tym jaką rolę odegrały w zagładzie jednej z planet Feriego i że pozostały w tym układzie. Szefostwo wyda cichy komunikat zakazujący lotów w ten rejon. Reszta pójdzie do archiwów. Czy na tym wszystko się skończy? Nie byłbym człowiekiem, gdybym w to wierzył. Prędzej czy później, raczej później, niechby nawet bardzo późno, licząc kategoriami pokoleń, człowiek stanie na tym globie. Jeśli nie znajdzie nic innego, przywabią go tutaj fale, emitowane przez środki łączności. Bo przecież kopie stworzą normalną cywilizację. Choćby nie chciały. Na to są w dostatecznym stopniu ludzkie.

Jak przywitają człowieka potomkowie Reussa i innych? Nysy?

Myśl o Nysie przerwała tok moich myśli. Jeśli takie bajdurzenie, kiedy stoi się po kolana w mokrej trawie i patrzy na cichą, zieloną przestrzeń, oświetloną słońcem, można nazwać myśleniem.

Odwróciłem się ponownie do rzeki i ruszyłem przed siebie.

Kwiaty, podobne z wysokości wjazdu do tulipanów, z bliska musiały się mniej podobać. W każdym razie ludziom. Ich kielichy były zdrewniałe, twarde, jakby wykute z kamienia. Łodyżki, nie mniej sztywne, pokrywała jakaś bezwonna, oleista miazga.

Tylko drzewa były prawdziwe. Podobnie jak u tych krzewów, na Trzeciej, nie miały liści, tylko delikatne, zamknięte pędy, tworzące nierzadko regularne kuleczki. Wydawały nikły, cikliwy zapach, do którego można by się przyzwyczaić.

Na upartego człowiek przyzwyczai się do wszystkiego. Któż ma na ten temat więcej do powiedzenia, niż piloci. Tylko że piloci nie mówią.

Dochodziłem do pierwszych wzniesień. Nie zmniejszając tempa pokonałem łagodne zbocze i zatrzymałem się.

Krajobraz wyglądał kubek w kubek tak samo, jak z kabiny Idiomu. Ciągące się w nieskończoność niskie wzgórza porosłe trawą. W dali widnieją mikroskopijne z tej odległości kępy drzew. Wyglądało, że las, a raczej puszcza, wytyczyła sobie granicę wzdłuż brzegu rzeki.

Odwrociłem się. Ogołocona odrzutem statku i wyrównana przez automaty polana jaśniała jak wąska szczerba w zielonej ścianie. Na jej tle Idiom. Opasłe cygaro, które powoli traciło swą białą niegdyś barwę. Po powrocie powędruje do stoczni.

Nie będzie to tryumfalny powrót. Zadanie wykonaliśmy. Ale to ostatecznie normalna sprawa. Przywieziemy trójkę ocalonych. Jednak dwoje ludzi zginęło. Przepadł statek, klasy Idiomu. Anima.

"Dość" - powiedziałem na głos. "Dość, bo się popłaczesz".

Nie rozplakałem się. Ale przeszła mi ochota na spacer.

Wracałem inną drogą. Przeciąłem skosem równinę, 'docierając do rzeki jakieś półtora kilometra powyżej miejsca postoju statku.

Przeszedłem przez wodę, skacząc i balansując na śliskich kamieniach i zagłębiłem się w las. Prędko pożałowałem wyboru. Poszycie było niskie ale szczelne. Gałązki, twarde i sprężyste jak druty, oplatały mi stopy, zaczepiały o zamki skafandra, wszystko bez najmniejszego szelestu czy szmeru. Mogłem posuwać się naprzód tylko kosztem znacznego wysiłku. Po kilku metrach zawróciłem i zacząłem iść najkrótszą drogą w stronę polany. Pokonanie tych kilkuset metrów zajęło mi pół godziny.

Wreszcie poprzez konary i pnie drzew zaczęła prześwitywać rzeka. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i stanąłem na skraju ogołoconej podkowy.

Uderzyły mnie panujące na niej cisza i bezruch. Polana była jak wymieciona. Po ludziach, to znaczy po Senie i kopiach, oraz po automatach nie pozostało śladu.

Zrobiłem pół kroku do przodu i spojrzałem w prawo, tam gdzie powinien stać statek. Tkwił na swoim miejscu. Co mnie zastanowiło, to grupka ludzi, skupiona dobre pięćset metrów za jego kratownicami. Stali nieruchomo. Twarze wszystkich

były zwrócone w moją stronę.

Pochwyciłem jakiś ruch na panczeru rakiety, tuż pod jej dziobem. Powoli, jakby umyślnie zwlekając, odmykały się kłapy miotaczy.

Przez myśl przebiegło mi dużo rzeczy naraz. Uświadomiłem sobie, że chcę poszerzyć teren pod zabudowę. Doszli widać do wniosku, że polana w jej obecnych granicach jest za ciasna. Ale Sen nie będzie już ruszać Idiomu. Postanowił załatwić się z tym inaczej.

Pomyślałem, że to mój błąd. Nie wolno podchodzić do statku, stojącego w pozycji pogotowia na obcym globie tak, jak ja to zrobiłem. Bez opowiedzenia się. Widzieli, że odchodziłem w przeciwną stronę.

Pomyślałem wreszcie, że w żadnym wypadku nie mogę pozostać tu, gdzie stoję. To znaczy - pozostać żywy.

O niczym więcej nie zdążyłem pomyśleć. Uniosłem stopę, żeby wykonać zwrot i w tym momencie oślepiło mnie słońce. Słońce, które znalazło się pod moimi powiekami i wewnątrz mojej czaszki.

Druga. Dostyc.

Za sześć godzin przejdę do służby. Włożę skafander i sprawdzę napęd rakiety. Jednego z tych zwiadowczych stateczków, w których człowiek ma akurat tyle miejsca, żeby oddychać.

Zmierzam do końca.

Co będę robił potem?

Mogę zacząć eksperymentować. Szukać nowych kombinacji układów automatycznej łączności. Albo sterowania. Na przykład, w organizmach żywych.

Nie. Mniejsza, co będę robił. Czymkolwiek się zajmę, niczego to nie zmieni. Kwestia przydatności. I potrzeb. Procesów przystosowawczych.

O jakich procesach tego typu mogę myśleć ja, samotny mieszkaniec jałowego globu, pozostawiony tu na czas jednego jedyne go życia?

Nawet nie "pozostawiony". Sam tego chciałem.

Cisza.

W ciszy, samotność to tylko sprawa czasu.

Za sześć godzin znajdę się w towarzystwie podobnych sobie istot. Spędzę tam pół dnia. Zrzucę kask, skafander, przejdę się po trawie. Wystawię twarz do słońca.

Samotność to także wszystko, czego nie da się powiedzieć. Nie tylko kopiom.

Czy coś w ogóle mam im do powiedzenia?

No dobrze. Zajmijmy się tym co do nas należy.

Wstałem i podszedłem do ekranu. Wcisnąłem kontakt. Omiotłem spojrzeniem zabudowania. Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście tych punktów świetlnych jest dzisiaj mniej niż zwykle? Raz, dwa... pięć. Mało. Ale nie pamiętam, ile ich było.

Wieża laboratorium tonie w mroku.

Odszedłem od ekranu i rozjaśniłem okienka na tablicy kalkulatora. Nie zdawało mi się. Wieża podniosła się o pół metra.

Ich sprawa. Są u siebie. Mogą robić co chcą. Poza tym, co usiłują zrobić tak, żebym ja o tym nie wiedział. Poza wygaszaniem świateł.

Jeśli tak dalej pójdzie, okaże się prawdą wszystko co wmawiałem sobie i innym, postanawiając pozostać tutaj.

Znowu wezbrała we mnie wrogość. I wstręt.

Co takiego powiedział Guskin, wtedy, w kabinie Idiomu? Pamiętam, stał przy iluminatorze i obserwował kopie, zajęte wykańczaniem ogrodzenia. Napomknąłem zdaje się coś o uczuciach jakie we mnie budzą.

Już wiem.

"Ciekawe byłoby dojść, czy ci z oceanu wszczepili im jakiś wysublimowany instynkt agresywności, czy tylko drogą stymulacji rozwinęli coś, co i tak w każdym z nas siedzi..."

Powiedział to półgłosem, nie patrząc w moją stronę. Myślał o kopiach... czy o mnie?

O mnie? To znaczy o kim?

Nonsens. Błędne koło.

Trzeba przespać te sześć godzin. Rano przekonam się o wszystkim na własne oczy.

Wyłączyłem aparaturę i ruszyłem w stronę łazienki.

Koła. Nieskończona ilość barwnych, wirujących kół. Maleją z odległością, tworzą jakby stożek, którego szczyt niknie w perspektywie.

W połowie tej drogi linie kół łamią się, mieszają, tworzą zarysy twarzy. To jest twarz kobiety. Niemłodej. Powinienem ją znać. Z pewnością nieraz ją widziałem.

Ogarnia mnie spokój. Twarz jest coraz bliżej.

- Gil - czyjś szept dociera z perspektywy dalszej jeszcze, niż głębia wirującego

stożka.

- Gil...

Ale to nie jest głos kobiety.

Otwieram oczy.

Miałem już do czynienia z takim dymem. Ze ścianą dymu. Chodziło wtedy...
mniejsza z tym. O coś w każdym razie chodziło.

Tylko że tamten dym był czarny. Teraz wiem na pewno. Ten przypomina
raczej mgłę. Taką białą tafłę, leżącą rankiem na rzece.

Rzeka?

Wyteżyłem wzrok. We mgle coś zamajaczyło. Twarz Reussa.

Na moment przymknąłem powieki. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że
moją głowę oblewa nieznośny żar. Jakby skóra pozostała chłodna, tylko kości czaszki
rozpaliły się do czerwoności.

Chciałem dotknąć głowy, przekonać się jak to jest naprawdę, ale ramię mi
opadło.

- Leż spokojnie, Gil... - powiedział Reuss.

"Leż spokojnie..." Gdzie ja to słyszałem? Zaraz. Głos Guskina. Tak, Gus.
Kiedy mu zależało, żeby ten do kogo mówił, naprawdę leżał spokojnie. To nie było w
bazie. Nie w czasie lotu.

Wiem.

Chociaż wolałbym nie wiedzieć. Mówił właśnie do niego. Do Reussa.
Pamiętam nawet w jakich okolicznościach.

Zdobyłem się na wysiłek. Podniosłem rękę i powędrowałem palcami do
głowy. Była szorstka. I chłodna.

Ale nie skóra. Bandaże.

Wiem już także, że nie potrafię zidentyfikować tej twarzy, której zarysy ciągle
jeszcze widnieją w obramowaniu blednących szybko kół. I że to nie jest w porządku.
Czułem, że powinienem wiedzieć, o kogo chodzi.

Usłyszałem ciche buczenie. Tak szumią lampy pod prądem. Skąd tu takie
lampy?

Ucichło. Wtedy przypomniałem sobie wszystko.

- Tak, to bandaże - powiedział głos Reussa. - Miałeś wypadek. Musiałem
operować.

Jedno, co mnie teraz naprawdę interesowało, to ten głos. Kto do mnie mówi.

Operował. Jasne, Reuss jest biochemikiem. Jego kopia także.

Otworzyłem usta, ale nie mogłem wydobyć głosu. Odchrząknąłem z trudem.

- Lecimy już? - zadałem pytanie, jak sądziłem szatańsko sprytne.

- Nie - powiedział szybko. - Czekaliśmy, aż przyjdiesz do siebie.

Podkurczyłem kolana i odepchnąłem się stopami. Moje plecy powędrowały odrobinę wyżej.

- Poczekaj - powiedział Reuss - pomogę ci.

Usiadłem. Mgła pierzchła. Z całą ostrością zarysowało się przed moimi oczami wnętrze kabiny Idiomu. Reuss, siedzący na podłodze, obok rozłożonego podnóżka. I jeszcze coś.

Moje ciało oplatały wiązki przewodów. Wypływały spod karku. Czuję je na ramionach, klatce piersiowej, na żołądku. Musiałem zobaczyć, żeby je poczuć.

Spływały z fotela i rozchodziły się. Część znikła w niszy mieszczącej aparaturę diagnostyczną, część natomiast...

- Nie przejmuj się - powiedział szybko Reuss. - Wszystko ci wytłumaczę.

Tylko nie od razu.

- A kiedy? - spytałem. Byłem już przytomny. Jak rzadko kiedy. Opanowało mnie jakieś dziwne podniecenie. Jakbym nie mógł dojść, o czym powinienem myśleć. To znaczy dokonać wyboru z niezliczonej ilości wątków, jakie zakiełkowały w mojej podświadomości.

Chwilę nie odpowiadał. Namyslał się. Wreszcie skinął głową.

- Dobrze - mruknął.

Chciałem mu pogratulować, że znalazł powód do zadowolenia, ale coś mnie powstrzymało. Pomyślałem, że musi mieć swoje racje. Dziwne. Niczyje racje nie przeszkadzały mi jak dotychczas. Kwestia stylu. Jeśli komuś brak poczucia humoru, to już wyłącznie jego sprawa. Coś w tym widać jest, że choroba zmienia człowieka.

Mam gorączkę. Kiedy jako chłopiec, rozbiłem się razem z porwanym ukradkiem żyrochodem, przez kilka dni po operacji nachodziło mnie w półśnie takie właśnie poczucie zagubienia, w bezwymiarowej przestrzeni, w głębi której narastało coś niewymownie groźnego, czego żadną miarą nie umiałbym określić ani opisać. Jeżeli teraz, po latach, spotyka mnie to samo, to znaczy, że dogodziłem sobie jeszcze lepiej niż wtedy. A pamiętam, że lekarze nie byli tak bardzo pewni swego.

Rozbiłem się? Ja się rozbiłem?

Jak żyję nie przyszło mi na myśl, żeby zakradać się do żyrochodu. Nigdy nie

byłem operowany. Przynajmniej do chwili, kiedy zajął się mną ten tutaj.

A co najważniejsze, jestem przytomny. Nie ma mowy o żadnym półśnie czy innych przywidzeniach.

Uciekające raptownie pobocze. Drzewo. Przeskakuje nad jakimś krzakiem, ogrodzenie, szarpnięcie stery... uderzenie. Czuję je jeszcze w tej chwili. Ból, przenikający kręgosłup, zebra, ból, zmuszający do ruchu, którego nie można wykonać. I cisza, z której wyłaniają się twarze... ile ich jest?

Co oni ze mną zrobili?

Mam gorączkę. Nie oszalałem. Istnieje logiczne wytłumaczenie. Mam gorączkę.

Uchodzę za szczęśliwca. Przeszedłem kurs pilotaku, a nawet pierwszy staż w bazie bez najmniejszego wypadku. Nigdy nie byłem drażnięty. Uchodzę za szczęśliwca, tak. Nazywają mnie "Cybernetyczny Gil..."

Mówią także inaczej. Muszę się zdobyć na wysiłek. Trudno mi to przychodzi. Prawda, mam gorączkę.

Nie pamiętam. Czy nie ma jakiegoś związku między tym a tamtą twarzą, ujrzaną po raz pierwszy w perspektywie wirującego stożka?

Cybernetyczny Gil. Tak, teraz przypominam sobie. Nie mogę pojąć, czego jeszcze szukam. Co pragnę pochwycić. Nic innego nie ma. Żadnych zapomnianych słów. Żadnych twarzy.

- Wyszedłeś ze statku i udałeś się w stronę wzgórz - słyszę głos Reussa. Zamknąłem oczy. Zacisnąłem mocno powieki.

- Kiedy to było? - wykrztusiłem.

Zmarszczył czoło. Chwilę przyglądał mi się bacznie, nagle zasepiony.

- Nie przerywaj poprosił wreszcie. - Opowiem po kolei...

Chciałem wzruszyć ramionami ale nie pozwoliły na to oplatające mnie kable.

- Kiedy? - rzuciłem. - Mój głos brzmiał już lepiej.

- Dwa tygodnie temu. Dokładnie szesnaście dni...

Wstrzymałem oddech.

- Nie denerwuj się. Potrzebny ci spokój...

Znowu. Słowo daję, dość tego.

- Pamiętam jak było, kiedy poszedłem na wzgórze - powiedziałem. -

Pamiętam, którędy wracałem. I kiedy. Pamiętam, że Sen posłał mi na powitanie bukietek fiołków. Interesuje mnie, co dalej. A przede wszystkim, co robiliście z tym?

- wskazałem drugą wiązkę przewodów a raczej miejsce, w którym znikają z pola widzenia. Tym miejscem była przystawka stymulatora. Uruchomili aparaturę. Wpływali na natężenie pól wokół mojego systemu nerwowego. Nie tylko. Także na funkcjonowanie centrów mózgowych. o stymulacji wiedziałem więcej, niż ktokolwiek tutaj. Byłem cybernetykiem. Uznającym automatyczną korekturę. Więcej niż uznającym.

W tej chwili nie potrafiłem jednak odszukać w sobie dawnego szacunku dla możliwości aparatury. I to nie dlatego, że byłem z nią połączony. Czułem, że znalazłbym niemało argumentów, przemawiających przeciw stanowisku, jakie dotąd zajmowałem w tej sprawie. Dziwne.

Może wreszcie przestanę się dziwić.

- Pamiętasz więcej niż ci się zdaje - mruknął Reuss. - Nigdy tyle nie pamiętałeś. Niemniej, pozwól, że powiem swoje. I nie przerywaj.

Wyprostował się, odetchnął głęboko i rozpiął bluzę na piersi. Był w lekkim, przewiewnym kombinezonie, jakich używaliśmy w bazie w czasie wolnym od zajęć.

- Automaty celownicze mają, jak wiesz, wbudowaną blokadę bezpieczeństwa. Na wypadek, kiedy na linii ognia znajdzie się człowiek. Twoim nieszczęściem było, że stałeś za drzewami. W pewnej chwili musiałeś się jednak wychylić. Minimalnie ale automat coś zauważył. Gdyby nie to... - urwał.

Słuchałem spokojnie.

- Sygnału przesłanego miotaczem nie dało się już cofnąć. To są tysięczne części sekundy. Niemniej automat zdążył zmienić kąt wyrzutni. Wiązka poszła górą. Widzieliśmy to. Myśleliśmy nawet w pierwszej chwili, że nic ci się nie stało. Upadłeś, ale mogłeś to zrobić umyślnie. Albo od podmuchu. Zaraz potem przygniotło cię wyrwane z korzeniami drzewo...

Drzewo. Przylecieć do obcego układu, wylądować na cichej, zielonej planecie i pozwolić się przywalić przez padające drzewo. Nie mogłem liczyć na nic mniej pociesznego.

- Kombinezon ocalił cię przed zmiżdżeniem. Tylko... - zająknął się. Czekałem.

- Byłeś bez hełmu... - wykrztusił. Twoja głowa...

Aha. Dostałem w głowę. To dużo tłumaczy.

- Operowałeś? - spytałem.

Przytaknął.

- Co to była za operacja?

Podniósł się. Obszedł dokoła fotel, w którym leżałem i pochylił się. Ale nie patrzył mi w oczy.

- Weź się w garść, Gil - powiedział tonem jakim mówi się do dziecka. - Twój stan... krótko mówiąc, mogłem tylko jedno. Próbować przeszczepu. Udało się. Będziesz zupełnie zdrowy. Już jesteś zdrowy - dodał szybko. - Musisz tylko nabrać sił...

Zesztywniałem. Moja rozpalona głowa stała się zimna jak lód. Po plecach przewędrowały mi zimne mrówki.

- Mózg? - wychrypiałem.

- Tak. Ale nie masz się czym przejmować. To się robi chemicznie, wiesz przecież. Macie tu wspaniałą aparaturę...

- Nie przejmuję się - powiedziałem. Ton mojego głosu musiał go zastanowić. Spojrzał na mnie inaczej niż do tej pory.

- Posłuchaj, Gil - przemówił - zastanawialiśmy się, czy ci powiedzieć. I kiedy. Uzgodniliśmy, że musisz poznać prawdę. I to od razu. Przez pewien okres będziesz miał do czynienia, jakby to nazwać... z natręctwami myślowymi. Będą się pojawiać obrazy, niezrozumiałe dla ciebie. Ludzie. To może człowieka doprowadzić do różnych rzeczy. Jeżeli nie wie o co chodzi. Teraz poradysz sobie bez trudu. Tym bardziej, że w grę wchodzi niedługi stosunkowo okres...

- Obca pamięć? - spytałem. Sam się zdziwiłem, jak zimno to zabrzmiało.

- Coś w tym rodzaju. Nie jesteś specjalistą ale słyszałeś pewnie, co kiedyś o tym myślano. Niektóre przesady, jakieś najzupełniej irracjonalne obawy przetrwały w ludziach do dziś. Wiesz jak to jest...

Wiedziałem.

W każdym razie od kilku minut. Ale to nie była wiedza tylko "przesady". Jestem przesądny. A przynajmniej będę, jeśli nie przyjmę tego, co ma mi do powiedzenia z obojętnością człowieka czytającego reklamy pasty do zębów.

- Przeszczepienie mózgu - ciągnął - miało być równoznaczne z przeszczepieniem osobowości. Oczywiście zanim zaczęto eksperymentować. Nonsens. Osobowość to coś więcej niż jeden organ, nawet taki jak mózg. Dużą rolę odgrywają na przykład neurony. A one są rozlokowane w całym niemal organizmie. Mniejsza z tym. Jesteś w stu procentach sobą, Gilem. Sam do tego dojdiesz... po pewnym czasie. Ale musiałeś wiedzieć. Te niejasne obrazy... myśli, strzępy

wspomnień, obce twojej przeszłości, wszystko to może poważnie opóźnić rekonwalescencję. A nawet doprowadzić do psychozy. Dlatego nie mogliśmy milczeć.

Są w porządku. Zwłaszcza on, Reuss. Powinienem to zrozumieć.

- A moja pamięć? - spytałem. - Skąd się wzięła?

- Jak to skąd? - spytał. Powinien iść na scenę. Zdziwienie w jego głosie było niemal autentyczne.

- Odpowiadaj - warknąłem.

- Jest twoją i tylko twoją pamięcią. Każdy człowiek pamięta swoją przeszłość - rzekł z przekonaniem. - Na wszelki wypadek, ale naprawdę z czystego asekurancja, zaprogramowaliśmy automat... to znaczy, powiedzieliśmy co o tobie wiemy. Głównie Guskin i Sen. Ja zaproponowałem użycie datora. Dostał sprzężenie z kalkulatorem, gdzie była zapisana wiedza o tobie i drugie, z polami mózgowymi. Kiedy spałeś...

- Dostyc - powiedziałem. - Dostyc.

Zamilkł.

Teraz już nigdy nie dojdę, jak jest naprawdę. Kiedy spałem wtoczyli mi do łba wszystko co chcieli. Co było trzeba, abym uwierzył, że naprawdę jestem Gilly, którego nazywali "Cybernetycznym Gilem..." Chyba teraz przestaną tak mówić. "Techniczny" nie pozwoli. Będzie mnie traktował jak dziecko. Właściwie, jak dwoje dzieci...

Uniosłem się na łokciach. Mógłbym użyć słowa "zerwałem", gdyby nie mój stan i te idiotyczne kable.

- Reuss - rzuciłem.

Spojrzał na mnie i odwrócił szybko twarz. Jakby się skulił.

- Popatrz na mnie, Reuss - powiedziałem ostro.

Posłuchał.

- Skąd wzięliście dawcę?

- Mózgu? - spytał po chwili. Twarz miał białą jak płótno.

- Nie. Sztucznej szczęki.

Westchnął. Ponownie spuścił wzrok.

- Sytuacja zaczął półgłosem wymagała szybkiego działania. Gdybyśmy zastanawiali się dziesięć minut dłużej...

- Do diabła z sytuacją! Skąd wzięłeś dawcę?!

- To nie ja... - wybąkał. - Mówiliśmy...

- Reuss!

- To tylko... kopia. Zrozum, Gil. Zastanów się - mówił coraz szybciej - wyobraź sobie, że chodzi o kogoś innego, nie o ciebie. Że masz do wyboru, człowiek - albo ten... sztuczny twór, w dodatku skażony. Co byś zrobił? Szczerze, Gil?

- Zamknij się - syknąłem. - Głowa opadła mi na oparcie. Przed moimi oczami ponownie zawirował stożek barwnych, malejących kół.

Minęło dobre dziesięć minut, zanim zdołałem cokolwiek pomyśleć. I powiedzieć.

- Który?

Nie było go już przy mnie. Stał pod ścianą, odwrócony twarzą do iluminatora. Jego głos dotarł jakby z przestrzeni, otaczającej miejsce postoju rakiety.

- Mogue. On nie ma odpowiednika... wiesz.

- Nie miał - szepnąłem.

Wybrali Piotra. Wybrali go, bo nie było prawdziwego człowieka, obciążonego jego pamięcią. Reuss jest specjalistą. Wie, że nie otrzymałem osobowości tamtego. Co nie przeszkadza, że wolał nie mieć obok siebie dwóch ludzi o tych samych mózgach. Dwóch, którzy na przykład wrócą na Ziemię i staną przed swoimi matkami.

- Podejdź tutaj - powiedziałem. Był już spokojny. Aż za spokojny.

Stał nade mną. Przez chwilę patrzyłem mu w oczy. Z pewnością zrobiłby wiele, żeby mi pomóc. A następnie opuścić tę kabinę.

- Wyłącz to - powiedziałem, wskazując końcówki kabli.

- Nie mogę - potrząsnął głową. - Jakiś czas jeszcze...

- Jeśli natychmiast nie wyłączysz - ponownie uniosłem się na łokciach - zabiję cię. Mam wszczepiony instynkt agresywności...

Cofnął się pół kroku. Ale nie zrobił nic.

Podkurczyłem kolana i poderwałem się. Kable uderzyły o poręcz. Chwile balansowałem, usiłując przenieść nogi na podłogę, ale nie dałem rady. Opadłem jak worek.

- Dobrze już, dobrze - mruknął.

Przyglądałem się jego krótkim, nerwowym ruchom, kiedy rozłączał kable. Był zły. Uważał zapewne, że zrobił swoje. Reszta to nie jego zmartwienie.

Będąc na jego miejscu myślałbym dokładnie tak samo. W każdym razie do dzisiaj.

Zaświergotała winda. Dźwięk ucichł. W korytarzu rozległy się kroki. Nie

patrzyłem w stronę wejścia ale wiedziałem, że to Sennison. Za nim wszedł Gus. Yba i Musparth odpoczywali pewnie w pomieszczeniu hibernatorów. Miałem nadzieję, że nie pozwolili im wyjść ze statku. Chociaż, co mnie to właściwie obchodzi? Teraz?

- Jak się masz, Gil? - powiedział wesołym tonem Guskin. - Wypałeś się wreszcie?

Tak. Niejedno jeszcze miałem przed sobą.

- Kiedy się zbudził? - spytał Sen.

Miało to zabrzmieć jak pytanie dowódcy o zdrowie jednego z jego ludzi. Licho wie, o co naprawdę chciał spytać. Nie bardzo panował nad głosem.

- Dość dawno - rzekł Reuss. - Powiedziałem mu.

Zaległo milczenie.

Stała mi przed oczami twarz Piotra. Szeroka, o szeroko rozstawionych oczach, jasna twarz. Bardziej pilota niż uczonego. Jego niemal białe włosy.

Gdyby nawet ta twarzą zatarła się w mojej pamięci, mam pod ręką drugą. Niedaleko. Na sąsiedniej łączce.

Mogue. Więc to jego dzieciństwo będę wspominał jako własne. Jego bliskich, dom w którym się wychował, jego przyjaciół. W każdym razie wspominałbym, gdyby się tak nie pospieszyli z aparaturą. W obecnym stanie rzeczy zostaną mi tylko "niejasne strzępy". "Natręctwa". O czym jeszcze mówił ten... rzeźnik?

Ogarnęła mnie zimna wściekłość.

- Podejdźcie, nie bójcie się - rzuciłem w stronę drzwi, od których trudno było oderwać się Senowi i Guskinowi. - Nie musicie się bać - powtórzyłem. - Jeszcze jestem słaby.

Reuss posłał im przepaszające spojrzenie. Jakby czuł się za mnie odpowiedzialny. Tylko tego mi brakowało.

- Na przykład Reuss - wycodziłem. - Spójrzcie na niego. Siedzi tutaj jakby nigdy nic z miną zakochanej niańki i cały czas tłumaczy, jak mi jest dobrze na świecie. A w gruncie rzeczy w czym jest lepszy od tych z oceanu? Nie wiecie? Ja też nie. Mogę wam za to powiedzieć, w czym jest od nich gorszy. Oni powielali ludzi. Nie mordowali. Gdzie on jest?

Milczeli dłuższą chwilę. Wreszcie Gus postąpił parę kroków i stanął tak, że mogłem go widzieć.

- Kto?

- Nie udawaj wariata, Gus. Mogue. Coście z nim zrobili?

- To co zawsze w takich wypadkach - powiedział od drzwi Sennison.

- Kopczyk na polanie? Kogo tam pošesz tym razem, Sen? Mnie? Czy tego z farmy? Obydwaj jesteřmy w r3wnym stopniu osieroceni. On stracił syjamskiego brata a ja ciało. Bo to moje ciało leży tam, na rozkosznej polance. Może zresztą wrzuciliście go do rzeki. Czy tu są ryby? Reuss - odwróciłem głowę - ty jesteř spec, jeśli chodzi o hydrologię. Nawet oceanografię. Powiedz, czy tu są ryby?

- Zostaw, Gil - powiedział cicho Guskin. Postał chwilę nade mną, po czym skinął głową i usiadł w nogach fotela. - Wcale nie twierdzę, że jest ci dobrze na świecie. I możesz pójść na jego grób. Z punktu widzenia medycyny nie powinienem pewnie tego mówić, ale ja bym poszedł. Gdybym był tobą. Poszedł i pomyślał. Masz do wyboru. Albo złożyć tam mnie, Guskina, albo Mogue. Ale nie tego Mogue, którego pamiętasz z bazy. Który przyleciał z Ziemi. Nie chcę, żebyś mi odpowiadał. Nie rób tego. Proszę. Idź tam i pomyśl. Potem porozmawiamy. Jeśli, oczywiście, będziesz miał ochotę.

Zastanowiłem się.

- Dobrze, Gus - powiedziałem. - Nie histeryzujmy. Co do tego masz rację. A teraz ty wyświadcz mi przysługę. Wyobraź sobie, że jesteř mną. Że to o czym mówisz, dotyczy ciebie. I stoisz tam, nad tym grobem. Stoisz i nie wiesz nic. Nie wiesz kim jesteř. Me wiesz nawet, czy jesteř... człowiekiem. No, Gus?

Cisza.

- Prosiłem się o przysługę. Masz tylko odpowiedzieć.

Westchnął. Pokręcił powoli głową. Ale cały czas patrzył mi prosto w oczy.

- Moja odpowiedź brzmi: nie wiem. Nie umiem się postawić w takiej sytuacji. Sądzę, że nikt tego nie potrafi, zanim jego samego to nie spotka. Wiem, że chodziło ci o coś więcej. Ale na nic innego mnie nie stać. Mogę tylko powiedzieć, że bardzo chciałbym ci pomóc. Sam wiem, że to niemożliwe. I nie myśl, że mnie było łatwo. Nam wszystkim. Jeśli tak myślisz... to...

- Nie, Gus - przerwałem. - Nie musisz kończyć. To są pierwsze ludzkie słowa, jakie usłyszałem po przebudzeniu. Żadne bajdy dla grzecznych dzieci. Dziękuję ci. Ale nie mów nic więcej. Nie psujmy tego.

- Jest jeszcze coś, co braliśmy pod uwagę - odezwał się Sennison. Wyszedł na środek kabiny i utkwiał wzrok w kombinezonie Reussa. - Twój stosunek do kopii. Nie, żeby to przeważało, ale myśleliśmy przede wszystkim o tobie. Co powiesz, kiedy się dowiesz. I przypomnieliśmy sobie... Gil, przecież ty sam udowodniłeś, że oni nie są

ludźmi. Sam głosowałeś za tym, żeby ich tu zostawić. Budzili w tobie niechęć... ślepy by zauważył. Krótko mówiąc, nie sądziliśmy, że będziesz miał skrupuły...

- Możesz coś dla mnie zrobić, Sen - spytałem słodko.

- Słucham.

- Wyjdź stąd.

Ja nie będę miał skrupułów! Oczywiście. Nic prostszego, jak zwalić to na mnie. Że niby przemawiałem za pozostawieniem kopii poza Ziemią. W końcu, niech diabli porwią kopie. Ale ja? Co będzie ze mną? "Myśleliśmy tylko o tobie". Dobrze sobie. I kto to mówi!

- Idźcie wszyscy - powiedziałem, odwracając się plecami do kabiny. - Chcę teraz spać.

- Może wolałbyś, żebyśmy cię przenieśli do tamtych? W hibernatorze byłoby ci wygodniej. I miałbyś spokój.

- Zostanę tutaj - burknąłem. - Dobranoc.

Wtedy pierwszy raz przyszło mi na myśl, że naprawdę zostanę tutaj. I że to jest jedyne, co mogę zrobić.

Wieczorem opuściłem jednak nawigatornię. Zrobiło się ciasno. Wrócili Yba i Musparth, Reuss usadowił się na moim zwykłym miejscu, a Sen zasnął przed pulpitem sterowniczym, odwrócony tyłem do pozostałych. Gus miał dyżur. Pełnił go na dole, za rzeką w sąsiedztwie budowy.

Nie skorzystałem z pomieszczenia hibernatorów. Zająłem nisze, mieszczącą aparaturę diagnostyczną. Było tam akurat tyle miejsca, żeby wsunąć fotel, należało tylko trochę podnieść oparcie.

W nawigatorni panowała cisza. Ludzie milczeli. Może naprawdę spali? Nic mnie to nie obchodziło.

Co do mnie, nie zmrużyłem oka. Myślałem. W takich sytuacjach mawia się, że w kimś "dojrzeła postawa". W moim wypadku, byłby to fałsz. Jeśli nawet coś jeszcze roztrząsałem, w gruncie rzeczy byłem zdecydowany. Zresztą, całe to myślenie miało dość mglisty przebieg.

Postanowiłem przede wszystkim, że nie narażę się więcej na żadne zachwalane przez Reussa "natręctwa" i "strzępy wspomnień". Koniec z przeszłością. Myśleć o tym co robię, co czuję, co będę robił i co będę czuł. i tylko o tym. Znałem się na tyle, że mogłem mieć do siebie zaufanie. Jeśli się lepiej zastanowić, nie ma

czego żałować. Z dość licznych rodzeństwa ja jeden wyfrunąłem poza układ słoneczny. Nie odczuwają zbyt dotkliwie braku średniego brata. I średniego syna. Co do przyjaciół... cóż. Nie darmo nosiłem przydomek "cybernetyczny". Trudno darzyć przyjaźnią automaty. Ludzi, z którymi byłem zżyty, mogłem zliczyć na palcach jednej ręki. Nawet gdyby mi ucięto więcej niż połowę tych palców.

O czym to przed chwilą myślałem... O przeszłości. O tym, że nie będę sięgał pamięcią wstecz, poza ten dzień, tutaj, w którym stojącego na skraju polany dosięgło mnie słońce. Powiedziałem sobie, że mogę polegać na własnym słowie. Mogę mieć zaufanie...

Zapomniałem o jednym. O drobnostce. Także związanej z zaufaniem, jeśli chwilę pomyśleć.

Zabrzmiały mi w uszach moje własne słowa. "Woleliście strzelać do istot, które nie zrobiły wam nic złego, niż przyjść się z nami przywitać. Z ekipą ratunkową. Ja sprzeciwiam się waszemu powrotowi na Ziemię".

Mówiłem wtedy dużo więcej. Sen i Gus przyznali mi rację. Mniejsza z tym. Miałem rację. I ona nie wygasła. Kopie zostają tutaj.

Ale wszystko co wtedy powiedziałem, odnosi się teraz do mnie. Mój mózg jest taki sam jak ich. Nie' taki. Ten sam. Mózg, stworzony przez obcą rasę dla jej nieludzkich celów. Nawet jeśli jest wierną kopią mózgu człowieka, dokonano na nim drobnego zabiegu. Dzięki temu okaleczeniu ten mózg kazał Piotrowi zabijać.

Podniosłem się z fotelu. Poczułem, że oblewa mnie zimny pot. Rozdrażnienie, z jakim przyjąłem słowa Sennisona. A przedtem Reussa. To, że nie potrafiłem z nimi rozmawiać. Ani spokojnie pomyśleć.

Kim jestem? Czego mogę się spodziewać po sobie? Co jeszcze zrobię?

Bezwiednie wyprostowałem nogi i stanąłem. Spojrzałem w stronę tonącej w mroku kabiny.

Ogarnął mnie lęk. Niemożliwe, żeby o tym nie pomyśleli. Jeżeli nie śpią, to nie dlatego, że rozpamiętują co zrobili. Boją się mnie. Czuwają. Czuwa przynajmniej jeden z nich.

Wysoko podnosząc nogi, na palcach, podszedłem do krawędzi niszy. Oparłem się o ścianę i znieruchomiałem.

Nagle zaświtał mi pomysł. Popełniłem błąd, nie godząc się na przeniesienie do kabiny hibernatorów. Tam jest coś, czym powinienem się zająć. Teraz. Zaraz.

Wodziłem spojrzeniem od jednej nieruchomej sylwetki do drugiej. Które z

nich śpi naprawdę? Która z tych niemych, czarnych postaci czuwa? Może zauważyła już, że wstałem z fotela i skradając się jak zwierzę przyszedłem tutaj? Może jestem obserwowany spod półprzymkniętych powiek? Sen? Reuss? Musparth? Yba?

Przebiegł mnie dreszcz. Zagryzłem wargi. Wyciągnąłem przed siebie ramię i pomachałem sztywno wyprostowaną dłońią.

Nikt się nie poruszył. Cisza.

Schyliłem się. Do głowy napłynęła mi fala rozpalonego ołowiu. Tak nie dam rady.

Przykucnąłem a następnie usiadłem na pianowej podłodze. Manewrując palcami jednej ręki zrzuciłem miękkie, treningowe pantofle. Wyprostowałem się. Poczuliem mdłości. W skroniach mi załomotało, jakby jakieś wielkie ptaszysko waliło o nie skrzydłami.

Cisza.

Jeden krok. Drugi. Muszę nałożyć drogi, żeby przejść możliwie najdalej od foteli. Idę. W dalszym ciągu trwają w bezruchu. Oddychają równo, spokojnie, jakby spali naprawdę. Może i śpią. Ostatecznie, ktoś czuwa. Guskin.

Pomyślałem, że Gus może być tutaj, za ścianą. Albo w pomieszczeniu hibernatorów. Powiedzieli mi specjalnie, że jest poza statkiem, aby uspić moją czujność. Aby przekonać się co zrobię.

Ja mówiłem o zaufaniu do samego siebie. Ja! To znaczy, kto?

Idę. Drzwi do korytarza są coraz bliżej. Mógłbym już dotknąć ich powierzchni. Są otwarte. Zapraszają. W porównaniu z półmrokiem, panującym w kabinie, korytarz jest pograżony w najgłębszej ciemności. Ale nie muszę widzieć, żeby dojść tam, gdzie chce. Na każdym z naszych statków trafiłbym wszędzie z zawiązanymi oczami. Po tylu latach.

Te drzwi są zamknięte. Ostrożnie. Zamek jest zwyczajny, magnetyczny. Trzeba dotknąć listwy. I przytrzymać drugą ręką. Otwierają się szybko. Można to usłyszeć.

Teraz trzeba je zamknąć. Do ostatniego momentu przytrzymuję palcami listwę, żeby nie stuknęły. Cisza. Jestem w komorze hibernatorów. Robię na oślep kilka kroków i dostrzegam przed sobą fotel. Moje ruchy stają się płynne. Nakładam opaskę. Sprawdzam kable, przesuwając je w zaciśniętej dłoni. Nie siadam. Z fotela nie mógłbym uruchomić aparatury. Teraz projektor. Stoi, jak go zostawiłem, po ostatnim "seansie". Nikt go nie ruszał. Bo i po co?

Już. Jedno, krótkie uderzenie w klawisz. Poczułem je pod czaszką, ale nie zwróciłem na to uwagi.

Nie ma już kabiny. Ani ciemności. Jest dzień. Świeci słońce. Korytem rzeki suną lekko spłaszczone kule. Jedna z nich przybliżyła się, rośnie...

Nie. Nie czuję nic.

Stoję i patrzę. Wtedy, pod białą piramidą, przywitały nas takie same kule.

Przywitały, właśnie. Sygnalizowały.

Do pewnego momentu. Kiedy się przekonali, że mają do czynienia z ludźmi.

A teraz ich glob płonie. Jeszcze płonie, pomimo że jego powierzchnia dawno już straciła cechy biosfery. Obszaru, na którym może rozwijać się życie..

Jakiegokolwiek życie.

Poczułem przypływ złości. Oprzytomniałem.

Złoszczę się...

Nonsens. Ta złość świadczy najlepiej, że niepotrzebnie tutaj przychodziłem. Kule nie budzą we mnie żądzy mordy. Raczej żal. Jeżeli coś mnie irytuje, to ludzie. Ci, którzy z nimi walczyli. Przez których nas. potraktowano jak agresorów.

Postałem jeszcze chwilę i wyłączyłem aparaturę. Zapaliłem światło. Nie musiałem się już maskować.

A więc to zostało mi oszczędzone. Nie otrzymałem dodatkowego prezentu od kopii, której zabrałem mózg. Dostałem tylko substancję. Surowiec. Bez obcej zawartości. Z pomocą stymulatora wypełniłem tę substancję własną treścią. Ludzką. Osobistą.

Zaraz. A jeśli to dlatego, że sam przedtem przygotowałem programy? Że sam zainscenizowałem przedstawienie z diagnostyką, kalkulatorem i holowizyjnym filmem, przywiezionym z Trzeciej? Że wiedziałem wszystko, zanim poddałem się eksperymentowi?

Ta myśl spadła na mnie jak bryła lodu.

W korytarzu zabrzmiały czyjeś kroki. Zbliżyły się. Ucichły. Dobrze pamiętałem. Drzwi nie otwierają się bezszelestnie.

- Zobaczyłem światło... - zaczął Guskin i urwał.

Odwróciłem się do niego.

- Co tutaj robisz? - spytał zmienionym głosem.

Wzruszyłem ramionami.

- Oglądam filmy. Nie wolno?

Milczał długo. Jego wzrok zatrzymał się na moim czole, z którego nie zdążyłem zdjąć opaski, prześliznął się niżej, na złącza kabli i przekaźniki, powędrował w stronę kalkulatora...

- Gil... - głos uwiązał mu w krtani.

- Bez czułości - powiedziałem ponuro. - Robi mi się od tego niedobrze.

Nie słuchał. Podszedł szybko i zrobił ruch, jakby chciał mnie objąć. Zatrzymał się. Ramiona mu opadły.

- Gil, człowieku... - wykrztusił.

To było więcej, niż mogłem znieść. Gwałtownym ruchem zdarłem opaskę i wyszarpnąłem przewody. Odsunąłem go i ruszyłem w stronę wyjścia.

- Poczekaj - usłyszałem jego szept. Stałem, nie odwracając się.

- Coś jeszcze? - rzuciłem.

Odwrócił się. Jego głos zabrzmiał o ton wyżej.

- Dwa słowa. Nie powiem nikomu, że cię tu zastałem. I co tu robiłeś. Czy ci na tym zależy, czy nie - dodał szybko.

Skinąłem głową.

- Coś jeszcze? - spytałem łagodniejszym tonem.

- Tak. Dlaczego nam nie wierzysz? Zresztą, pal sześć innym. Zapamiętaj co powiem. Jestem pilotem. Na twoim miejscu żądałbym od ciebie szczerości. Ja jestem szczery.

- Tak - powiedziałem. - Wierzę ci. Ale ty też nic nie wiesz. Nic - powtórzyłem do siebie, już w korytarzu.

Wyrównałem stery. Raz w miesiącu czuję się jeszcze pilotem. Nie zostawiam tego automatom.

Czwarta rosła pode mną, podobna do płaskiego talerza z podwiniętymi brzegami. Zabarwiła się, zaróżowiła. Jej obrzeże rozbiegło się i otoczyło mnie horyzontem.

Położyłem raketkę. Ostro, szybciej niż trzeba.

Chwila odprężenia.

To już nie był glob, ciało niebieskie, do którego dążyłem przez próżnię precyzyjnie wyliczoną trajektorią. Znajdowałem, się nad lądem. Jeszcze minuta i wejść w orbitę, na której również nie zabawię dłużej niż kwadrans.

Teraz.

Narastające miauczenie sprężarek klimatyzatorów. Pole siłowe przenika moje ciało, obejmuje pancerzem każdą komórkę, każdy atom. Jeszcze sto lat temu żaden pilot nie przeżyłby dłużej niż trzydzieści sekund w warunkach takiego przeciążenia.

W ekranie mignęło pasmo górskich szczytów, po czym rozlało się zielone morze lasu. Hamownice. Dziób stateczku staje w ogniu. Seria manewrów.

Już schodzę. Nie mogę oderwać wzroku od czujników aby spojrzeć w dół ale wiem, że żadna poprawka nie jest potrzebna. Trafię w ten sam punkt, co zawsze. Nikt nie będzie mógł poznać, czy krąg wypalanej trawy pochodzi sprzed miesiąca, dwóch, czy sprzed kilkunastu sekund.

Zwiadowcze rakiety nie potrzebują kratownic. Siadają na specjalnie przystosowanej obudowie dyszy. Trzeba dobrze patrzeć, gdzie się ląduje. Każde obsunięcie się gruntu, wgniecenie, może kosztować kilka dni pracy. Zanim dziewięciotonowe cygaro ponownie stanie w pionie.

Ale ja znam tutejsze podłoże. Wiem, że jest pewne. Co nie znaczy, że swojskie. Nie grożą mi żadne niespodzianki. Co nie znaczy, żebym się tu czuł jak u siebie.

Dwa razy tylko, odkąd tu jestem, trafiłem na chmury. Dwa na jedenaście.

Dziś też niebo jest czyste. Uczciwe, błękitne niebo, bez śladu odwróconych do góry nogami miast. Stojąc w otwartym włazie Idiomu widziało się z tego miejsca siniejące na widnokręgu góry. Statek był przeszło i rzy razy wyższy od mojej łódeczki. Teraz mam przed sobą tylko nieskończony dywan zwichrowanej zieleni lasu. Ale nie przyleciałem tu dla widoków.

Już nie jestem pilotem. Skacząc po kamieniach przechodzę rzekę i wstępuję na niskie zbocze. Metr przede mną wznoszą się obwałowania farmy, przechodzące w ostrą palisadę. Nieruchome talerze anten patrzą w przeciwną stronę. Jakby i one przygotowały się na moje przyjęcie.

Farma opustoszała. Tak jest zawsze. Ilekroć przylatuję, mają pełne ręce roboty poza zabudowaniami. W porządku. Tak powinno być. Odpowiada mi to z pewnością nie mniej niż im. I nie obchodzi mnie, kogo dziś zostawili na dyżurze. Żeby pełnić "honory domu".

Skręciłem za róg i ujrzałem go. Wszedł kilka kroków przed bramę i czekał na mnie.

- Dzień dobry, Gil! - powiedział. - Jestem sam. Keszta...

- Widzę - przerwałem. Miąłem go i wszedłem za ogrodzenie.

Obojętne, kto. Powiedzmy, prawie obojętne. Nie w tym jednym jedynym wypadku. Piotra Mogue.

To nie on - pomyślałem. To jego kopia.

W tym właśnie rzecz. Z dwóch kopii pozostała jedna. Ocalał jeszcze mózg. Ocalał - nie jest najszczęśliwszym określeniem. Ale mniejsza o słowa.

Nie rozglądając się podszedłem do stołu, przysunąłem sobie twarde, drewniany fotel i usiadłem. Zajął miejsce po przeciwnej stronie. Wyglądał jakby miał zamiar otworzyć teczkę i niezwłocznie przystąpić do "sprawy".

- Miałeś dobry lot? - spytał. Skinąłem głową.

- Wracasz dzisiaj? Jak zawsze?

- Tak.

Siedział pod słońce. Moja twarz pozostawała w cieniu. Nie byłem jej dość pewny, aby nie zauważyć tej sytuacji.

- Otworzyliśmy nowy szyb aprowizacyjny - przystąpił do sprawozdania. - Nysa znalazła naftę. Zawiera domieszki, które skomplikują trochę proces syntezy. Na razie rozbudowaliśmy destylatornię. Niezależnie od tego - ciągnął - Musparth i Reuss wybrali się nad morze. Przeprowadzą badania. Gdyby udało się opanować produkcję koncentratów z chlorelli, naftę zachowalibyśmy wyłącznie jako paliwo. No a poza tym - uśmiechnął się - mamy wiosnę. Tu można sobie pozwolić na tradycyjne siewy...

Słuchałem spokojnie. Tylko to usprawiedliwia moją obecność na satelicie tego globu, który może sobie pozwolić na pory roku. Potrzebowałem tego usprawiedliwienia bardziej niż oni. Kopie. Gdyby o tym wiedzieli...

Przyjrzałem mu się uważniej. Jego oświetlona słońcem twarz wyglądała młodo. Bardziej młodo, niż kiedykolwiek. Tylko wokół powiek pojawiały się zmarszczki, kiedy mrużył oczy.

Gdyby wiedzieli... Nieraz przychodziło mi na myśl, że on jeden wie. Ten, który spogląda teraz na mnie spod zmrużonych powiek. I uśmiecha się, mówiąc o wiosennych siewach. Że z pełną świadomością przyjął grę, jaką mu narzuciłem. Ponieważ wie, że gram sam ze sobą.

Człowiek, który jemu dał mózg i ciało, zginął. Kopia tego samego człowieka musiała zginąć, aby dać mózg mnie. Nie mogłem i nie chciałem myśleć, z którym Piotrem rozmawiałem wtedy, na pokładzie Idiomu, przed przystąpieniem do pamiętnego "sprawdzianu". Tym, którego rok temu pochowano niedaleko stąd, w miejscu, o którym nikt nigdy nie zająknął się przy mnie, czy z tym, który siedzi teraz tutaj z twarzą tak jasną, jakby myślał o Ziemi i białymi od słońca włosami.

Nie mogłem i nie chciałem. Ale czy nie myślałem?

Przecież on wiedział. Jeżeli to był on, musiał pamiętać każde słowo. I coś więcej niż słowa. Że przez kilka godzin był kimś, z kim mogłem rozmawiać. Tak jak ja rozumiałem, co to jest rozmowa.

Ogarnęło mnie zniecierpliwienie. Czy za każdym razem mam przeżywać to samo?

Musiałem zrobić jakiś gest, bo nagle zamilkł. Chwilę trwała cisza. Uniosłem głowę i spojrzałem na niego pytającym wzrokiem.

- To wszystko - powiedział. - Chcemy spiętrzyć rzekę i znaleźliśmy odpowiednie miejsce półtora kilometra stąd. Zrobimy tam małą siłownię i zalew. Myślę, że to drugie okaże się bardziej atrakcyjne - dorzucił z uśmiechem. - Mielśmy zamiar rozpocząć wiercenia w tym miesiącu, ale jakoś nie doszło do tego. Mamy czas...

Mieli go ponad wszelką wątpliwość.

Milczałem. Patrzyłem mu prosto w oczy. I nie czułem nic. Uświadomiłem to sobie dopiero w tym momencie. Że siedzimy za tym jasnym, drewnianym stołem, on i ja, i po prostu robimy swoje.

Wyprostowałem się odruchowo. Jeśli już pomyślałem, że nic nie czuję, znaczy, że za chwilę to przyjdzie. Przygotowałem się. Ale nie spuściłem wzroku.

Gdybym był rzeźbiarzem, mógłbym teraz zamknąć oczy i wykuć jego twarz. Nie teraz. Także kilkaset tysięcy kilometrów stąd, w mroku księżycowej bazy.

Każdego dnia i każdej nocy.

Ale nadal nie czuję nic. Nie ma we mnie śladu zwykłej wrogości, odrazy, niechęci nawet. Czy to znaczy, że wypaliłem się wreszcie i będę miał teraz spokój? Wczoraj w bazie, kiedy skończyłem pisać, myślałem o samotności.

Dlaczego przyszło mi to na myśl? Właśnie teraz? Oparłem się wygodnie. Położyłem łokcie na poręczach i wyprostowałem nogi. Poczułem smak powietrza. Było świeże, przesiąknięte zapachem drewna w pierwszym dniu po okresie niepogody.

Przymknąłem oczy. Nie po to, by rzeźbić w wyobraźni twarz Piotra. Aby nie przeszkadzała. Potrzebowałem spokoju. Nawet światło słoneczne, rysujące ostro kontury sprzętów, ogrodzenia i nieruchomych drzew, utrudniało mi uchwycenie istotnego sensu czegoś, co powstało w mojej świadomości. Co przebiło się, po miesiącach, czy może latach wyczekiwania.

Trafiłem na żywy glob. Mniejsza o drogę. Na żywą ziemię. Nawet w tej chwili tutaj, w obrębie jedyne go zabudowanego skrawka jej powierzchni, czuję pod stopami kępy trawy.

Nasi przodkowie, wznosząc oczy ku gwiazdom, uśmiechali się do wizji takich właśnie planet. Zielonych, z wodami i wiatrem, słońcem i deszczem, zaludnionych przez rasy, które w swej mądrości pokierowały własną ewolucją nie gubiąc po drodze łagodności i ciszy. Bo nie umiano sobie wyobrazić globów porośniętych zielenią, otoczonych atmosferą z dużą zawartością tlenu, gdzie pochod form żywych nie doprowadził do wykształcenia istot technologicznych. Jeszcze nasi przodkowie z bijącymi sercami buszowali w jaskiniach i rozpadlinach Marsa, wbrew logice i faktom tropiąc ślady jego mieszkańców.

A prawda wygląda tak, że rasę, która w swoim rozwoju przekroczyła próg dzielący ewolucję zdeterminowaną od kierowanej, spotkać można raz na dziewięćset zbadanych układów słonecznych. Przy czym kontakt naszych pilotów z przedstawicielami tych ras jest we wszystkich niemal wypadkach równie owocny, jak rozmowy Don Kichota z wiatrakami.

O tę wiedzę Gus, Sennison, my wszyscy jesteśmy ubożsi od naszych protoplastów. Coś jednak otrzymaliśmy w zamian.

Epoka eksploracji przyniosła ludziom globy takie, jak ten właśnie, których biosfera postąpiła ku chwili, w jakiej powinna, a w każdym razie mogła wyłonić własnego, świadomego gospodarza i nie zrobiła kroku dalej. Które rozwinęły się jak

słoneczniki i znieruchomiały w rozkwicie, czekając aż natura ześle im pszczoły. Mogły tak czekać tysiące lat. I czekały.

Było ich sporo, tych planet sprowadzonych przez ludzkość do roli wentyli bezpieczeństwa, dla rozładowania narastających w jej łonie napięć. Więcej niż obiecywali najśmielsi astronomowie pierwszej połowy trzeciego tysiąclecia. Więcej niż Ziemia mogła i chciała objąć zewnętrzną strefę swojego świata.

Czwarta, z jej bujną i cichą biosferą, nie była dla mnie niczym nowym. Może tylko w krajobrazie nieco bardziej niż w innych miejscach przypominającym nasze azjatyckie rezerwy. Ale to nieistotne.

Nowe było to, że pomyślałem o niej, jako o planecie życia. I że naraz stała mi się bliska. Nie przez kontrast z otoczeniem mojej bazy na pierwszym księżycu. Przeciwnie. Po raz pierwszy, siedząc za tym stołem, naprzeciw Piotra, ujrzałem ten glob bez związku z konkretną sytuacją. Jego glob.

Jakby przestało się liczyć wszystko, co poprzedziło nasze spotkanie. Jakby ważne były tylko te drzewa, tlen w atmosferze, trawa i posycie lasu, ze ścieżkami wydeptanymi przez małe zwierzęta podobne do jeży, jakie zaobserwował kiedyś Musparth. Życie. I nagle, przejmująca świadomość wspólnoty, przy której różnice stają się pozorne. Wspólnoty, obejmującej wszystkie światy. Ponad progiem materii ożywionej.

Otworzyłem oczy i utkwilem wzrok w jego twarzy. Siedział bez ruchu, lekko przechylony, z głową podaną w moją stronę. Nie uśmiechał się. Wyglądało, że szuka w moim wzroku czegoś, co pozwoliłoby mu nabrać pewności. Utwierdzić się w przekonaniu, że przelotne wrażenie, jakie odniósł, było naprawdę przelotne.

Spojrzałem wyżej. Jego szerokie czoło znaczyły dwie wąskie fałdy. Nad nimi pasek jaśniejszej skóry i całkiem jasne włosy. Lekko wklęsłe skronie i silnie zarysowane oczodoły.

Twarz człowieka, który nawykł do działania. Otwarta. Nakazem bywa dla mnie myśl, a nie potrzeba chwili. Jej kości rysują się twardo, budzą zaufanie. Żywa twarz.

Także i teraz, kiedy patrzę na Piotra, tylko to się liczy. Życie. Coś więcej, niż życie drzew. Ale punkt wyjścia pozostał ten sam. I tak samo nieważne stają się różnice. Nawet te, które wobec pozornego ich braku tkwią głębiej, niż zwykła sięgać świadomość człowieka. Mój mózg. Jego mózg.

Może stąd bierze się to wszystko? Moje myśli biegną torem przeciwnym do

wszystkiego, co w życiu robiłem. Co akceptowałem, jako motywy działania i do czego dochodziłem, kształtując własną osobowość. A może to jest tylko tor równoległy? Inny?

Jechałem tutaj z określoną nadzieją. Szybkiego powrotu. Naraz ten powrót przestał być ważny. W każdym razie jako ratunek przed samym sobą. Co więcej, nieważne stało się wszystko co kazało mi tak o nim myśleć.

Guskin miał rację. Ci z oceanu, na Trzeciej, nie musieli wszczepiać kopiom ludzi niczego nowego. Wyłuskali tylko i zaktywizowali coś, co i tak siedzi w każdym człowieku. W naszej podświadomości.

Tylko, że oprócz odruchu agresywności tkwi w nas całe mnóstwo innych. I zdajemy sobie z nich sprawę najczęściej, kiedy jest za późno. Te inne są ciekawsze. A co najważniejsze - silniejsze.

Wstałem. Miałem teraz jedno pragnienie. Znaleźć się jak najprędzej w zaciszu mojej kabiny, na satelicie.

Dokonałem odkrycia. I nie chcę go utracić.

- Będę już wracał - powiedziałem. - Nie potrzebujecie czegoś z bazy?

Potrząsnął głową. Przymknął powieki i uśmiechnął się. Znowu musiałem pomyśleć, że wie o wszystkim. Nawet, co teraz czuję. Co przeżyłem przed chwilą tu, przy tym stole.

Szedłem już w stronę bramy, kiedy zdałem sobie sprawę, że o czymś zapomniałem. Zatrzymałem się.

- Chce mi się pić - powiedziałem. - Mógłbyś mi dać wody?

- Oczywiście - rzucił bez zdziwienia. Zawrócił i ruszył w kierunku głównego budynku. Poszedłem za nim.

Kiedy zniknął w sieni, okrążyłem szybkim krokiem dom i nie przestępując progu laboratorium zajrzałem do wieży. Stałem jak wryty.

Wieża urosła, prawda. Ale cała jej konstrukcja była tylko niewysokim daszkiem w porównaniu z głębią szybu, jaki wybito w obrębie jej fundamentów. Wybrali tyle ziemi, że starczyłoby jej na usypanie kopca. I zrobili to tak, że najczulsze automaty łączności nie przekazały mi jednego sygnału.

Na pierwszy rzut oka zrozumiałem dlaczego zachowali tak daleko idącą dyskrecję. Mniej więcej do połowy wykopu wznosiły się częściowo tylko sklepienie łuki i żebra rakiety. Statku, który po ukończeniu budowy, niewiele ustępowałby Idiomowi. Pod względem wielkości. Statku transgalaktycznego.

Przebiegł mnie dreszcz. Poczułem na szyi zimne strużki. Jakbym nagle ujrzał przed sobą zjawę.

Ten statek mógł być pięć razy większy. Posługując się materiałami i sprzętem, jaki miały do dyspozycji, kopie są w stanie zbudować korpus największej rakiety, jaka kiedykolwiek przemierzała przestrzeń. Mogą go opancerzyć tak, że żadne przyspieszenia w atmosferze nie dadzą mu rady. Zbudować pokłady i kabiny, sterownię, dysze, wszystko. Nie mogą tylko jednego: wystartować. Nawet posiadając szczegółowe schematy napędu, budowę akceleratorów musieli rozłożyć na pokolenia. Nie dwa i nie trzy nawet. Ale nie mieli tych schematów. Co zresztą mówić o akceleratorach. Każdy statek posiada kilkaset niezależnych i autonomicznych układów automatyki. Jeden taki układ mogli, pracując dzień i noc, zrobić w ciągu trzystu lat. Same obliczenia zajęłyby dziesięciolecia.

Wstrząsnęło mną nie to, że pomyśleli o rakiecie. Że rzecz jest tak absurdalnie nierealna. Poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg, kiedy zrozumiałem, że oni nie mogli choćby przez chwilę nie zdawać sobie z tego sprawy. Stanowili zespół uczonych. Specjalistów bardzo wysokiej klasy. Specjalistów ze stażem w bazach kosmicznych.

Ale to nie było moje drugie odkrycie tego dnia. Ono tylko uzupełniało obraz, jaki utrwalił się w mojej świadomości.

Zdażyłem przejść połowę drogi, dzielącej wieżę od domu, kiedy ukazał się Mogue, niosąc naczynie z wodą. Chwilę szukał mnie wzrokiem, wreszcie usłyszał widać kroki, bo zwrócił się w stronę, z której nadchodziłem. Przez jego twarz przebiegł grymas. Postąpił pół kroku i zatrzymał się. Stał tak czekając aż podejde, po czym bez słowa; podał mi kubek.

Piłem długo. Posyłając go, aby skorzystać z jego nieobecności nie sądziłem, że przyniesie coś, czego tak bardzo potrzebowałem.

Oddałem mu kubek i nie dziękując, nie żegnając się, ruszyłem do bramy. Kątem oka pochwyciłem jego gest, jakby mnie chciał zatrzymać albo o coś spytać. Ale nie odezwał się słowem.

Nie chciałem tego. Kiedy jednak minąłem bramę, zatrzymałem się. Spojrzałem na niego.

Stał w miejscu, w którym go zostawiłem i uśmiechał się.

Wtedy ja też się uśmiechnąłem. Pomimo, że nie chciałem się zatrzymać.

Wracam do bazy. Muszę jak najprędzej skończyć tę relację, czy opowieść,

mniejsza jak to nazwać, o przebiegu ekspedycji ratunkowej do układu Feriego.

Myślałem, co będę robił, kiedy skończą pisać.

Wiele przemawia za tym, że niepotrzebnie martwiłem się na zapas.

- Możemy sobie nawzajem pogratulować, Gil - powiedział sztucznie ożywionym tonem Reuss, skończywszy badanie. To znaczy, przegląd taśm, jakie wypluła aparatura diagnostyczna.

- Kiedy zdejmiesz mu bandaż? - pospieszył załagodzić sprawę Guskin.

Reuss zastanowił się.

- Mógłbym to zrobić zaraz - zawahał się - wolałbym jednak, żeby głowa była jakiś czas chroniona...

- Powinieneś wcześniej o tym pomyśleć - burknąłem.

- Już jest dobry - zaśmiał się Sen. Spojrzałem na niego i przestał się śmiać.

Wydał kilka urwanych dźwięków, jakby próbował usunąć z krtani tkwiący tam korek, po czym zajął się tablicą kalkulatora. Pech chciał, że od wczoraj był wyłączony.

Wszedł Musparth. Zrzucił przez głowę bluzę skafandra, po czym starannie przygładził włosy. Były siwe. Miały ten odcień polerowanej stali, który cechuje głowy mężczyzn, prowadzących higieniczny tryb życia.

- Cieszę się, Gil - powiedział idąc szybko w stronę łazienki. - Kiedy start?

Nie mogę mieć pretensji, że im się spieszy. Zatrzymałem ich dostatecznie długo. Tylko kto ich prosił?

- Nie mówiliśmy jeszcze o odlocie - mruknął Guskin. Ale Musparth był już wewnątrz niszy. Dobiegł stamtąd szum oczyszczającego gazu.

- Pogadajcie sobie - powiedziałem, wstając może do czegoś dojdziecie. Idę się przejść. Gdybyście chcieli znowu oczyścić kawałek lasu, będę na skraju polany.

Odruchowo dotknąłem bandaża i nie oglądając się na nich wyszedłem z kabiny. Nikt mnie nie zatrzymywał.

Dochodziło południe. Pracowali rozebrani do pasa, Nysa i Yba w skleconych naprędce kostiumach kąpielowych. Przynajmniej pod tym względem pozostały z krwi i kości kobietami z Ziemi. Pomimo upału i pracy, jaką wykonywały, obie były nienagannie uczesane.

- Gil! - usłyszałem za sobą.

Odwróciłem się. Głos dobiegał z góry. W otwartym włączniku stał Gus i kiwał na

mnie ręką. Zawróciłem niechętnie i podszedłem kilka kroków bliżej spoczywającej na trawie platformy.

- O co chodzi? - rzuciłem, zadzierając głowę.

- To był wypadek - krzyknął, nie dość głośno jednak, żeby go mogli usłyszeć ci na farmie. - W y p a d e k - powtórzył, jakby niepewny czy zrozumiałem.

Jasne, że wypadek. Co mieli im powiedzieć? Że zabawili się w wiedźmę z bajki o Jasiu i Małgosi?

Ciekawe, czy zanim to zrobili, rozmawiali także z nim samym. Z Piotrem. Tym, którego już nie ma. Czy jemu także wytłumaczyli, że to będzie wypadek?

Wolałbym ulec takiemu wypadkowi, niż być jego sprawcą. Pomimo, że nie wiem co sam zrobiłbym na ich miejscu.

Na szczęście, jakkolwiek postąpiłbym będąc kim innym, nie zmienia to faktu, że jestem sobą. I nadal nie wiem, co to oznacza.

Postąłem chwilę w rzece, przyglądając się wodzie, opływającej moje kolana. Była chłodna ale nie zimna. Pomyślałem o kąpieli.

Obrazek jak z pionierskiego filmu. Sprzed tysiąca lat. Przyczynek do historii osadnictwa, bo ja wiem? W Kanadzie? Nowej Zelandii?

Wyszedłem na brzeg i nie spiesząc się zmierzałem w stronę budowy. Była na ukończeniu. Obszerny plac został zamknięty stromym nasypem, który automaty umocniły ostro zaciosanymi palikami. W dwóch miejscach obwałowanie rozszerzało się, tworząc okrągłe platformki. Zmontowano na nich zestawy radiolatarni i anten dalekiego zasięgu, nie tak dalekiego jednak, by mogli nawiązać łączność z układem słonecznym. Oczywiście, jeśli zechcą, zbudują silniejsze. Zajmie im to ładnych parę lat.

Przeszedłem wzdłuż wschodniej ściany nasypu i znalazłem się na wprost bramy. Jej skrzydła zbudowali na wzór wrót prowadzących do prasłowiańskich chramów. Nic nie wiem o tych chramach ale przysiągłbym, że tak właśnie musiały wyglądać.

Wchodziło się na obszerny plac, świecący wydeptanymi w trawie łysinami, zamknięty po obu stronach niskimi, prostokątnymi kopcami. W długich, wpuszczonych głęboko w grunt pomieszczeniach zlokalizowano całą energetykę i przetwórstwo surowcowe. Nie było tego wiele. Jeden mały stos, uniwersalny, pracujący na pierwiastkach ziem rzadkich, bateria przemienników laserowych, tunele siłowe do przeróbki rudy. W porównaniu z wyposażeniem najmniejszej bazy, na byle

asteroidzie, było to ubóstwo sięgające prymitywu. Nie, żebym ich żałował. Pomyślałem o Sennisonie i Reussie, tych z Idiomu. To co zdecydowali się dać kopiom świadczyło lepiej o ich własnym zakłopotaniu, niż wszystkie możliwe słowa. Jak na ludzi, kopie dostały setną część tego, co powinny. Jak na prekursorów nowej rasy kosmicznej, stokrotnie za dużo.

W głębi wznosiły się ściany niskiego, obszernego budynku mieszkalnego. Z czasem zechcą go pewno zamienić na mniejsze, coś w rodzaju pawilonów. Ale to ich sprawa.

Dalej widoczne były tylko baraki laboratorium chemicznego, magazynu, dwa małe budyneczki o nieznanym mi przeznaczeniu i stacja łączności.

Wszedłem na środek placu i zatrzymałem się. Na wprost mnie odwróceni tyłem Mogue i Musparth zajęci byli łączeniem jakichś kabli. Ubrojeni w długie, przezroczyste rękawice przekładali lufę czujnika z jednej strony przewodu na drugą, jakby szukając przyczyny defektu styków. Musparth odwrócił w pewnej chwili głowę, spostrzegł mnie i coś powiedział. Nie dosłyszałem odpowiedzi. Wydało mi się tylko, że Mogue pochylił się odrobinę głębiej.

Z głównego budynku wyszła Nysa. Rozejrzała się i zaczęła iść w stronę Yby, która robiła coś na podwyższeniu, sięgającym połowy wysokości ściany laboratorium. Musiała mnie zauważyć. Ale nie dała tego poznać po sobie.

Za to Reuss, ten pierwszy, którego nazywaliśmy "naszym", zdecydowanie pokazał mi plecy. Jakby naprawdę wierzył, że sprawia mi tym przykrość.

Sprawił ją jednak. Nie tym, że odwrócił się ode mnie. Tym, że go zobaczyłem. Że przez mgnienie musiałem patrzeć prosto w jego twarz.

Poczułem przypływ fizycznego wstrętu. Omal nie zwymiotowałem. I znowu uderzyła mnie myśl, że w tym absurdalnym odruchu, mieści się odraza do samego siebie. I znowu musiałem sobie powiedzieć, że to nie ma znaczenia.

Szedłem w stronę bramy sztywno wyprostowany.

Wiedziałem już nie tylko, że zostanę tutaj. Także, że nie zostanę z nimi. Nie w tej kotlinie, przedzielonej rzeką i do połowy porosłej kuleczkowatym lasem. Nie na tej półkuli. Nie na tym globie.

Niech sobie startują, kiedy tylko zechcą. Im wcześniej, tym lepiej. Przynajmniej dla nich. Przedtem jednak zbudują mi uczciwą bazę. Wyposażoną tak, żeby człowiek, prawdziwy człowiek, czuł się tam na swoim miejscu.

Przyspieszyłem. Zrezygnowałem ze spaceru po lesie. I nie przyglądałem się

już wodzie w rzece. Poszedłem prosto do miejsca lądowania Idiomu, wszedłem w cień padający od pletwiastej obudowy dyszy i stanąłem na platformie windy. Sunąc w górę przyjrzałem się mimochodem kadłubowi. Spędzi w stoczni ładnych kilka tygodni. Sen i Gus zajmą się w tym czasie życiem towarzyskim. Może wybiorą się w góry.

Pomyślałem, kto wprowadzi się do mojej kabiny w bazie na Proksimie. Ktokolwiek to będzie, posiedzi kilka dni przy demontażu "doktora" i pokrewnych mu automatów. Chyba, że trafia na takiego samego odludka jak ja. Nie bardzo w to wierzę.

Pomyślałem, że teraz nie zawracałbym sobie głowy moimi doktorami. Kto wie, czy sam nie posłałbym ich na złom. Nie, żeby sprawić satysfakcję "Technicznemu". Nie wiem dlaczego. Postarzałem się?

Osadziłbym każdego, kto jeszcze kilka dni temu szepnęłyby złe słówko o mojej "prywatnej" aparaturze. Kazałbym mu pilnować własnego nosa.

Więc skąd teraz...? Piotr?

Poczułem szum w skroniach. Znowu ujrzałem twarz kobiety, o której nie potrafiłbym powiedzieć nic, poza tym, że ją znam. I to dobrze.

Najprościej byłoby sprawdzić te... różnice, porównując posiadaną wiedzę. Ale on także był cybernetykiem. Przeszedł te same stopnie specjalizacji, co ja.

Muszę wziąć się w garść. Wykreśliłem z mojego życia przeszłość. Ze wszystkimi jej atrybutami i konkretami, nie wyłączając ludzkich twarzy.

Piotr, kulący się pod moim wzrokiem i Reuss pokazujący mi plecy. Całkiem, jakby wiedzieli, co sądzić o tym... wypadku.

Nonsens. To przez ten "seans", w trakcie którego, im się nie udało. A jeśli nawet... czy i bez tego można myśleć o jakimkolwiek wzajemnym stosunku? Poza udawaniem, że samym swoim widokiem nie sprawiamy sobie kłopotu i przykrości?

Nie pomyślałem o jednym, sunąc wzdłuż pancerza i przyglądając się śladom, jakie pozostawiła na nim próżnia. O tym, że zobaczę go jeszcze jeden jedyny raz w życiu. Kiedy będę opuszczał statek, zjeżdżając do mojej nowej bazy.

W kabinie panowało milczenie. Nadchodząc korytarzem nie słyszałem ich głosów. Mimo to wyglądali, jakby ktoś przerwał w połowie wygłaszane właśnie zdanie. Jedno ze zdań, w żadnym razie nie przeznaczonych dla moich uszu.

- Naradziliście się? - spytałem. - I co?

- Czekaliśmy na ciebie - powiedział Sen. Trudno o lepsze kłamstwo. Lepiej

zamaskowane.

Jakby ktoś wlał w piszczalki organów beczkę szarego mydła.

- Sen miał na myśli, że postanowiliśmy dostosować się do ciebie. Na Reussa nie możemy liczyć. Mówi, że właściwie mógłbyś już lecieć, ale jak każdy w jego sytuacji dodaje, że powinieneś mieć jeszcze trochę spokoju.

Właśnie. Czego mi trzeba, to spokoju.

- Nie lecę z wami - powiedziałem. - I proszę, żeby nikt nie tłumaczył, co chciałem przez to powiedzieć.

Znowu nastąpiła cisza. Trwała dłużej, niż przed chwilą. Tak długo, że mogła oznaczać tylko jedno: mówili o tym. Ale nie osiągnęli porozumienia. W każdym razie takiego, żeby zadawała wszystkim. Żeby mogli spojrzeć mi w oczy.

Zrozumiałem dość. Pozwolą mi zostać. Nie użyją podstępów. Ani siły. Dobre i to.

- Nonsens, Gil - Guskin westchnął i pokręcił się niespokojnie w fotelu. - Nie wiesz, co mówisz. Żaden z nas na to nie pozwoli... Pomyśl, co powiedzielibyśmy w bazie...

Już się wycofuje. To ostatnie zdanie wyjaśniło mi wiele. Proszę bardzo. To mogę jeszcze dla nich zrobić. - Tu was boli - mruknąłem. - Dobrze. Mówmy konkretnie. Powiecie im, że kopie zachowały potencjalną agresywność. Nikt nie może przewidzieć, kiedy i gdzie należy się liczyć z jej reaktywizacją. Co, może tak nie jest? - dodałem zaczepnie. - Powiecie dalej, że zostawiając ich na tej planecie, musieliśmy wyposażyć ich w aparaturę i technologię, która jako baza wyjściowa otwiera przed nimi daleko sięgające perspektywy. Żaden z was nie może zaprzeczyć, że to prawda. Powiecie - ciągnąłem - że w tych okolicznościach byłoby szczytem lekkomyślności, pozostawianie ich bez nadzoru. I to nie z odległości tych kilkudziesięciu parseków. Takiego, żeby zapewniał operatywność działania, jeśli do niego przyjdzie. Inaczej mówiąc, ktoś musiał tu zostać. Opowiecie - dodałem niezmiennym tonem - co się zdarzyło. I że ja sam o to prosiłem. Ponieważ jednak kopie mają dać początek autonomicznej rasie, nadzór nie powinien nosić cech sterowania. Interwencję przewidujemy tylko w obliczu czegoś naprawdę poważnego. Dlatego nie zostałem z nimi, na Czwartej. Zbudowaliśmy bazę na satelicie, wyposażoną we wszystko, co...

- Nie! - zawołał Guskin. Tym razem zabrzmiało to szczerze.

- Nie przerywaj. Pracuję w tej chwili na wasze konto. A więc, zbudowaliśmy bazę i z niej właśnie "Cybernetyczny Gil" przygląda się kopiom, gospodarującym na

swojej farmie...

- Gil, proszę cię... - zaczął Gus.

- Znowu? - spytałem łagodnie. - Raz już usłyszałeś coś o czułościach. Bądź wyrozumiały. Ostatecznie, jestem rekonwalescentem.

To go ruszyło. Wstał i odepchnął oparcie fotela aż zafurgotało.

- Róbcie co chcecie - wyrzucił z siebie. - Ja nie biorę w tym udziału.

- Obejdzie się - przystałem. - Załatwią to za ciebie. Nie rozumiesz, że sprawa jest przesądzona? Zresztą, wymyślcie coś innego. Dodajcie kilka przymiotników. To wasza specjalność. Na przykład o pionierskich rozkoszach prowadzenia badań w tym układzie. Nawiasem mówiąc zostawicie mi tam zestaw automatów pomiarowych. Nie będę się nudził. Tego możecie być pewni.

- Jak długo masz zamiar tam siedzieć? – spytał Sen.

- Dość długo, żebyś nie musiał troszczyć się o bramę tryumfalną na mój powrót. Jeszcze coś?

Guskin, który od kilku minut stał przy iluminatorze, odwrócony do nas plecami mruknął coś niezrozumiale, machnął ręką i wyszedł. Odprowadziłem go wzrokiem.

- On już zrozumiał - zwróciłem się po chwili do pozostałych. - Ciekawe - spojrzałem na zegar o ile was wyprzedzi. Długo dacie mi jeszcze nad sobą pracować?

Sennison wyprostował się. Był zły.

- Takich jak ty - warknął - powinno się trzymać z daleka od normalnych ludzi. Możesz doprowadzić do...

- Brawo! zawołałem. Jednak doszło to wreszcie do ciebie.

Wzruszył ramionami i zamilkł.

- Sen chciał powiedzieć, że tacy jak ty...

- To znaczy kto? - przerwałem znowu. - Gil? Czy Mogue?

Teraz on na odmianę.

- Nie odczujesz mojej nieobecności, Sen - dodałem. - Nie jestem z tych, którzy potrafią w każdej chwili wytłumaczyć co mianowicie chciałeś powiedzieć naprawdę. Zwłaszcza wtedy, kiedy trafiasz w dziesiątkę. Odpowiedzcie wreszcie Musparthowi - zwróciłem się do milczącego biomatematyka. Kiedy start?

- Ależ mnie się nie spieszy... - wyjąkał szybko Musparth.

- Nie kłam, Mus - uśmiechnąłem się. - I pamiętaj, że czeka nas trochę pracy na satelicie. Automaty automatami ale samo programowanie bazy zajmie kilka dni. A

czas biegnie...

- Lecimy jutro - uciał Sen.

Tak było dobrze.

Nie zdradzili się jednym gestem, nie mówiąc o słowach, że ta decyzja przyniosła im ulgę. Może naprawdę woleli nie zostawiać kopii samych. W tym co mówiłem było coś więcej, niż papka, którą zakleją buzie towarzyszom z Proksimy. Nawet, jeśli to coś samo nie przesądzało o niczym. Co do badań, znajdowaliśmy się w nietkniętej przez ludzi części galaktyki. Naprawdę warto dowiedzieć się czegoś o układzie, który bądź co bądź wydał istoty technologiczne. To, że te istoty nie przeżyły pierwszego kontaktu z naszą cywilizacją, ograniczało wprawdzie zakres badań do historii, ale i z historii można się podobno czegoś nauczyć. Tak przynajmniej z uporem twierdził "Techniczny".

W gruncie rzeczy wszystko to plewy. Stwierdziłem, że nie należę do żadnego ze światów. Podsunąłem argumenty, które miały im pomóc w przyjęciu tego stwierdzenia do wiadomości. W rzeczywistości świadomie, z wyrachowaniem, kładłem dymną zasłonę. Rozumieli to tak samo dobrze jak ja. Ale te argumenty usprawiedliwiały ich przed nimi samymi. Czekali na to tylko. Skąd mieli wiedzieć z kim właściwie mają do czynienia? Pomimo wszystko, co mówił Reuss. Lepiej mnie zostawić, niż dyskretnie czekać, kiedy zacznę warczeć na ludzi i rozglądać się za tym czarnym lśniącym przedmiotem, który kopie wynosiły z oceanu. Pozostało przyznać się do porażki. Albo uznać, że zwariowałem. A to akurat nie zdarza się pilotom. Nawet tak gadatliwym jak Sennison.

I dlatego nie potrzebowałem żadnego gestu z ich strony aby wyczuć, że po słowach: "lecimy jutro" spadł im kamień z serca.

Zresztą, wiedziałem że tak będzie zanim padły te słowa. Gdyby nie to, kto wie, może siedziałbym cicho?

Nie. Wystarczyła ta twarz, o której nie chciałem myśleć. Przez którą nie mogłem wracać pamięcią do żadnego z tysięcy klocków, z jakich życie budowało w ciągu trzydziestu kilku lat moją osobowość. Nie mówiąc o innych twarzach.

Właz transportowy zamknął się za ostatnim z automatów, które wznosiły farmę a następnie otaczały statek ochronnym kordonem. Grodzie paliwowe były pełne. Od strony rzeki jaśniał świeżo usypany wał który miał uchronić brzeg przed spalaniem przy pierwszym uderzeniu dyszy startowych.

Czekaliśmy tylko na Guskina. Oczywiście, on był tym, który poszedł "pożegnać" kopie w imieniu ludzi. Nie wszystkich. To znaczy nie w moim. Gotów się byłem założyć, że misji poinformowania kopii o pozostającym w ich sąsiedztwie aniele stróżu nie powierzą komu innemu. To znaczy, nikt prócz niego jej się nie podejmie.

Minęło dobre pół godziny, od kiedy zniknął pod okapem, ochraniającym wejście do głównego budynku. Przez ten czas w kabinie nie padło jedno słowo. Przynajmniej tyle.

Wyszedł w końcu. Przez chwilę wydawało się, że jest sam. Ale tamtym się po prostu nie spieszyło. Inaczej niż jemu.

Byli w komplecie. Yba, Nysa, Reuss, Musparth i Musparth. Pomyślałem, czy dwaj ostatni dojdą kiedyś do porozumienia i porobią sobie chociażby znaczki na czole, jak średniowieczne Hinduski.

Ostatni szedł Mogue. Sam. Ten pozbył się kłopotu. Nie bez mojego udziału.

Nie poszedłem na grób. Nie pytałem, czy wybrali mu las, czy łąkę. Raczej las. Z otwartego wjazdu Idiomu roztaczał się tak rozległy widok na zieloną równinę, że świeży pagórek musiał kłuć ich w oczy. W lesie co innego. Wystarczy wejść za drzewo i nic nie widać. Tak, o ile ich znam, to jednak był las.

Nie interesowało mnie, czy on wie, gdzie to jest. I czy tam był. Przeszło mi tylko przez myśl, że jeśli istnieje jeszcze coś, co byłoby mnie w stanie poruszyć, to jego widok tam, w tym miejscu.

Guskin szedł szybko. Głowę trzymał nisko pochylona, jakby uważał, żeby nie nadepnąć na zmiję. I nie obejrzał się ani razu, do samej bramy.

Nysa i Yba trzymały się z tyłu w odległości kilku kroków. W pewnym momencie Reuss zrównał się z nimi i coś powiedział. Wtedy Gus przystanął. Czekał. Ale nie odwracał głowy.

Reuss zrobił kilka kroków i zatrzymał się również. Patrząc cały czas w plecy Guskina dał ręką znak idącym za nim. Stanęli, zbici w ciasną gromadkę.

Teraz Gus uniósł głowę i spojrzał za siebie. Chwilę stał bez ruchu, jakby czekając na słowa, które powinny paść. Wreszcie zrozumiał, że Reuss nie ma już nic do dodania. Wyprostował się i ponownie odwrócił w stronę bramy. Rozłożył ręce. Podśłuch był wyłączony ale po ruchu jego warg poznałem, że powiedział "nie wiem".

Kiedy znalazł się za bramą i szedł w stronę rzeki, jego plecy pochyliły się znowu. Nie patrzył dalej, niż metr przed czubkami własnych, ciężkich butów. Poszedł

bez kasku, ale w kompletnym skafandrze próżniowym.

Usłyszeliśmy szum windy, potem głuchy stuk klapy, która zatrzasnęła się za jej prowadnicami i równocześnie zgasło, jak zdmuchnięte, światelko ostrzegające że właz jest otwarty. Zciemniała lampka czujnika śluzy.

- Do startu - powiedział Sennison.

Usłyszałem, że Gus usadowił się już na zwykłym miejscu. Byliśmy gotowi.

- Tlen! - rzucił Sen. Nie wytrzymał i dodał:

- Czego oni chcieli?

Guskin nie odpowiedział.

- Mówili coś o... Ziemi?

Milczenie.

Czego się spodziewał? Że za naszym pośrednictwem przekażą komuś ukłony? Nawet gdyby tak było, ja przynajmniej wolałbym o tym nie wiedzieć. To znaczy, na jego miejscu.

- Powiedziałeś, kto z nimi zostaje? I po co? - spytałem.

- Uhm - mruknął Guskin. - Startujemy już - dodał.

Sen dał sygnał. Głuche dudnienie pod pokładami przeszło w ciągły grzmot. Jeszcze ułamek sekundy i w bocznych iluminatorach ujrzeliśmy sunące kotłową strugi płonącego gazu. Wskaźnik przyspieszenia drgał, odbijając od pozycji zerowej. Minęły dwie sekundy zanim ucichł i z rosnącą łagodnie szybkością zaczął się pięć ku szczytowi tarczy.

- Pytali - powiedział Guskin, kiedy wychodziliśmy z atmosfery - czy za twoim pośrednictwem także nie wolno im porozumiewać się z Proksimą...

Obiecywali sobie po mojej obecności więcej niż ja sam.

- Co im powiedziałeś? - spytałem.

- Że na ich miejscu myślałbym o sprawach tego świata. I nie zaprzętałbym sobie głowy pytaniami, na które nie ma odpowiedzi.

- I co jeszcze?

- Nic - burknął.

Osiem razy opasaliśmy pierwszy księżyc Czwartej, zanim uznali, że teren będzie odpowiedni. Jakby wszystkie miejsca na tym nagim, upstrzonym ostrymi szczytami i martwym od zarania dziejów globie, nie były dokładnie takie same. W każdym razie tak samo odpowiednie. Jeśli już upierać się przy tym określeniu.

Wybierali tak troskliwie, jakby szukali placu pod budowę ochronki. Potrzebowali tego, musieli się upewnić, że zrobili dla mnie wszystko co w ludzkiej mocy.

Łądowaliśmy o drugiej po południu, czasu bazy. Godzinę później szczyt łagodnego skalnego wyrzuszenia był już ścięty. Na powstałej w ten sposób platformie automaty rozpętały chemiczne piekło budowy.

Wziąłem łazika i pojechałem wytyczyć punkty pod przyszłe stanowiska obserwacyjno-pomiarowe. Nie spieszyłem się. Zabrałem zapas koncentratów i wody, jaki całej ekipie starczyłby na tydzień.

Zabawiłem wszystkiego czterdzieści osiem godzin. Kiedy wróciłem, podziemna część budowli była gotowa. Szyb o promieniu trzech metrów sięgał w głąb, do najciekawszych z punktu widzenia syntezy pokładów geologicznych. Jego ściany zastygły w ciągu kilku minut, oblekając się gładką jak szkło powłoką. Grodzie energetyczne, generatory przyspieszników i laserów były wyposażone i zamknięte od góry podłogą kopuły mieszkalnej. Ta ostatnia, wstrzeliwana w formy stabilizowane polem siłowym rosła w oczach.

Wybrałem kilka automatów i pieszo już zacząłem wędrować od jednego wybranego miejsca do drugiego, instalując aparaty rejestrujące, radiolatarnie, sondy, łączność i co tam jeszcze brakowało, do skompletowania sieci informacyjnej z prawdziwego zdarzenia. Zajął mi to pełne cztery doby. Po powrocie zastałem bazę gotową.

Wszedłem do śluzy, zrzuciłem skafander i zatrzasnąłem za sobą klapę. Rozejrzałem się.

Tak, to nie było zrobione dla kopii. Kalkulator z kompletem przystawek. Aparatura diagnostyczna i zaplombowana pokrywa stymulatora. Pulpit łączności. Rozrząd energetyczny. Sterowanie stosu i programowe bębny miotaczy. Automatyczna dyspozytornia.

Pośrodku, odwrócony tyłem do głównego ekranu siedział Guskin. Tkwił w niskim, pianowym fotelu i wyglądał, jakby czekał tak, w niezmienionej pozycji, okrągły tydzień. Wodził za mną wzrokiem ale nie mruknął nawet, kiedy wszedłem.

Nie patrząc w jego stronę podszedłem do pierwszego ekranu i wyświetliłem schemat stacji. Wezwałem automatyczne czujniki zainstalowane we wszystkich newralgicznych punktach konstrukcji i samej budowli. Jeden po drugim meldowały w swoim świetlnym języku, że wszystko jest w porządku. Przyjąłem to do wiadomości,

odczekałem chwilę i wygasilem tarczę. Wszedłem w prawa gospodarza.

Minąłem pulpit łączności, musnąwszy wzrokiem tor zarezerwowany dla Ziemi, a właściwie dwa tory, bo jeden dla częstotliwości Proksimy a drugi Centralnej Rozdzielni Informacyjnej na Pacyfiku i zatrzymałem się przed głównym ekranem. Przyjrzałem się klawiaturze i rozjaśniłem tarczę.

Przez chwilę migały mi przed oczami barwne linie, jakieś nieregularne i cudaczne sinusoidy. W końcu aparatura dostroiła się i nagle wyrosły przede mną zabudowania farmy. Brama amerykańskiego fortu z czasów wojen indiańskich. Nie wiem dlaczego wtedy, na dole, pomyślałem o jakimś chramie. Obszerny dziedziniec porośły częściowo trawą i zamknięty podłużnymi nasypami. Ogrodzenie z wieńczącymi je talerzami i pajakami anten. Laboratorium z niską, opasłą wieżą. I główny budynek, przed którym widniały sylwetki kubek w kubek podobne do ludzi.

Więc to będzie moje zajęcie. Ten ekran. Przybliżyłem obraz.

Ujrzałem ich twarze. Nysa, z reklamowego filmu, zachwalającego uroki wakacji w którymś z rezerwatów. Reuss, ponury, ze ściągniętymi brwiami. Wyglądał jak średniowieczny wódz, który za chwilę będzie musiał dać sygnał odwrotu. Tylko że starożytni wodzowie nie paradowali w slipach. A poza tym istnieli naprawdę.

Mogue. Piotr.

Odruchowo objąłem dłonią szyję. Rozpiąłem bluzę i próbowałem zaczerpnąć powietrza.

Więc takie będą moje emocje.

Wygasilem ekran i odwróciłem się. Zajrzałem do łazienki i wracając przystanąłem przed pulpitem łączności. Tuż obok niego widniał stolik z przystawką pióra świetlnego. Na wysokości głowy człowieka prostokątny ekran elektroniczny. Czyżby sądzili, że zechcą pisać pamiętniki? Chociaż, jeśli się zastanowić, dlaczego nie miałbym spróbować i tego? Wszystko wskazuje, że czasu będzie dość.

- Nie chcę cię zatrzymywać - powiedziałem, nie odwracając się - możesz uznać, że delegacja pożegnalna wywiązała się z zadania. Swoją drogą - dodałem - zdobywasz nową specjalizację. Uroczyste pożegnania. To może się przydać.

Nie odpowiedział. Odszedłem pod przeciwległą ścianę, usiadłem i spojrzałem mu w oczy. Mój głos brzmiał teraz głucho. Wnętrze było doskonale wytłumione.

- Na co jeszcze czekasz? Zapominasz, że to ja jestem tu gospodarzem. I nikogo nie zapraszałem.

- Dobrze, dobrze - odezwał się wreszcie. - Gil?

- Co?

- Wrócisz?

- Idź, uzgodnij to z tamtymi - burknąłem. - Podyskutujcie. Co do mnie, powiedziałem swoje.

- To nie jest odpowiedź - mruknął.

- Jakie pytanie, taka odpowiedź. Coś jeszcze?

- Gil, mnie możesz powiedzieć. Wrócisz?

- A dajże mi święty spokój - huknąłem. - Co sobie u licha wyobrażasz? Że czekam, aż mnie poprosisz?

- Gil...

- Wynoś się - syknąłem. - Nie rozumiesz?

Siedział jeszcze chwilę bez ruchu, po czym potrząsnął głową i wstał.

Odwrociłem się, kiedy zapinał skafander. Usłyszałem jego oddalające się kroki.

Zgrzyt otwieranej klapy śluzy. Cisza.

- Pamiętaj jedno - dobiegł mnie jego głos. - Na pierwszy sygnał, przylecę po ciebie. Wystarczy, że otworzysz tor powiesz dwa słowa. Jeśli nie chcesz słuchać, nie powiem słowa więcej. Ale to musisz wiedzieć. I zapamiętać, że nie co innego usłyszałeś na pożegnanie. Do widzenia.

- Cześć - mruknąłem.

Stuknęła klapa... Sekunda i dobiegł mnie szum powietrza uchodzącego z komory śluzy.

Poszedłem do łazienki. Odkręciłem wszystkie dysze gazu oczyszczającego, żeby nie słyszeć silników Idiomu. A zwłaszcza, gdyby przyszło im na myśl coś jeszcze do mnie mówić.

Po pięciu minutach mogłem już wyjść. Zatrzymałem się w rogu niszy i raz jeszcze zlustrowałem kabinę. Mój wzrok zatrzymał się na przystawce pióra świetlnego.

Dziewięć krótkich, stłumionych dźwięków. Dziewięć.

Cofnąłem zapis i spojrzałem na ostatnie zdania.

Tak, to wszystko. Moja opowieść o losach wyprawy ratunkowej w rejon Gwiazdy Feriego, dobiegła wreszcie końca.

Chwilę wpatrywałem się w ekran, jakby czekając na coś, co powinno nastąpić, po czym wrzuciłem ramionami i wyłączyłem aparaturę. Nie spodziewałem się

niczego po tej chwili. Poza koniecznością rozejrzenia się, co dalej.

Od wczoraj wiem, że obejdzie się bez rozglądania. Mało tego. Od wczoraj musiałem się spieszyć. W każdym razie mogłem. Miałem do czego.

Tak czy inaczej dobrze, że mam to za sobą. Zwariować można nie tylko od czytania starych historyjek, jak Don Kichot. Od pisania również.

Podniosłem się i poszedłem popatrzeć na farmę. Był późny wieczór. Budynki i kopie rzucały groteskowo wydłużone cienie. Wieża laboratorium wyglądała jak wykuta z czarnego bazaltu. Wiedziałem aż nadto dobrze, że jej skalne ściany, to pozór. Parawan, który w każdej chwili można przenieść do innego kąta. Przez cały czas, kiedy siedziałem za pulpitem pióra świetlnego, nie przestawałem o tym myśleć. To znaczy od wczoraj.

Wiedziałem, co zrobię. Polecę tam. Pojutrze a może nawet jutro. Nie zdążą wyjść "do pracy". Zastanę ich tam, w podziemiach. Odejdę, poczekam aż porozmawiają i wrócę znowu. Wysłucham, co będą mieć do powiedzenia.

Dłuższą chwilę wpatrywałem się w ekran. Yba, nisko pochylona nad stołem, robi coś z czyjąś bluzą czy koszulą. W żadnym razie nie mogła to być damska koszula. Nie wiem czemu zdawało mi się, że pierwsza będzie Nysa. Ale skąd mogę wiedzieć, czy tak nie było. Myśleliśmy o tym. Gdyby miało być inaczej, nie powstałaby żadna kolonia na Czwartej. Czy gdziekolwiek indziej.

W przyszłości nie powinni mieć kłopotów. Reuss jest biochemikiem. Umie więcej niż zwykli lekarze. Potrafi nawet przeszczepiać mózgi. Mogue ma takie same kwalifikacje jako cybernetyk, jak na przykład ja. A ostatecznie czymże jest wychowanie, jak nie sterowaniem? Szkolnym przykładem sterowania?

Reuss potrafi przeszczepić mózg... Pomyślałem to i zaraz poszedłem dalej w moim rozumowaniu. Jakbym stwierdził, że robi się ciemno. Albo coś w tym rodzaju.

Oto, jak jest z naszą pamięcią. Minął zaledwie dzień, a ja zapomniałem już, jak to było, kiedy musiałem dobrze trzymać cugle, żeby opanować mdłości. Nie tylko patrząc na nich ale wspominając Piotra czy Reussa. Uczucie dławiącego krtań wstrętu, wrogości, stało się naraz równie odległe, jak zapamiętane z dzieciństwa postanowienie otrucia babki, kiedy nie pozwoliła mi wyjść z domu.

Zapamiętane z dzieciństwa? Czy to nie za wiele?

Wzruszyłem ramionami.

Piotr wstaje. Daleko odsuwa krzesło, prostuje się i mówi coś do Muspartha. Drugi Musparth ukazuje się pod okapem budynku i zaraz znowu niknie w cieniu. Yba

podnosi głowę i uśmiecha się do Piotra. Ten kiwa głową i odchodzi. Może prosiła, żeby przyniósł jej nową szpulkę nici?

Tak. Polecę tam. Potem dopiero zawiadomię Proksimę. Muszę wiedzieć, o co chodzi. Może to tylko zabawa? Modelarstwo?

Nonsens. Nie wolno mi chować głowy w piasek. Mimo to nie otworzę tego toru, o którym wspomniał Gus na odchodnym. Jeszcze nie. Pojutrze. Jutro. Kiedy wrócę stamtąd.

Uśmiechnąłem się i zgasilem ekran. Zastanawiające, że nie muszę się już bać własnego uśmiechu.

Własnego? To znaczy czyjego?

Ile razy powtarzałem tu, w tej kabinie, podobne pytania? Ile razy wbijałem sobie potem do głowy, że są bezprzedmiotowe? Wobec konkretnej sytuacji, w jakiej się znalazłem?

Co właściwie spowodowało tę zmianę? Uśmiech Piotra? Mój własny? Czy to, co zobaczyłem w tej wieży?

A jeśli po prostu minął czas, jaki był potrzebny abym odzyskał świadomość granic, do jakich człowiek może posunąć się bezkarnie, działając na przekór własnej osobowości?

Nie warto tego dochodzić.

Przynajmniej w tej chwili.

Pójdę odwiedzić posterunki. Sprawdzę zapisy, wymienię bębny z taśmami. Wrócę, zjem coś i pójdę spać. Dziś po raz pierwszy zasnę przed drugą. I to nie dlatego, że skończyłem opowieść, przeznaczoną dla... mniejsza z tym. Nie. Po raz pierwszy jestem całkiem zwyczajnie śpiący.

Rzuciłem okiem w stronę pulpitu łączności. Zielone oczko, sygnalizujące obecność depeszy z Ziemi, mrugało nieprzerwanie. Nie szkodzi. Dzisiaj nie chce mi się już po nią sięgać.

A może czuję, że nie jestem gotowy do udzielenia odpowiedzi?

Tym razem szedłem na wprost. Prowadziłem sam. Wyłączyłem nawet fonię w kalkulatorze. Zostawiłem tylko siatkę współrzędnych na ekranie. Jakby nie było, tym korytarzem schodziłem po raz pierwszy.

Nad rzeką poszedłem świecą w górę i nie włączając hamownic sterowałem dyszami głównego ciągu. Utrzymałem stateczek w pionie. Poszło jak po maśle. Siadłem metr, może półtora, od środka koła, wypalonego w czasie ostatniego startu.

Oczywiście, musieli mnie złapać na radar. Od kilkunastu minut byli uprzedzeni. Dość, żeby się schować. Zaaranżować "zwykły dzień pracy". Za mało, aby usunąć ślady dzisiejszej krzątaniny w "laboratorium".

I dlatego byłem pewny, że zastanę ich wszystkich. Zresztą, po raz pierwszy zdarzyło się, że przylatuję nie zapowiedziany, niezgodnie z miesięcznym rozkładem jazdy i do tego dwa dni po zwykłej wizycie. Taka nagła "inspekcja" nie wróżyła niczego dobrego. Trudno, żeby myśleli inaczej.

Myliłem się. Na spotkanie wyszedł mi sam Mogue. Nie do bramy. Stał pośrodku dziedzińca, mrużąc oczy, bo słońce świeciło mu prosto w twarz. Czekał.

Zbliżałem się do niego powoli, spoglądając w prawo i lewo, jak człowiek, który z daleka już chce aby wiadano, że przybywa, nie mając nic do powiedzenia. W każdym razie nic przyjemnego. Kiedy dzieliło nas nie więcej niż pięć kroków, stanąłem.

- Dzień dobry, Piotrze - powiedziałem.

Pierwszy raz nazwałem go po imieniu. Przyjął to drgnienia.

- Znowu zostawili cię samego? - spytałem. - Dokąd dzisiaj poszli? Nad morze? Czy dalej pracują w polu?

Nie odpowiedział. Na moment przymknął powieki, po czym wyprostował się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Przy takiej pogodzie trudno usiedzieć w domu - ciągnąłem. - Ale to u was normalne. No więc?

Przez jego lewy policzek przebiegł kurcz. Twarz mu spochmurniała.

- Przecież wiesz - powiedział.

Nie było w tym nic z przyznania się. Zmieszania. Nie miał sobie nic do wyrzucenia. Był po prostu zły, że tak stawiam sprawę.

- Domyśliłeś się, że tam byłem? - spytałem. - Już wtedy?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Dla mnie tak - powiedziałem.

- Nie - odparł. - Ale coś innego mogłem pomyśleć, kiedy cię dzisiaj zobaczyłem. Mniejsza z tym - dodał, odwracając się na pięcie. - Proszę. Oni są tam.

Nie oglądając się ruszył w stronę laboratorium.

Chciałem mu powiedzieć, żeby poczekał. Zatrzymać go. Ale stałem dalej, bez słowa, patrząc jak odchodzi. Przyglądałem się jego plecom, sztywno wyprostowanym, jakby sprawiały mu trochę kłopotu.

Był już blisko głównego budynku, kiedy zorientował się, że nie słyszy moich kroków. Staął i obejrzał się. Ramiona mu opadły.

Rozejrzałem się. Poza nami nie było żywej duszy. Obszerny, zalany słońcem plac, otoczony ogrodzeniem. Za nim ściana lasu. Od strony rzeki schodzący nisko i ciągnący się w nieskończoność błękit.

Minęły dobre dwie minuty, zanim się poruszyłem. Zrobiłem to jakby z żalem. Atmosfera, jaką oddychałem w bazie była skomponowana według wszelkich prawideł sztuki. Ale to co innego. Tak jak ekrany nie zastąpią przestrzeni, a najlepsze chemiczne oświetlenie słońca.

Inaczej niż z ludźmi. Tych z powodzeniem można wymienić na automaty. Wiedziałem coś o tym.

Tylko nie byłem już tego pewny.

Ani razu nie spojrzałem w stronę Piotra. Szedłem prosto ku stołowi, podobnemu bardziej do wielkiej, wysokiej ławy. Wzrok trzymałem utkwiony w jednym ze stojących w słońcu foteli. Przez moment jakby nie było między nami żadnej platformy zainteresowania. Dopiero kiedy rozsiadłem się wygodnie, wyciągając nogi na całą ich długość, skinął głową. Ruch był nieznaczny, niemal niedostrzegalny, ale zrozumiałem, że oznacza gotowość do zawarcia porozumienia. Nic ponadto. Nie uważam, żeby to było mało.

Podszedł w końcu i zatrzymał się na wprost mnie, po przeciwnej stronie stołu. Wskazałem krzesło. Przyglądał mu się chwilę, jakby chciał zyskać na czasie, po czym usiadł.

- Mogę o coś spytać? - zagadnąłem.

Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi. Poruszył głową. Nie był przyzwyczajony do takich wstępów. Ja także.

- Dlaczego to właśnie ty do mnie wyszedłeś?

Odczekał chwilę. Miał nadzieję, że powiem coś więcej. Ale mnie się nie

spieszyło. Nie dzisiaj.

- To także ma dla ciebie znaczenie? - spytał bez uśmiechu.

- Także to czy także dla ciebie? - podchwyciłem.

- Jak chcesz - bąknął. - Rozmawiałem z tobą przedwczoraj. Myśleliśmy, że zostało coś do powiedzenia i dlatego tu jesteś...

- A nie zostało?

Drgnął, jakby go nagle coś zabolowało. Wyprostował plecy i położył dłonie na stole.

- Słuchaj, Gil - powiedział spokojnie - nie obchodzi mnie co o nas myślisz. Że nie jesteśmy ludźmi i tak dalej. Kimkolwiek bym jednak nie był, nie lubię zabawy w ciuciubabkę. Zawsze byłem za poważny na swoje lata... - dodał, ściągając wargi. Jakby pomyślał, że się uśmiecha.

Mój styl, daję słowo. Nie uważałem go za najgorszy. Skłaniałem się ku teorii, że pomaga ludziom znosić to, co mam im do powiedzenia. Co gorsze, miał rację.

- Może nie zacząłem najszcześliwiej - przyznałem. - Ale sam widzisz, że występuję w nowej dla siebie roli. Nawiasem mówiąc, nie tylko tutaj.

- Tak? - rzucił. - Powiedz mi jedno: dasz znać Ziemi?

Nie pozwoliłem mu czekać. Skinąłem głową. Chwilę wpatrywał mi się badawczo w oczy, wreszcie, jakby teraz dopiero uwierzył, że mówię serio, wzruszył ramionami i spuścił głowę.

- O czym w takim razie chcesz mówić? - mruknął.

- O tym. Ale nie o Ziemi.

- Bo ona nie powinna nas obchodzić? Spoważniałem. Ciuciubabkę mieliśmy za sobą.

- Właśnie - powiedziałem. - Co nie znaczy, że ma was obchodzić mniej niż mnie. Przynajmniej - dodałem po chwili zastanowienia - w tym przypadku.

Pomyślałem, mówiąc to, że chodzi o prostą uczciwość. Nie wiem, skąd mi się to wzięło.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał. W jego głosie pochwyciłem nową nutę. Jakby odkrył we mnie coś, co go zaskoczyło. Ale nie żebym się musiał tego wstydzić.

- Uważasz, że któremuś z nas dwóch może się opłacać mówienie czegoś, czego nie myśli? - odpowiedziałem pytaniem.

Teraz uśmiechnął się.

- Nie - pokręcił głową. - Co to, to nie.

Poprawił się w fotelu. Jego oczy stały się odrobinę mniej czujne.

- Potrzebuję kogoś w bazie, na satelicie. Polecisz ze mną? - spytałem niespodziewanie dla samego siebie.

Chwilę patrzył na mnie, jakby chciał spytać czy nie oszalałem, po czym twarz zaczęła mu cierpnąć. Jego broda wysunęła się odrobinę do przodu. Zaciśnął wargi.

- Ja? - syknął.

Skinałem głową.

- Mało ci... jednego?

Teraz ja omal nie syknąłem. I dalej nie czułem nic. Nie mógł mnie usposobić wrogo. Ani urazić.

- Nie chcesz? - spytałem jakby nigdy nic.

- Nie.

To "nie" zabrzmiało jak zatrzaśnięcie klapy. Przytaknąłem ruchem głowy, na znak, że zrozumiałem.

- Nie odleciś stąd, prawda? - powiedziałem. - Nigdy i nigdzie.

- Po co to mówisz?

- Nie domyślasz się? - zrobiłem zdziwioną minę. - Żaden z was nie opuści tego globu. A więc?

Odetchnął głęboko. Jakiś czas milczał, po czym westchnął znowu.

Najwyraźniej odprężył się. Jakby zrzucił mocno wypchany plecak.

- O to chodzi... - mruknął.

- Spodziewałeś się czegoś innego?

Potrząsnął głową. Usilnie wpatrywał się w krawędź stołu, jakby odkrył tam właśnie prehistoryczne inskrypcje. Wreszcie wyprostował się, oparł wygodnie, założył ręce na piersi i spojrzał mi w oczy.

- Może chciałbyś tam pójść? - rzucił.

- Później - powiedziałem. - Wierzę, że znalazłbyś przyjemniejsze zajęcie. Ale rozumiesz chyba, dlaczego muszę wiedzieć.

Dłuższą chwilę trwało milczenie. Słońce przypiekało mocno. W powietrzu było tak cicho, jak nigdzie na Ziemi. W tym momencie uświadomiłem sobie, czego tu brak. Owadów. Bzyknięcie komara przy uchu, przelot jednej muchy mógł sprawić, że rozkleiłbym się na dobre.

Nie spuszczałem wzroku z jego twarzy. Znowu pochylił głowę. Trudno powiedzieć, żeby im nie służyło to, co robią. Ten na przykład, kiedy tak siedzi, niemal

nagi, ze splecionymi na piersi rękami, wygląda jak posąg "siły odpoczywającej".

Wzruszył ramionami. Nie zmieniając pozycji odezwał się półgłosem:

- Trudno o tym mówić. Właśnie z tobą...

Doznałem olśnienia. Sami o tym nie rozmawiali. Ktoś kiedyś bąknął, że z materiałów jakie pozostawiono im do dyspozycji, przy odpowiednim zaprogramowaniu produkcji własnej, można by nawet zbudować statek. Przemilczeli to wtedy. Co nie znaczy, że przestali myśleć. Puszczona w ruch wyobraźnia pracowała. Wreszcie ktoś wspomniał, że gdyby zrobić wykop wewnątrz wieży laboratorium, powstałby tam idealny szyb montażowy. Tak się zaczęło.

Spojrzał na mnie. Jego twarz pociemniała. Minęło trochę czasu zanim odgadłem, że to rumieniec.

- I tak nie zrozumiesz - powiedział szybko. No więc... chodzi o szansę. Nie dla nas - zastrzegł się od razu. - I nawet nie dla... następnego pokolenia. Ale kiedyś... - zająknął się.

- Szansę? - powtórzyłem cicho.

- Uważasz, że wolno nam nie dać tej szansy tym, którzy przyjdą po nas? To znaczy wszystkim, dla których to będzie Ziemia? Z jej historią, kulturą i... aspiracjami? Dla ciebie to brzmi naiwnie, ale...

- Nie - przerwałem. - Mów dalej.

- W czym najdobitniej przejawiała się dynamika naszej rasy? W pokonaniu przestrzeni. Otwarciu drogi do gwiazd. I tym, że nauczyliśmy się chodzić po tej drodze.

Powiedział "my". "Nasza rasa". Nie wiem czemu, ale sprawiło mi to przyjemność.

- Chcemy zostawić im wskazówkę. Powiedzmy, model. Kiedyś zbudują prawdziwe statki. Może w ten sposób przyjdzie im łatwiej? Może oszczędzimy im kilku kartek naszej historii? Z tych, których nie czyta się dzieciom?

Nie spuszczałem z niego wzroku.

- Nie - powiedziałem. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Muszą przejść swoje. A poza tym... nie przyszło wam na myśl, że średnie pokolenia, kiedy was nikt już nie będzie pamiętał, wytłumaczą to sobie na miarę własnych pojęć? Że zamiast podstaw astronautyki, stworzycie po prostu... mit?

- No to co? - spytał. - Mało my mieliśmy mitów? O pozaziemskim pochodzeniu człowieka? O istotach, przybywających z nieba, na ognistych chmurach?

O najrozmaitszych bogach, krążących pomiędzy śmiertelnikami? To akurat nie bardzo ludziom zaszkodziło. Kto wie, może gdyby nie te mity, dziś dopiero przygotowywalibyśmy pierwszego człowieka do lotu na Księżyc?

Zamilkł. Odetchnął głęboko i zwilżył wargi językiem. Miał rację. O takich sprawach nie powinno się mówić. Brzmia śmiesznie i głupio. Ale nie sądził chyba, że ja też okażę się śmieszny i głupi, słuchając co ma mi do powiedzenia a myśląc swoje.

- Jest coś jeszcze... - podsunąłem półgłosem.

Jego oczy błysnęły. Posłał mi krótkie spojrzenie i zwiesił głowę. Minęła może minuta, zanim ponownie dobiegł mnie jego przyciszony głos:

- O tym także chcesz mówić? - spytał.

Tak. Chciałem o tym mówić. Nic nie interesowało mnie teraz bardziej. Ale nie mogłem. W każdym razie nie powinienem. Potrząsnąłem głową.

Różnie można to nazwać. Nie o słowa chodzi. Tęsknota. Nostalgia. Dzieci budują z krzeseł pociągi, którymi jada w świat. Dorośli mają mapy Ziemi i układu, ulubione piosenki, które wyciskają im łzy z oczu, seanse holowizyjne, stare listy. A dorośli poza Ziemią? Poza układem słonecznym? Tacy, którzy nigdy do niego nie wrócą?

Brakowało im bodźca, sygnału wywoławczego dla własnej wyobraźni. Chcieli mieć raketę, patrzeć na jej pancierz, na dziób przystosowany do prucia rozżarzonej atmosfery, dotykać go, wchodzić do kabin. Po to, by z jej pomocą przenieść się na Ziemię. Nie miało najmniejszego znaczenia, że dysze tego statku pozostaną nieme i zimne. Oni naprawdę będą nim latać na Ziemię.

A my baliśmy się, że....

Mniejsza z tym. Coś muszę powiedzieć. Ale nic nie przychodzi mi na myśl. Czuję pustkę w sobie, myśli straciły nagle oparcie. Ogarnia mnie wrażenie, że wszystko jest nierzeczywiste, co tutaj robię, co mówię, a przede wszystkim, co poprzedziło sytuację, w jakiej się znalazłem.

Powiedzieli sobie, że nie wolno im nie dać szansy następnym pokoleniom. Że nie mogą machnąć ręką na ich historię. Jeśli to nawet prawda, jeśli ta teoria ma się kiedyś sprawdzić, w gruncie rzeczy chodziło o co innego.

O tym chciałem teraz mówić. O tym i tylko o tym. Co mnie obchodzą teorie. Przyszłe pokolenia kopii i ich aspiracje. Wszystkie przekazy, mity i w ogóle cała ta heca. Co mnie w gruncie rzeczy obchodzi ich tęsknota? Poza tym, co wzbudziła we mnie samym. Tylko to ma teraz znaczenie. I jeśli dla mnie istnieje jakakolwiek

szansa, pomoc może mi tylko on. Oni.

Czy spodziewałem się, że kiedyś przyjdzie i do tego? Czy nie czekałem na to, spoglądając w ekrany, rozciągnięte wzdłuż półkolistych ścian bazy na martwym satelicie?

Jakkolwiek było, muszę milczeć.

Wstałem, przeciągnąłem się i ruchem głowy wskazałem wieżę laboratorium.

- Chciałem tam zajrzeć... teraz - bąknąłem od niechcenia.

Podniósł się, mruknął coś niezrozumiale i ruszył przodem.

Wszyscy, ilu ich było, pracowali na dnie wykopu. Nikt nie przerwał wykonywanej akurat czynności, kiedy wszedłem na rusztowanie i przyjrzałem się pancierzowi. Mogue dołączył do mnie po dobrej chwili i jakby niechętnie. Jego również "nie zauważyli".

Obejrzałem wszystko dokładnie. Przerzuciłem szkice i zapoznałem się z technologią. Pochwaliłem metodę montażu i szczegółowo omówiłem wyposażenie kabin.

Nie inaczej zachowałby się inspektor, przybyły z bazy do satelitarnej stoczni. Wziętem pod uwagę, że żaden z nich nie był pilotem.

Odpowiadał chętnie. W pewnej chwili zapalił się i zaczął mówić o właściwościach trakcyjnych wykroju dyszy. Wskazywał na prostotę manewrowania. Musiał pochwycić moje spojrzenie, bo nagle zamilkł. Chwilę stał, jakby miał zamiar palnąć się pięścią w czoło, po czym poruszył lekko głową i uśmiechnął się. Ale nie był to wesoły uśmiech.

Pobyłem tam jeszcze kilkanaście minut, w czasie których żaden z pracujących na dole nie obdarzył mnie nawet przelotnym spojrzeniem i skierowałem się do wyjścia. W pierwszej chwili przestałem widzieć. Kiedy wzrok oswoił się z białym blaskiem Feriego, poszedłem prosto przed siebie. Minąłem magazyn, główny budynek, stół, jakby przygotowany na powrót zniwiarzy i zbliżyłem się do bramy. Wtedy dopiero stanąłem i poczekałem aż się zbliży.

- Wracam już - powiedziałem.

Przytaknął ruchem głowy.

- To dobrze - rzekł obojętnym tonem. - Opowiedz im dokładnie, co tu widziałeś. Kiedy już wrócisz...

Zamarłem. W tym co mówiłem, w wyrazie mojej twarzy nie mogło być nic, co dałoby mu prawo do takiej interpretacji. A może?...

- Wracam do siebie - rzekłem z naciskiem. - Pojutrze będę tu z powrotem.

Przywiozę kilka automatów.

Trwało chwilę, zanim zapytał:

- Po co?

- Przydadzą się - rzuciłem.

- Chcesz nam pomóc?

W jego głosie nie zabrzmiała jedna nutka, której dźwięk mógł mi sprawić satysfakcję. Żadnego niedowierzania, zdziwienia, wątpliwości.

- Powiedzmy - burknąłem.

Co miałem powiedzieć? Że potrzebuję tego bardziej niż oni?

Długo milczał, przyglądając mi się zza zmrużonych powiek.

- Ależ z ciebie typek - mruknął wreszcie bez uśmiechu. - Żałuję, że nie poznałem cię wcześniej. To znaczy...

- Owszem - przerwałem. - Przyszło mi to na myśl już dawniej.

Odwrociłem się i wyszedłem za bramę. Nie odprowadził mnie. Nie wiem, czy stał tam jeszcze, patrząc jak przechodzę rzekę i zbliżam się do rakiетки, czy od razu wrócił do swoich. Startując, nie widziałem pod sobą nic prócz płonącego gazu. Kiedy ekrany przetarły się na tyle, że mogłem zobaczyć cały obszar farmy, na dziedzińcu nie było żywego ducha.

Zamknąłem za sobą klapę śluzy i nie zdejmując skafandra podszedłem do pulpitu łączności. Oczekałem aż kalkulator poda wizję na ekran i wyświetliłem depeszę z Ziemi.

"Potwierdzam odbiór wyników badań. Interesujące. Prosimy o rozszerzenie zakresu według uznania i pomiary kontrolne. Guskin pyta, czy nie masz dla niego wiadomości. Szary". Uśmiechnąłem się do tego podpisu. Szary. "Techniczny" jak mówiliśmy w bazie.

Wyobraziłem sobie ile godzin przesiedział z Guskinem i Sennisonem, ale zwłaszcza z Gusem, wałkując "sprawę Gilly'ego". "Cybernetycznego Gila". Musieli mieć z nim trochę kłopotu. Jakbym go słyszał: "moim zdaniem, Reuss, takie rzeczy załatwia się inaczej. Są sprawy, które człowiek musi rozgryźć sam w sobie. Trzeba mu na to zostawić czas..."

Ciekawe swoją drogą, czy gdyby wtedy, po przebudzeniu, zostawili mi trochę tego czasu...

Za to potem miałem go pod dostatkiem. Co więcej, tak jak teraz to czułem, nie zmarnowałem jednej minuty.

Wyłączyłem aparaturę i skierowałem się na powrót ku śluzie. Wkładając kask wezwałem automaty. Czekają już, kiedy wyszedłem. Sześć czarnych, pokracznych brył, w połowie niskiego stoku rozświetlonego niknącym blaskiem obcego słońca.

Właśnie obcego. Niech nikt nie mówi, że jest inaczej. Chociażby ożywiało planety tysiąckrotnie piękniejsze niż Czwarta. I z bardziej obiecującą przyszłością. Jeśli to naturalnie możliwe.

Czwarta stała już nad horyzontem. Wielka, jasna misa, większa i jaśniejsza niż Ziemia oglądana z Księżyca. Jak kula płynnego złota, rzucona niedbale na ścianę zbudowaną z czarnego magnezu. Ale złota zmieszanego z różem. A nawet z bladym, rozwodnionym błękitem. Pozostało im jeszcze kilka godzin do wieczora. Ten błękit wygląda tak, jakby na tle globu zaznaczało się jego niebo.

Automaty sunęły za mną gęsiego, dostosowując tempo do mojego kroku. Tę samą szóstkę wezmę z sobą pojutrze lecąc ku tej jaśniejszej na wprost mojej twarzy tarczy. Nie trzeba im nic więcej niż kilka uniwersalnych aparatów, nieco tylko pojemniejszych niż te, które pozostawił tam Idiom.

Nie wiedząc kiedy doszedłem do pierwszego posterunku, zdjąłem pokrywę i zmieniłem taśmę. Następnie usiadłem, opierając butlę tlenową wraz ze stelażem o pancierz automatu, wezwanego specjalnie w tym celu i zająłem się programem. Będę musiał przestroić wszystkie aparaty pomiarowe, jeden po drugim. Nie wrócę przed świtem. Pewnie prześpię cały dzień. I noc. A potem wezmę raketkę, automaty, spakuję cały majdan i tyle mnie tu będą widzieli. Posiedzę z nimi. Ostatecznie - pomyślałem - nie mogę ich zostawić razem z automatami bez dozoru. Ale to nie było poważne. I nawet nie próbowałem sobie wmawiać, że jest inaczej.

Zmieniłem zakres rejestracji. To mogę jeszcze zrobić. Jeśli już zadali sobie trud, żeby przejrzeć poprzednie meldunki. Zredukowałem tempo przesuwu taśmy do minimum, instalując dodatkowe bębny. Tak, żeby starczyło na miesiąc. Bo dawno już postanowiłem odwrócić ustalony przez siebie harmonogram. To tutaj będę się odtąd zjawiał raz w miesiącu, żeby wykonać co do mnie należy. Resztę czasu spędzę z nimi. Może wybiorę się nad ocean?

Zostawię im pełny zapis mojej historii. Opowieści o losach wyprawy do układu Feriego, gdzie zaginęła ziemską rakieta. Niech to ukryją, na przykład, w ładowni budowanego obecnie "statku". Jeśli rzeczywiście chcą z niej zrobić coś w

rodzaju pomnika ludzkiej myśli, zapalnika, który ma wzbudzić przyszłe pokolenia. A przynajmniej wyjaśnić im to i owo.

Miną wieki, dziesiątki, a nawet setki wieków, zanim do tego dojdzie. Najbliższe generacje zatracą świadomość swojego pochodzenia. Nie będą mieć czasu na rozważania historyzoficzne. Ich życie będzie wypełnione pracą nad przeobrażaniem globu. Dostosowaniem go do potrzeb istot rozumnych. A także przystosowaniem własnej rasy do galaktycznej specyfiki układu, do samej planety z jej bogatą ale obcą ludzkim organizmom biosferą.

Nagle olśniła mnie pewna myśl. Wiem co zrobię. Zaproponuję im, żeby taki sam statek zbudowali tutaj, w mojej bazie. Na pozbawionym atmosfery satelicie przetrwa nie setki, ale tysiące wieków. I ponad wszelką wątpliwość doczeka dnia, kiedy na tym skalnym garbie stanie stopa przedstawiciela rasy zamieszkującej Czwartą. Ale ta rasa będzie już wtedy dojrzała do przyjęcia prawdy o swoim pochodzeniu. I potrafi zrobić z niej użytek. Podobnie jak i ze wszystkiego, co zastanie w mojej obecnej bazie, łącznie z transgalaktycznym statkiem.

To dobra myśl. I prosta. Tak prosta, że pewno dlatego przyszła mi dopiero teraz. Na razie zmienię tylko jeden fragment pierwotnego planu. Historii, którą spisałem, nie wezmę ze sobą na Czwartą. Od razu zostawię ją tutaj. W razie czego zastąpi nawet model rakiety.

Zapadła noc. Czerń łądu tylko tam odcinała się na tle firmamentu, gdzie widniały większe skupiska gwiazd. Temperatura zaczęła gwałtownie spadać. I chociaż klimatyzacja skafandrów ma stosunkowo niewielki zakres skuteczności, nie czułem chłodu. Kończyłem z jednym automatem rejestrującym i nie spiesząc się, szedłem do drugiego. Byłem spokojny. Źle powiedziałem. Osiągnąłem spokój. Taki, o jakim nie myślałem, że może stać się udziałem człowieka. W każdym razie moim udziałem.

Zostanę z nimi. Będę chodził po trawiastym placu, siadał przy długim drewnianym stole, przyglądał się Piotrowi i Nysie.

Pomyślałem o Guskinie. Uśmiechnąłem się. Uśmiechnąłem się tak, że policzki przywarły mi do wewnętrznej wykładziny kasku. Biedny Gus. Ciekawe doprawdy, czy "Techniczny" przestał go wreszcie nękać. Depesza wskazywała na coś przeciwnego. Chyba, że on sam...

Mniejsza z tym. Na razie. Teraz lecę na Czwartą. Zostanę tam. Przynajmniej do pewnego momentu.

Nie byłoby źle przeżyć te kilkadziesiąt tysięcy lat ona i przylecieć tutaj znowu.

W charakterze zwiadu, tropiącego ślady mieszkańców kosmosu. Wyjść jakby nigdy nic ze statku, z pełnym zestawem kontaktowym i zaprezentować własną cywilizację. Ciekawe, co przybysz z Ziemi uzyska tu w zamian. Czy w tym drugim obrazie odnajdzie reminiscencje pierwszego? Sięgające głębiej, niż zewnętrzne podobieństwo, które zresztą dla obu stron będzie w pierwszej chwili niemałym zaskoczeniem. A potem? Jakieś odległe echa w mowie, obyczajowości, upodobaniach estetycznych? W sztuce może? Spojrzeniu na jej rolę w kształtowaniu jednostki i życia społecznego?

Muszą uporać się z jednym. Tkwiącym w nich jak butla sprężonego gazu bakcylem agresywności. Bo cokolwiek bym teraz nie myślał o kopiach, to pozostało. Rzecz jest niezależna od ich woli, po prostu fakt, na który nie wolno przymykać oczu im ani mnie. To dziedzictwo nie może przejść bez echa. Ciekawe kiedy, w której generacji, uda im się zmyć ten nowy grzech pierworodny. Ile za to zapłacą. Przeszło mi przez myśl, że na Ziemi trwało to bardzo długo. Za długo, jeśli wziąć średnią życia jednego pokolenia. Może nie da się inaczej?

Uśmiechnąłem się znowu. Cóż ma do tego Ziemia? Nas nikt nie wyprodukował, czy choćby skopiował, abyśmy zabijali innych. My sami... chwileczkę.

Jeszcze raz zabrzmiały mi w uszach słowa Guskina. Wtedy, kiedy mówił o powielaniu. Że ci z oceanu nie wszczepili kopiom niczego nowego. Skorzystali po prostu z gotowego "surowca", rozwijając tylko pewne tkwiące w nim pierwiastki. Więc może w tej myśli o Ziemi jest szczypta sensu?

Byłem przy ostatnim posterunku. Skończyłem, zatrzasnąłem pokrywę i wyprostowałem się. Po kilku takich godzinach człowiek ma zawsze ochotę zedrzeć kask, rzucić w diabły butle i odetchnąć pełną piersią.

Niedługo. Już pojutrze. Nie będę sobie żałował. Przez dobre kilkanaście miesięcy. Z wyjątkiem tego jednego z każdych trzydziestu dni, który spędzę tutaj.

Przyspieszyłem kroku. Myślałem, że ich tęsknota nic mnie nie obchodzi. Jednak, gdyby nie ona... gdyby inaczej dali jej wyraz...

Odesłałem automaty i wszedłem do kabiny. Rozebrałem się, umyłem, po czym bez pośpiechu podszedłem do centrali komunikacyjnej. Oczekałem, aż wszystkie ekrany wypełni mleczna poświata i zamknąłem tor łączący bazę z Proksimą. Nie przestając się uśmiechać podyktowałem tekst depezy, słowo w słowo, jak ułożyłem go sobie po drodze. A może wcześniej jeszcze? Zresztą, czy to ważne?

"Wiadomość dla Guskina - mówiłem powoli, starannie akcentując słowa. -
Jeżeli ci jeszcze nie przeszło, możesz startować. Gil".